

FERAL

Tu nie wolno
kochać.
Trzeba tylko
wypełniać
rozkazy.
Ostra dziewczyna,
której odebrano
uczucia i kazano
zabijać, staje
w obliczu miłości.
Co wybierze?



Kate Wild

Kate Wild

FERAL

Przekład

Joanna Lipińska

A m b e r

Czasami zdaje się, że tylko ty o tym nie wiesz. Czasami zdaje się, że samo myślenie, że to może istnieć, jest szaleństwem. Ale wtedy dostrzegasz coś kątem oka...

Pusta ulica o północy. W brudnych kałużach odbijają się matowe żółte lampy.

Pojawia się szesnastoletnia dziewczyna w znoszonym czarnym mundurze. Nie idzie zwyczajnie, ale czai się i węszy na ciemnym, ponurym osiedlu. Powinna być wystraszona, a nie jest.

Ma krótkie, jedwabiste czarne włosy, twarz raczej dziwną niż piękną, jej uroda nie pasuje do żadnego kraju. Obserwuje chłopaka w bluzie z kapturem, kryjącego się w cieniu. Przepelnia go gniew, który najchętniej wyładowuje na innych, słabszych od siebie. Tego wieczoru upatrzył sobie dwójkę gotów i śledzi ich, łapiąc nerwowo oddech.

Ledwo przeszedł kilkanaście metrów, kiedy bezszelestnie pojawia się za nim dziewczyna i klepie go w ramię.

- Cześć! - mówi radośnie, jakby podchodzenie do obcych w środku nocy było dla młodych dziewczyn najlepszą zabawą na świecie.

Ale w jej oczach jest coś dziwnego i gdy chłopak się odwraca, milknie zaskoczony.

- Nie miej mi za złe. Ćwiczę.

Sekundę później po ulicy odbija się echem okrzyk bólu. Chłopak rozumie nagle strach, jaki czują jego bezradne ofiary. A po chwili dziewczyny już nie ma.

Mówią, że nazywa się Feral. Jest częścią najlepiej strzeżonej tajemnicy na świecie. Pochodzi z miejsca, o którym nigdy nie słyszałeś, którego nie ma na żadnej mapie ani zdjęciu satelitarnym. Jeśli spytasz, powiedzą ci, że takie miejsce nie istnieje.

Nie wierz w to. Wystarczy się dobrze przyjrzeć, by dostrzec wskazówki.

Jak choćby las rozciągający się na najdalej wysuniętym na północ wybrzeżu Szkocji, na końcu świata. Jeśli wiatr powieje z dobrej strony, można tam usłyszeć pokrzykiwania dzieci, zupełnie jakby w głębi krył się plac zabaw.

Albo wiadomości z doniesieniem, że zaginął bez śladu naukowiec z NASA. Już czwarty w tym roku.

A potem w bibliotece znajdujesz gdzieś wysoko, na zakurzonej półce, pożółkłą książkę, która mówi o ukrytym mieście - wydobytym z naszego świata i umieszczonym gdzieś obok niego, niewidzialnym, tajemnym i dostępnym tylko nielicznym wybranym. Już samo czytanie o nim wywołuje dziwną tęsknotę, ale i dreszcz strachu. Więc odkładasz książkę, a kiedy po nią wracasz, już jej nie ma.

Jednak prędzej czy później usłyszysz nazwę ukrytego miasta. W którymś szepcie podsłuchanym na ulicy, w jakiejś plotce krążącej wśród uczniów. A kiedy ją usłyszysz, zapadnie ci w pamięć i już nigdy jej nie zapomnisz.

Nowa Atlantyda.

Crow

Otoczające teren szkoły wysokie świerki skrzypiały i trzeszczały. Zbliżała się burza.

Feral siedziała samotnie przy krypcie. Objęła kolana rękami i wpatrywała się w bransoletkę na opalonym nadgarstku. Powinna być teraz na boisku, ale nikt nie chciał jej w swojej drużynie. Stała samotnie, gdy innych, jednego po drugim, wybierano do zespołów, aż na środku została tylko ona. Wtedy ktoś głupio się zaśmiał.

Wbiła mocno paznokcie w dłonie. Nie może znów się wściec.

Oparła głowę o lodowatą ścianę krypty. Tak naprawdę to nie była krypta, tylko szkolne laboratoria, ale z tymi posępnymi ścianami bez okien mogła równie dobrze być miejscem śmierci.

Miasto było ciche. Dziś przypadała Równonoc, jeden z nielicznych dni wolnych od nauki i treningów, kilka godzin beztroski. Czasami nawet mistrzowie się do nich uśmiechali, ale nie Generał, ona nie uśmiechała się nigdy. Tego ranka juniorzy, seniorzy i prefekci byli na boisku. Później przyjdzie pora na parady, nagrody i modlitwy w Świątyni, a na koniec na ucztę w jadalniach - zupełnie jak za dawnych czasów, kiedy panowali pierwsi Atlanci. Ale nie dla niej. Ona popadła w niełaskę.

Znów paznokcie wbiły się głęboko w skórę. Spokojnie. Nie myśl o tym.

Feral, odezwała się w jej umyśle Amber. Coś się wydarzy.

Jęknęła. Nawet tutaj, za kryptą, nie dawali jej spokoju. *Odejdź*, bezgłośnie rozkazała przyjaciółce, ale bez skutku. Amber nie mogła się powstrzymać i musiała ludziom włączyć w myśli, to nie była jej wina.

Widzę wronę, a niebo plonie. On jest twoim przeznaczeniem.

Zamknęła oczy i próbowała zatrzęsnać umysł, ale chwilę później zgrzyt żwiru przyciągnął jej uwagę.

Natychmiast zapomniała o irytujących przepowiedniach Amber. W jej stronę szła grupa prefektów, a wśród nich był Prosper.

Prosper o jasnych włosach i błękitnych oczach, główny prefekt, który pewnie zgarnie dziś większość nagród. Przywarła plecami do ściany i modliła się, żeby jej nie zauważył. Ale ona go widziała i nie potrafiła oderwać od niego wzroku. Zdawał się lśnić i to mimo zasnuwających niebo ciemnych chmur, zupełnie jakby bił od niego wewnętrzny blask. Kiedy podeszli bliżej, wstrzymała oddech, ale szybko skręcili i poszli w stronę stajni, rozmawiając i się śmiejąc. Kiedy zniknęli za rogiem, Feral z poczuciem winy pociągnęła za bransoletkę.

Należała do Prospera. Dał ją Feral poprzedniej nocy, zanim popełniła ten wielki błąd. Powinna go przeprosić za pogryzienie i napaść, ale nie miała jeszcze odwagi się z nim spotkać. Podniosła bransoletkę do nosa i powąchała. Wciąż nim pachniała. Oczywiście prefekci nie powinni prowadzić się z kadetami, ale poprzedniej nocy wcale się tym nie przejmowali.

A teraz? Poczula, jak na samą myśl o tym, co się wydarzyło, pali ją twarz. Zupełnie jakby płonął w niej ogień i trawił ją od środka. Nadchodząca burza tylko pogarszała sytuację - czuła ją na skórze, duszną i wilgotną, wdzierając się w płuca gorącym powietrzem. Nowa Atlantyda leżała pośrodku lasu, który nie miał

prawa bytu, był anomalią, a niestabilna pogoda stanowiła cenę za jego istnienie. Feral spojrzała ponad okalającym szkołę sześciometrowym murem - burza nadchodziła szybko. Wystający ponad dachami kogut na dachu Świątyni, jeszcze przed chwilą nieruchomy, teraz zaczął się gwałtownie obracać.

Jakby w odpowiedzi w jej głowie odezwał się głos Amber:

Coś się zaraz wydarzy!

Nieopodal ktoś zaczął krzyczeć i przeklinać, ale nie miała ochoty sprawdzać, co się dzieje. Popatrzyła na jedyny dom, jaki kiedykolwiek знаła.

Główne pomieszczenia szkoły - juniorów, seniorów i prefektów, sale gimnastyczne, boiska do ćwiczeń i sypialnie były surowe i zimne, ponieważ kadetom nie przysługiwały luksusy. Ale mieszkania mistrzów, Generała i Miasto były komfortowe, pełne najnowszych nowinek technicznych, antyków i perskich dywanów.

Na ulicach mnóstwo było sklepików i kafejek, w których wszyscy spotykali się na pogaduszki, filozoficzne dyskusje i picie do białego rana, zupełnie jakby byli w Paryżu.

Mistrzowie twierdzili, że budynki z rzeźbionymi kamiennymi wieżami, filarami i kolumnadami, a także Świątynia z kopulastym dachem powstały na podstawie opisów z tajemnych zwojów uratowanych z pierwszej Atlantydy, zanim została zniszczona. Ale krypta, o którą opierała się Feral, była nowoczesna. To tutaj przeprowadzali eksperymenty, dzięki którym niektórzy kadeci Nowej Atlantydy stawali się jeszcze bardziej niezwykli. Nazywano to bioinżynierią. Programem "Chimera". Oczywiście czasem coś nie wychodziło, a eksperymenty dawały niespodziewane rezultaty.

Jak ja, pomyślała gorzko.

Nie wiadomo skąd owiało ją gorące powietrze, unosząc jej krótkie włosy ze spoconego czoła i potęgując krzyki. Dochodziły z ponurych głębin krypty, co nie było szczególnie zaskakujące. Możliwe, że jakiegoś kadeta poddawano nowym zabiegom. A może kogoś karano - Nowa Atlantyda bardzo mocno wierzyła w kary.

Feral odchyliła głowę do tyłu i obserwowała płynące po niebie burzowe chmury, ciemne i sine, nadszyczące w jej stronę. Miasto zdawało się wstrzymać oddech.

W twoich rękach jest śmierć! - zawołała w jej głowie Amber. *Uważaj Feral!*

- O Boże, po prostu się zamknij, dobra?! - krzyknęła i przestraszyła grupę małych dzieci idących parami.

Szły przez boisko w dresach, bosymi stopami tupiąc o asfalt. Przypomniała sobie, jak sama należała do takich maluchów, zawsze bez butów, nawet zimą. Kapali się w lodowato zimnej rzece, która płynęła przez las, aby nauczyć się ignorować ból, zmęczenie, głód, pragnienie, zimno i brak snu.

Kilkoro dzieci zatrzymało się i popatrzyło na nią z niepokojem. Tak jak ona i inni kadeci, przybyli tu zaraz po urodzeniu. Byli wybrani. Ich trening rozpoczynał się, gdy mieli trzy lata, a kończyli jako szesnastolatki.

Dwanaście godzin dziennie, sześć dni w tygodniu zamieniano ich w nadludzi. Ich ciała i umysły były wytrenowane do perfekcji. Nie dopuszczano żadnych słabości. Mieli być dziećmi jutra, dziećmi nowej ery, gotowymi ratować świat.

Tylko przed czym? Czasami się nad tym zastanawiali, ale nikt nie miał odwagi zapytać. Nie dowiadywali się wszystkiego, nawet jako prefekci. Byli wybrani i tyle. - Co to za krzyki? - zawołała. Ich przywódca, który wyglądał na siedmiolatka, ale na przegubie miał bransoletkę kadeta z czarnym pasem sztuk walki, przyjrzał

się jej.

- To obcy. Jest karany.

Nowa Atlantyda była bardzo dobrze strzeżonym sekretem, ale zawsze pojawiały się opowieści o obcych, którzy próbowali się do niej dostać i ich znaleźć. Nikt nie wiedział, co się z nimi później działo.

- Dlaczego nie jesteś na boisku? - spytał chłopak. Wzruszyła ramionami.

- Bo jestem za dobra. Spojrzał na nią krzywo.

- Nieprawda. Bo cię nie cierpią. Zjadasz kości. -Spojrzał na swoich towarzyszy. Kiloro zaczęło się złośliwie śmiać, ale reszta wciąż wsłuchiwała się w krzyki człowieka.

- Kto powiedział, że jem kości? - zapytała powoli. Chłopak spojrział na nią triumfalnie.

- Prosper.

Serce jej zamarło. Czyżby wszystkim opowiedział? Znow wypełnił ją gniew, który próbowała w sobie zdusić. Jednym zgrabnym ruchem się podniosła.

- Mam wyżyć ci oczy? Mina mu zrzędała.

- Poskarżę. Nie wolno ci...

- No to patrz. - Zrobiła krok w jego stronę.

Dzieci uciekły, a ona stała bezradnie i pomyślała: No świetnie, teraz nawet maluchy się mnie boją. Chciała znaleźć jakiś ciemny kącik, zwinąć się w kłębek i zapomnieć o poprzedniej nocy. Ale właśnie wtedy rozpętała

się burza. Poczwała, jak włosy jeżą jej się na głowie, jak u dmuchawca, aż lepkie od energii. Wrzaski i przekleństwa zbliżyły się do niej, a Amber znów wkradła się do jej myśli.

To się zaraz stanie!

Nad lasem poderwało się z krzykiem stado ptaków. A zza rogu wypadł chłopak.

Nemesis

Widziała wszystko wyraźniej niż większość ludzi. To jedna z zalet jej dziwnych oczu. I tak właśnie go zauważyła, od razu, na pierwszy rzut oka. Biegł do niej, potykając się i ślizgając, ale w ciszy, śmiertelnie przerażony. Miał bladą twarz, a oczy mu błyszczały, gdy rozpaczliwie szukał drogi ucieczki. Poruszał się na oślep, chaotycznie, ale z taką determinacją, jak niedający się zatrzymać terier.

Goniło go dwóch laborantów, a gdy minął róg, potknął się i upadł u jej stóp. Był tylko zwykłym obdartym chłopakiem z zewnątrz, ale kiedy na nią spojrział, przez chwilę wydał jej się nadzwyczajny. Ciemne włosy wpadały mu do oczu. Miał na sobie stary płaszcz z przodu uma-zany krwią. Próbował ukryć dłonie w rękawach, ale i tak zauważyła, że miał poranione knykcie. Pod płaszczem miał porwaną koszulę, a skórę na piersi otartą.

Mogła go złapać, ale tego nie zrobiła. Przez moment patrzyli na siebie, a potem podniósł się, dobiegł do ogrodzenia i spróbował się na nie wdrapać.

- Feral! - krzyknął jeden z laborantów. - Na litość boską, łap go!

Nie lubiła, kiedy laboranci mówili jej, co ma robić, więc ich zignorowała. I tak nie mógł uciec, bo płot był

pod prądem. Nie po to, żeby zatrzymać w środku kadetów oni byli wybranymi, a nie więźniami - ale by ochronić ich przed upiorami lasu. Jeśli się na niego skoczyło, parzył, ale to nie powstrzymało chłopaka.

Wciąż próbował.

- Aj, aj, aj - powtarzał do siebie, za każdym razem spadając z płotu. Klepnęła go w plecy.

- Hej, zrobisz sobie tylko krzywdę. I tak stąd nie wyjdiesz.

Odrzucił się do niej, ssąc palce. Wiatr odgarnął mu włosy z czoła i zobaczyła poważne, czujne spojrzenie jego ciemnoszarych oczu. Na jednym policzku miał siateczkę blizn, pewnie pamiątkę po ranach z przeszłości.

Spojrzał na nią zmrużonymi oczami, jakby raziło go słońce. A potem dostrzegł jej oczy i przeszedł go dreszcz.

Była na to przygotowana, bo obcy zawsze tak reagowali.

Miała zabójcze oczy. Naprawdę były niebezpieczne. Była dziełem programu "Chimera" i jedynym ludzkim dzieckiem, które przetrwało tyle prób. Wyciągnęła rękę, aby go przytrzymać, a on wpadł w popłoch.

- Odejdź! Trzymaj się ode mnie z daleka! - zaczął krzyczeć.

Próbowała tylko złapać go za ręce, żeby przestał sobie szkodzić, ale on zaczął kopać i wywijać pięściami.

Nie żeby to był jakiś problem. Nie stosował żadnej techniki, nawet podstawowych ruchów taekwondo. Bez problemu blokowała jego ataki, ale serce biło jej zbyt mocno. Amber miała rację. Miało nastąpić coś okropnego. Może on też to poczuł. Zauważyła, że mimo lęku wszystkimu się przygląda, jakby czekał na okazję do ucieczki, chociaż nie miał na nią najmniejszych szans.

Odwróciła się i tupnęła nogą w stronę laborantów.

- Idźcie. Zajmę się nim.

Odsunęli się. Byli od niej starsi, ale tylko pracowali dla Miasta. Nie należeli do kadetów, więc musieli jej posłuchać.

Nagle chłopak zmienił taktykę. Zamiast poderwać się i uciec, złapał ją za ramię i przez moment czuła gorąco jego ciała. Nie mogła uwierzyć, że obcy naprawdę jej dotknął.

- Musisz mi pomóc - błagał. Miał szorstki akcent, którego nie umiała określić, i lekką wadę wymowy; sprawiła ona, że zafascynowana popatrzyła na jego usta. -Nie wiem, co tu robię. To nie o mnie im chodzi. Jestem niewinny.

Coś dotknęło jej boku, delikatnie jak piórko. Złapała go za nadgarstek.

- Nieźle. - Ścisnęła mu rękę, a wtedy upuścił komórkę, którą przed chwilą jej ukradł. Może i nie był

szkolony, ale na pewno był szybki. Mimo przerażenia nadal kombinował, jak przetrwać.

Odsunął się.

- Nie wrócę tam. - Pokręcił głową.

Znów chciał pobiec do ogrodzenia, więc dźgnęła go tuż poniżej ucha. Był to klasyczny cios wieki temu używany przez walczących katanami, ale obecnie zamiast mieczy używało się palców. Nauczyła się tego, mając siedem lat. Chłopak skulił się i upadł na ziemię. Uklękła przy nim i nie mogąc się powstrzymać, nachyliła się i zaciągnęła jego zapachem - pachniał strachem. Chwilę później zaczął dochodzić do siebie, zamrugał i skupił na niej wzrok.

- Leż spokojnie - poleciła.

Na jego skroniach i czole widziała małe czerwone kręgi, ślady po elektrodach, które zerwał z siebie podczas przesłuchania. Trochę niżej, na łopatkach, miał mały tatuaż przedstawiający ptaka z rozpostartymi skrzydłami i napis poniżej: "na zawsze 18".

Usiadł.

- Co się stało?

- Uderzyłam cię. Nic ci nie jest.

Trzęsącą się ręką stał z ust kroplę krwi. Feral nie mogła oderwać od niego wzroku. Może dlatego, że był obcym - oni byli tacy niezdyscyplinowani. Nigdy nie było wiadomo, jaki będzie ich następny ruch.

- Nie bój się - powiedziała.

W jego oczach pojawiła się nadzieja, zupełnie jakby rozświeciły się od wewnątrz. Miał szczerą twarz, która od razu zdradzała wszystkie emocje - nadzieję, rozpacz, przerażenie i dziką żądzę przetrwania.

Złapał ją za rękaw.

- Pomóż mi.

Feral strząsnęła jego dłoń.

- Nie mogę. Wpakowałeś się w niezłe tarapaty.

Ale kiedy to mówiła, poczuła w sercu coś dziwnego. Może litość, coś, na co rzadko sobie pozwalała.

Zapatrzyli się na siebie i przez kilka chwil zdawało się, że reszta Miasta gdzieś się rozplynęła.

- Jak się nazywasz? - zapytała Feral. Myślała, że nie odpowie. A jednak...

- Crow.

Widzę wronę, a niebo płonie. Crow znaczy wrona. Zupełnie jak w przepowiedni Amber. Serce Feral zabiło mocniej. Nie może znów stracić nad sobą panowania.

- Crow to żadne imię, tylko ptaszysko.

- A właśnie że imię; tak nazywam się po dziadku, Crowsonie Quinnie. - Podniósł się z ziemi. - Pomóż mi się stąd wydostać, a zrobię dla ciebie wszystko.

- Nie mogę. Poza tym sam jesteś sobie winny, trzeba tu było nie przychodzić.

- Co? - Wyrzucił w górę ręce. - Chyba żartujesz. Byłem w Edynburgu i oglądałem zabytki, a w następnej chwili... - Zamilkł i wskazał kryptę. Sam jej widok sprawił, że znów zaczął się trząść. - Byłem już tam, a oni mnie torturowali!

Kłamał. Była o tym przekonana. Doskonale czytała z twarzy.

- Wcale nie oglądałeś zabytków. Nie jesteś niewinny.

- Słuchaj - rzucił desperacko - nie jestem aniołem i nigdy tak nie twierdziłem. Ale słowo daję, że w życiu nikogo nie skrzywdziłem. Zobaczyłem takiego czarnego vana z przyciemnianymi szybami, stał w bocznej uliczce. Wyglądał tajemniczo, a ja nie umiem się powstrzymać, jak napotykam tajemnice. - Na wpół się zaśmiał, na wpół jęknął. - Więc się włamałem. Tym się zajmuję. Myślałem, że znajdę w środku coś na sprzedaż. Nie miałem kasy. Byłem głodny. - Znów się wykrzywił. - Ale potem przyszły jakieś dzieciaki, ubrane na czarno, tak jak ty. Pobity mnie, wrzuciły do vana i gdzieś pojechaliśmy.

Wyglądało na to, że tym razem mówił prawdę.

- Ćwiczymy w prawdziwym świecie. Myśleli, że jesteś Cieniem; to obcy, którzy próbują nas zniszczyć.

Rozejrzał się wokół.

- Co zniszczyć? Co to za dziwaczne miejsce?

- Nowe Miasto.

Nagle zwinął się w kłębek i zatkał dłońmi uszy, jakby go bolały.

- Ta muzyka! - krzyknął. - Czemu ona ciągle gra? Feral zaczęła słuchać. Po kilku sekundach jej słuch dostroił się i usłyszała rozdzierające, piskliwe brzęczenie.

- To muzyka Harf. Chronią nas przed światem zewnętrznym. Nikt nas nie może znaleźć. Ciebie też nie. -

Ukucnęła przy nim. - Ale Harfy to dla ciebie akurat najmniejszy problem. Zaraz będzie znaczenie gorzej.

Nagle padł na nich cień.

- Dość tego! - ktoś warknął. - Miałas go złapać, a nie z nim gadać, Feral.

Spojrzała na pomarszczoną, ponurą twarz mistrza Trajana, kierownika programu "Chimera". Był współod---

powiedzialny za eksperymenty, podczas których została stworzona, i może właśnie dlatego jej nie cierpiał.

Nie wyszła zgodnie z planem, więc nie omieszkał wykorzystać każdej okazji, by ją ukarać. A to oznaczało, że powinna szybko przekazać mu chłopaka. Powinna odejść, ale nie mogła jasno myśleć. Chłopak ją niepokoił, a Amber też nie pomagała. Była teraz w jej umyśle i obserwowała, zupełnie jak bzycząca cicho za oknem pszczoła.

- To pomyłka, proszę pana. - Dalej trzymała chłopaka za płaszcz.

Trajan oparł ręce po obu bokach jej ciała tak, że przycisnął ją do ściany.

- Z tobą zawsze są jakieś pomyłki. Feral pokręciła głową.

- To nie jest Cień. Wyczyśćcie mu pamięć i odeślijcie go na zewnątrz.

Mistrz się roześmiał.

- Teraz będziesz nam mówić, co mamy robić?

Feral owiał oddech mistrza. Pachniał anyżkiem. Trajan próbował to ukryć, ale jej nos był zbyt czuły. Znowu pił.

Podobnie jak wielu innych mistrzów popijał w kafejkach absynt, ale pił go też w ciągu dnia. Na srebrną ły-

żeczkę kładł kostkę cukru i polewał ją wodą z kryształowego dzbanuszka tak, że ściekała i rozcieńczała zielony alkohol. A ten sprawiał, że teraz buchała z niego żądza mordy. Może to piołun zawarty w absyncie, najbardziej gorzka ze znanych człowiekowi substancji, sprawiał, że ten, kto go pił, też robił się zgorzkniały.

Inni mistrzowie wiedzieli, że Trajan za dużo pije, ale nigdy nic nie mówili, nawet kiedy dwoje juniorów zmarło podczas eksperymentu z programem "Chimera".

- Zostaw go - powiedziała Feral. - Jesteś pijany. Rzucił jej wściekłe spojrzenie. A potem się cofnął.

Jedną ręką szybko sięgnął po zegarek, a drugą wsunął do kieszeni.

- Nie mam na to czasu. Spóźnię się na lunch.

Uniósł dłoń i wyciągnął pistolet, jaki każdy z mistrzów nosił, by chronić się przed niebezpieczeństwami lasu. Feral zamarła. Czyżby zamierzał zastrzelić chłopaka? Ot, tak, na jej oczach?

Nie. To szaleństwo. Stojący za mistrzem laboranci się cofnęli.

Trajan wycelował w chłopca. *Ocal go!* - krzyknęła Amber.

W tym samym momencie burza dotarła do szkoły. Uziemił ją elektryczny płot, a kłębiące się chmury nabrały koloru krwi. Gdzieś między nimi rozbłysła błyskawica, nadając wszystkiemu barwę ognia.

Czas zwolnił.

Feral zobaczyła, jak palec Trajana tężeje na spuście. Stojący przed nim chłopak zamarł z przerażenia.

Wyciągnęła rękę... i przejęła pistolet. Twarz mistrza spurpuro-wiała. Widziała, jak kipi w nim wściekłość, jak pulsuje tętnica na jego szyi. Zapatrzyła się w to miejsce i naszała ją straszna ochota, żeby oblizać wargi.

Zmusiła się, by spojrzeć w inną stronę.

- Pistolet - wycedził. - To rozkaz.

Sprzeciwienie się mistrzowi było największym grzechem w Nowej Atlantydzie. Karano je odrodzeniem, a tego bała się najbardziej. Ale nie mogła się ruszyć, była jak skamieniała. Usta Trajana wykrzywiły się w uśmiechu.

- Trudno się dziwić, że Generał się o ciebie niepokoi. Słyszeliśmy o wczorajszym. Może będzie trzeba poddać cię jeszcze kilku zabiegom.

Nie powinien tego mówić. Nie powinien grozić jej kolejnymi zabiegami. Nie powinien mówić, że spóźnia się na lunch, i to tak nonszalancko. Nie powinien jej nienawidzić. Coś w niej pękło.

- Nie.

Mistrz rzucił się, by wyrwać jej broń, ale szarpnęła się do tyłu. Doszło do krótkiej walki. Padł strzał. Jego odgłos odbił się echem po okolicy. A potem zapadła cisza. Mistrz Trajan osunął się na ziemię i leżał, patrząc w niebo.

Feral wpadła w panikę. Rzuciła broń.

Co ja narobiłam?

Przez szesnaście lat szkolili ją na zabójcę i oto mieli efekty. Laboranci spojrzeli na nią przerażeni, po czym uciekli.

- Nie chciałam - szepnęła.

Niedługo rozbrzmiały alarmy, zaczęły zbierać się ludzie.

Ktoś dotknął jej ramienia. Odwróciła się szybko, unosząc ręce w obronnym geście, ale to był tylko ten chłopak, Crow. Wyglądał teraz na jeszcze młodszego, jakby był zszokowanym dzieckiem, ale Feral wiedziała, że tylko kombinował, jak przetrwać.

- Uciekaj - powiedział.

Poczuła, że złapał ją za rękę. To było nie do pomyślenia: obcy prowadził kadeta.

- Nigdy nie uciekam - wykrztusiła. Dusił ją w piersiach, zupełnie jakby ktoś nałożył na nie metalową obręcz.

Crow spojrzął jej w oczy.

- Teraz tak. Pobiegli.

Amber wszystko się pokręciło. Crow nie był jej przeznaczeniem. Był jej nemezis.

Kiedy zaszło słońce, surfer naciągnął kaptur i wrócił do Fan Clubu.

Zanim pojawili się surferzy, Sinclair, leżące samotnie na północnym wybrzeżu Szkocji, było spokojnym miasteczkiem. Ponieważ tylko woda oddzielała miasto od lodów Arktyki, pogoda była prawie zawsze pochmurna lub mglista. Ale gdy się roz pogodziło, a niebo patrolowane przez wścibskie mewy przybierało lodowatoniebieski kolor, miało się wrażenie, że widać nieskończoność, a czyste powietrze zdawało się przesycone tlenem bardziej niż gdziekolwiek indziej na świecie.

Ale to dla morza, które atakuje brzeg, przybyli tu surferzy. Dwa razy dziennie potężne pływy morskie, zwane przez mieszkańców po prostu falą, wbijały się między małą wysepkę a brzeg, tworząc pienne grzywy i wzniecając kilkumetrowe butelkowiezielone fale, które uderzały o brzeg nieopodal miasta.

Surferzy mówili, że jeśli ktoś chce przeżyć coś niesamowitego, to musi zapomnieć o Hawajach czy Bondi i przyjechać do Sinclair, tam rzucić się w morze, zmarznąć wśród niebotycznych fal. A jeśli jest dość szalony, to popłynąć z falą - powiosłować wraz z pływem, dać mu się porwać, walczyć z wirami i wstecznymi prądami.

Jak na razie tylko jeden surfer się na to odważył - Deimos. Ten, który teraz zmierzał do jedyne go nocnego klubu w mieście. Był najlepszy i wszyscy go podziwiali.

Kiedy wszedł do Fan Clubu, powitały go poklepywania po plecach i kuksańce. Do klubu zawsze przychodziło pełno surferów, dziewczyn i chłopaków, z potarganymi włosami pachnącymi słoną wodą i skórą błyszczącą po walce z falami.

W środku było zupełnie jak w starym wodewilowym teatrze. Ściany pomalowano na ciemnoczerwono, a na nich wisiały duże złoczone lustra, zasnuwane mgłą starości. Deimos ominął parkiet i skierował się na tył klubu.

W odseparowanej alkwie stał otoczony kanapami okrągły stół. To tu spotykały się Cienie, kładły łokcie na stole i ignorowały wszystko wokół.

Tego wieczoru Deimos przeskoczył nad liną i wyciągnął się na jednej z kanap. Przy stole było kilka osób, których nie znał. Bonnie wspominała coś o tym, że pojawią się nowi rekruci.

Bonnie Booth go interesowała, choć udawała trudną do zdobycia.

Była właścicielką klubu, mimo że wydawała się za młoda. Miała proste blond włosy i piękną twarz, a skórę jak porcelana. W odróżnieniu od innych surferek nosiła ciuchy Armaniego, ale tak, jakby zupełnie o to nie dbała. Rzuciła marynarkę na oparcie krzesła i nie zwracała uwagi, gdy zsunęła się na podłogę. Jedyne, co zdawało się ją interesować, to mały monitor wyświetlający obraz z kamery przemysłowej wycelowanej w lasek za Fan Clubem. Kiedyś był częścią pradawnej puszczy. Okoliczni mieszkańcy twierdzili, że był

nawiedzony, że słychać stamtąd krzyki dzieci i wiecznie zasnuwały go mgły.

- Coś się dzieje? - zapytał ją.

Postukała w stół błyszczącym paznokciem. - Nie.

Nie spodziewał się innej odpowiedzi. Cienie zawsze, gdy przychodziły do klubu, pytały Bonnie o to samo.

I tylko kilka razy w odpowiedzi słyszały "tak", a wtedy podrywały się na równe nogi i ruszały do lasu. Ale Bonnie nie zamierzała się poddać.

Jak zawsze cierpliwie czekała.

Ucieczka

Rozpętała się burza. Wraz z hukiem grzmotu lunęło. Deszcz lał się strumieniami, gdy Feral ciągnęła Crowa do wąskiej alejki przy krypcie. Zamrugła, by osuszyć oczy, i rozejrzała się wokół. Droga była wolna. - Tędy.

Idź za mną.

Aleja prowadziła przez środek Miasta, ale ukryta, przecinała podwórka i parkingi za sklepami i kafejkami.

Crow szedł wolno, więc musiała go ciągnąć, rozpryskując kałuże i potykając się, kiedy on lkał cicho.

Zazwyczaj po alei kręciło się mnóstwo kadetów, którzy skracali sobie drogę na lekcje i treningi, ale tego dnia wszyscy byli na boiskach.

Ledwie wczoraj szła tędy z Prosperem i ustalali, że spotkają się potem w lesie. Ale to było wczoraj, gdy miała jeszcze przed sobą przyszłość. Teraz nie miała nic.

Zabiła mistrza!

Postanowiła dotrzeć do Świątyni. Wszystko zaczęło się od przepowiedni Amber, więc to ona coś z tym zrobi.

Kiedy dotarli do centrum Miasta, Feral zatrzymała się, po czym szybko przeszła przez łuk, ciągnąc za sobą chłopaka. Burza wciąż nad nimi szalała, zalewając ich, jakby chciała ich utopić. Przed nimi było skrzyżowanie La Yallette i St Paul's w dzielnicy kawiarnianej. Powinno się tu roić od mistrzów i prefektów, siedzących w kawiarnianych ogródkach. Ale teraz nie było tu żywej duszy. Krzesła oparto o stoły, parasole złożono, a drzwi lokali pozamykano przed deszczem. Ale burza nie zatrzymała ruchu drogowego - samochody wciąż przedzierały się przez kałuże, tryskając wodą spod kół.

- Nie zatrzymuj się - powiedział Crow. - Musimy być w ciągłym ruchu!

Zignorowała go. Wepchnęła w bramę, w której znajdowało się tylne wejście jakiejś kafejki, na razie zamkniętej przed wieczornymi obchodami. Deszcz lał się z biegnącej nad nimi pękniętej rynny i tworzył

kurtynę wodną, za którą mogli się schować. Chłopak stanął tam, z trudem łapiąc powietrze. Gwałtowne ochłodzenie sprawiło, że z jego ust wydobywała się para.

- Co się dzieje? - zapytał.

- Musimy teraz uważać.

Nie mógł oderwać od niej wzroku.

- Zabiłaś go, żeby mnie ratować. Masz przechłapanie. Po co to zrobiłaś?

- Nie wiem. Złapał ją za rękę.

- W każdym razie dzięki. Ale teraz lepiej mnie zostaw. Jakoś ucieknę, a ty możesz im powiedzieć, że cię obezwładniłem.

Prawie wybuchnęła śmiechem.

- Obcy miałby pokonać kadeta? Myślisz, że by w to uwierzyli?

Popatrzył na nią chwilę.

- Zawsze warto spróbować. Pokręciła głową.

- Idziesz do Świątyni. - Wskazała mu matowobrazową kopułę wystającą nad czubkami drzew. - Możesz się tam na razie schować.

- Nie, droga jest wolna. Uciekajmy. Pchnęła go na ścianę, aż się zwinął.

- Posłuchaj. Dziś są obchody Równonocy. Spojrzał na nią, nie rozumiejąc.

- To znaczy?

- To czas, kiedy dzień i noc są równe. Ty nic nie wiesz? Świątowano ten dzień w dawnych czasach, więc robimy to i teraz. Wieczorem mistrzowie i mieszkańcy Miasta będą pić, a kadeci i prefekci mają ucztę w jadalniach. Wtedy uciekniesz. A teraz schowaj się w Świątyni.

Otarł twarz drżącą ręką.

- Dobra. Ale ty też powinnaś uciec. I to daleko. Tym razem ona się na niego zagapiła.

- Nie, to mój dom.

- Już nie.

Poczuła, jak zalewa ją przerażenie, a wraz z nim jak trzeszczą jej kości, jakby miały zmienić kształt. Nie mogła do tego dopuścić. Popatrzyła przez deszcz na drugą stronę drogi, gdzie wznosiła się kamienna wieża koloru miodu. Był to generator harmoniczny, który zasiliał Harfy, a na najwyższym piętrze znajdowało się biuro Generała.

- Nie. Nie mogę odejść. Pójdę do Generała Belisarius i zdam się na jej łaskę.

Na pewno Generał kochała ją na tyle, aby zrozumieć, że to był wypadek spowodowany programem "Chimera". Poprawki, jakie wprowadzili w jej genach, źle zadziałały i tyle.

Serce zaczęło jej łomotać. A jeśli Generał nakaże jej odrodzenie?

Popchnęła Crowa głębiej, bo zobaczyła, że biegnie ktoś chowający głowę pod płaszczem, po czym wyjrzała, wyczekując odpowiedniej chwili.

- Jak powiem, że biegniemy, to masz natychmiast biec do Świątyni.

Crow przylgnął do matowego okna kafejki i obserwował ją. Miała gładkie włosy, poważną minę i idealny profil. Jej skóra była jak miód - czasem ciemna, czasem jasna. Mogła pochodzić z każdej rasy. Jej oczy były niepodobne do niczego, co w życiu widział - skośne, o złotych tęczówkach, prawie przezroczyste jak bursztyn.

Do tej pory mówił, że już nic go nie przestraszy. Nie po wypadku. Odruchowo dotknął blizn na policzku, a potem tatuażu "na zawsze 18". Ale ona go przerażała. Nie tylko te oczy i wspomnienie, jak strzela do mistrza -

na to nie narzekał, bo facet był szurnięty. Przede wszystkim fakt, że była dziewczyną, młodszą od niego, a mimo to zdawała się tak niebezpieczna.

Ale czy nastoletnie kilerki obgryzają paznokcie? Bo ona właśnie je obgryzała, wpatrując się w Miasto.

Jedno wiedział na pewno - nie zamierzał tu zostawać i tego sprawdzać.

Wziął kilka głębokich oddechów. Poczeka chwilę, żeby o nim zapomniała, skupiła ten niesamowity wzrok na okropnej wieży przed nimi, która wyglądała zupełnie jak coś, co powinno się nachylać pod dziwnym kątem w starym włoskim mieście. A potem wycofa się i znajdzie wyjście z tego cholernego miejsca.

Jakby czytała w jego myślach, sięgnęła za siebie i oparła mu rękę na piersi, przyszpilając go znów do ściany. Wciąż patrzyła na wieżę. Ręka na jego piersi była chuda, ale czuł w niej siłę zdecydowanie za dużą jak na taką dziewczynę. Sięgnął do kieszeni.

- Wybacz - powiedział trzęsącym się głosem.

Kiedy znów się do niego odwróciła, celował w nią z pistoletu Trajana. Upuściła go zaraz po strzelaninie, jakby nagle straciła czucie w rękach. Nie zauważyła, kiedy go zabrał. Nikt nigdy nie zauważał. Mógłby zwinąć komórkę ze stolika w restauracji albo torebkę z oparcia krzesła i ani jedna osoba by nie zobaczyła.

- Nie zrozum mnie źle. Jestem naprawdę wdzięczny za to, co zrobiłaś - powiedział, a pistolet zatrząśł mu się w dłoni. Nigdy wcześniej nie miał żadnej broni. Nawet noża. Zawsze się bał, że może mu odbić i dzióbnie się tym nożem w oko albo przez pomyłkę podetnie żyły. - Po prostu nikomu w tej chwili nie ufam. Powiedz mi tylko, jak się najszybciej stąd wydostać.

Uniosła rękę i wskazała palcem drogę w kierunku La Vallette. Tylko na moment odwrócił od niej wzrok, by ustalić, w którą stronę wskazuje, gdy nagle jej dłoń opadła na pistolet, opuściła lufę, a jej twarz znalazła się tuż przy jego.

- Na twoim miejscu bym go puściła - wyszeptwała. - Jak wyrwę ci pistolet, mogę przy okazji złamać ci nadgarstek.

- Aj! - Puścił go i zaszokowany postąpił krok do tyłu. - Kim ty jesteś? Androidem czy co?

Prawie się uśmiechnęła, zupełnie jakby była zwykłą dziewczyną, kimś, obok kogo mógł siedzieć w ławce albo z kim przekomarzałby się w drodze do domu. To wrażenie jednak szybko zniknęło, a ona odwróciła wzrok i wrzuciła pistolet do barowej skrzynki na listy.

- Nie chcesz wiedzieć.

No dobra, czyli groźby nie skutkują. Będzie musiał użyć uroku osobistego, jeśli w ogóle jakiś miał.

Wyciągnął przed siebie ręce i uśmiechnął się krzywo.

- Posłuchaj, ty nie chcesz stąd odchodzić, więc się rozdzielmy. Pójdiesz w swoją stronę, a ja w swoją.

Zamrugnęła, bo deszcz ściekał jej do z oczu.

- To jest twój plan? Uciekać? Wzruszył ramionami.

- To podstawowa zasada Quinnów Uciekaj, a może dożyjesz następnego dnia.

Jego rodzina miała wprawę w ucieczkach. W ciągu ostatnich kilku lat, kiedy wszystko zaczęło się sypać, zdarzało im się uciekać nocą, nim zjawili się właściciele mieszkań, które wynajmowali.

Zmarszczyła brwi:

- Nie masz pojęcia, gdzie jesteś, prawda? - zagadnęła.

- W środku miasta. - Rzucił jej spojrzenie spode łba. - Wyjście stąd nie zajmie mi wiele czasu. Wszędzie znajdę drogę. Potrzebuję tylko środka transportu. - Nieświadomie sięgnął do policzka poznaczonego bliznami. -A ten mogę załatwić w każdej chwili.

- Ukradniesz samochód? - zapytała.

- Pożyczę.

Przed kafejkami stały zaparkowane priusy, mercedesy i beemki. To było bogate miasto. Ale im dłużej się przyglądał, tym więcej dostrzegał nieprawidłowości. Samochody miały kierownice po prawej stronie, ale oznaczenia dróg były nie takie, jak trzeba. Kafejki i wieża były w jakimś zagranicznym stylu. Nawet światło wydawało się jaśniejsze niż zwykle.

- Gdzie my jesteśmy? To nie Wielka Brytania, tylko jakieś miejsce, gdzie przeszłość wymieszała się z teraźniejszością.

Część uwagi poświęcała jemu, a część skupiała na skwerze.

- Nasze położenie to tajemnica, ze względów bezpieczeństwa.

- Dobrze. Pojadę do najbliższego miasta i tam zapytam o drogę.

Roześmiała się, a jej poważna, nadaśana twarz na chwilę się rozjaśniła, tylko oczy wciąż były czujne.

- Nie pojedziesz, bo nie jesteś już w swoim świecie. Miasto jest ukryte, przeniesione przez Harfy gdzie indziej.

Pokręcił głową.

- Niemożliwe. To szaleństwo.

- Nigdy nie słyszałeś o Mu, Lemurii czy Avalonie? Wszystkie istniały, światy poza naszym, dostępne tylko dla wybranych. A teraz jeden z nich został przywrócony do życia. - Machnęła ręką. - To jest Nowa Atlantyda.

Stąd nie da się po prostu wyjechać.

Nagle rytmiczne stukanie podków przebiło się przez bębnienie deszczu. Do skweru zbliżało się coś dużego i ciężkiego.

Poczuł, jak jej ręka owija się wokół jego szyi i go unieruchamia. A jej ciepły oddech owiał mu policzek.

- Bez względu na wszystko nie ruszaj się i bądź cicho. Jadał prefekci.

Chimera

W zasięgu wzroku pojawiły się olbrzymie bestie, tratujące ziemię, z rozdętymi nozdrzami i przekrwionymi oczami. Miały dwadzieścia dłoni wzrostu i nierówną, czarną sierść, przez którą przeświecały łuski.

Przytwierdzona do ozdobnych ogłowi szyba z pleksiglasu chroniła ich oczy, a zbroja z kewlaru osłaniała zady. Dosiadający ich jeźdźcy byli ubrani w zielono-żółte mundury, na które nałożyli zielone płaszcze przeciwdeszczowe. Przy potężnych wierzchowcach jeźdźcy wyglądali jak dzieci, ale to byli prefekci, elita.

Feral widywała smocze konie całe życie, były dla niej równie zwyczajne jak samochody zaparkowane przy chodnikach, ale poczuła, że Crow zaczyna się trząść. Szybko zasłoniła mu usta dłonią i wciągnęła głębiej w bramę. Palcami odnalazła na jego szyi puls.

- Dotykam kciukiem twojej arterii na szyi. Jedno piśnięcie, a ją naciśnę i od razu stracisz przytomność.

Na te słowa zastygł w bezruchu.

- Mogłaś po prostu powiedzieć, że mam się nie ruszać - wymamrotał pod jej dłonią.

Wzmocniła delikatnie nacisk.

- Nie kuś.

Wyczuwała, jak krew mu pulsuje. Kiedy stwory się zbliżały, tętno przyspieszało.

- O Boże, co to jest? - wyszeptał.

Kiedy ludzie widzą coś, co nie powinno istnieć, porusza ich to tak bardzo, że albo zamierają, albo zaczynają uciekać. Feral przytrzymała chłopaka. Był z tych, co uciekają. Sam to powiedział.

- To chimery. Mają trochę z jednego zwierzęcia, a trochę z innego. Nazywamy je smoczymi końmi.

Starła trzymać się od nich z daleka. Nigdy nie zgłaszała się na ochotnika do patroli. Wymyślono je, zanim badacze zaczęli eksperymenty na kadetach. Pierwsze osobniki były szalone i nie do opanowania. Te tutaj to ulepszona wersja, ale wciąż niebezpieczna, zwłaszcza dla niej. Miały doskonały węch, wiedziały, kim ona jest, i jej nie cierpiały. Gdyby przeszła obok stajni, zaczęłyby szaleć. Ale deszcz był jej sprzymierzeńcem, tłumił zapachy. Poza tym trzymała przed sobą Crowa.

- Są w połowie smokami? - Głos mu się załamał z wrażenia.

- Nie wygłupiaj się. Po prostu wzięli komórki dużych koni pociągowych i zaszczepili im geny jaszczurek. I teraz są okryte pancerzem, nie mają instynktu stadnego, za to są przebiegłe, zimne i inteligentne.

- To niemożliwe. Lubilem zajęcia z biologii. Nie mamy narzędzi, żeby zrobić takie rzeczy.

- Jesteśmy bardziej rozwinięci. Mieliśmy dostęp do starożytnych tajemnic. No i mamy też najlepszych nau-

kowców, którzy potrafią je dalej rozwijać.

Chłopak oddychał gwałtownie, a żyła na jego szyi pulsowała szybciej. Wzrok Feral wciąż zatrzymywał się w tym punkcie, ale zmusiła się, aby skupić się na Paradzie. Występowało w niej dziesięć koni. Ich skóra parowała w deszczu, kopytami wzbijały fontanny wody, a ich wielkość sprawiała, że zaparkowane wokół

samochody zdawały się mniejsze niż w rzeczywistości. Sine chmury odbijały się w łuskach i nadawały im krwistoczerwony kolor. Momentami wyglądały na to, czym naprawdę były - obrzydliwymi mutantami. A kiedy indziej zdawały się magiczne i nawet Feral mogła to dostrzec. Ale to nie była magia, tylko nauka.

Nauka, która nie dba o to, czy powołuje do życia potwory, czy cuda ani czy jej twory są szczęśliwe, czy też cierpią. Tworzyła je na chwałę Nowej Atlantydy.

Konie minęły ich, a na ostatnim siedział Prosper. Serce Feral zabiło szybciej.

Od wczesnego dzieciństwa był jej idolem. Kiedy przeszła do szkoły seniorów, był w ostatniej klasie, gotowy, by wypełnić ostatnie zadania i zostać prefektem. Chronił ją, gdy inni się z niej naśmiewali. Pomagał

jej opanować dzikie umiejętności, niesamowitą siłę i wytrzymałość, z powodu których nazwano ją Feral, czyli "dziką".

Zagryzła wargę. Nawet stąd widziała na jego twarzy i szyi szramy, a jedną dłoń wciąż miał

zabandażowaną.

Kiedy ją minął, otworzyły się drzwi u stóp wieży harmonicznego i wyszła z nich kobieta, opierająca ręce na biodrach. Była w mundurze polowym, jak do dżungli. Pod czapką skrywała siwe włosy, spięte w kok tak ciasny, że unosił kącik jednego oka. Drugie oko przysłoniła skórzaną opaską. Wiele lat temu było bardzo głośno o jej zaginięciu. Fizyk wysokiej klasy zaginęła bez śladu, a wraz z nią walizka pełna tajemnic państwowych.

Serce Feral zamarło. Generał wiedziała. Zawsze miała groźną minę ale teraz jej twarz wyglądała tak, jakby wykuto ją z granitu.

- Widziałem ją, kiedy mnie torturowali - wyszczał Crow. - Czy ona się nigdy nie uśmiecha?

- Nie, od kiedy umarł jej syn.

- Moim zdaniem jest podła.

Feral miała ochotę wzmocnić uchwyt na jego szyi.

- Nikt cię nie pytał o zdanie. Ona nas kocha. Wszystko, co robi, robi dla Miasta.

Crow odwrócił się ze złością, aby dziewczyna nie mogła zobaczyć jego miny.

- Na przykład torturuje? I to nie jest miasto, tylko więzienie.

Feral pokręciła głową.

- Nic nie rozumiesz. Tu jest o wiele lepiej niż w twoim świecie. Zamieniają nas w cuda natury; jak nie zdamy egzaminów w wieku dziesięciu lat, uznają nas za niedorozwiniętych. Syn Generał zdał wyższą matematykę, kiedy miał osiem lat.

Chłopak się roześmiał.

- To nie dziwne, że umarł. Mózg mu eksplodował? Znow zacieśniła uścisk.

- Aj! No dobrze. Przestań mnie dusić. - Uniósł rękę, aby osłonić przed nią szyję.

- To się zamknij - ostrzegła. - Jeśli mnie się nie boisz, to bój się prefektów. Są śmiertelnie niebezpieczni. Ich konie też. Jak cię wyczują, będą nas śledzić, aż do upadłego.

Prosper zatrzymał konia i słuchał, co miała mu do powiedzenia Generał. Jej głosu nie można było usłyszeć, ale słowa Prospera przebiły się przez deszcz.

-Co zrobiła Feral?! Niech Bóg ma obcego w opiece. Przecież ona mu rozerwie gardło.

1 Wzrost koni podaje się w dłoniach. Jedna dłoń to około 10 centymetrów. Innymi słowy, konie te mierzyły w kłębie mniej więcej dwa metry.

Puls Crows znów przyspieszył.

- Znajdę ją, dograła się! - usłyszeli oboje krzyk Prospera. W jego głosie była nutka triumfu, jakby przypadł mu do gustu pomysł, że ma ją ścigać.

A teraz stał niecałe dziesięć metrów od nich. Jego zło-to-zielony mundur był nieskalany - nie było na nim ani gałązek, ani plam z trawy, jak poprzedniego dnia. Przy pasie miał paralizator i pistolet na strzałki usypiające, prefekci patrolowali las na wielkich wierzchowcach i nosili broń jako ochronę przed zmutowanymi zwierzętami, które go zamieszkiwały. Ale nadawała się też doskonale do polowania na Feral.

Kiedy Prosper mijiał ich kryjówkę, jego koń skręcił szyję w ich stronę i prychnął, zupełnie jakby wyczuł coś interesującego. I słusznie. Feral znieruchomiała i wstrzymała oddech, ale Prosper tylko spiął wierzchowca obcasami i odjechał.

Feral odczekała, aż za kurtyną deszczu zniknie ostatni koń, a Generał wróci do swojej wieży. Słysząc było tylko spadające krople i urywany oddech Crows, który wyrwał się wreszcie z jej uścisku.

- Słyszałem, co powiedział. - Zęby mu szczękały. -Dlaczego miałabyś mnie zabić? Kim ty jesteś?

Patrzył na nią w ten sposób, tak jak patrzyli w końcu wszyscy. Jakby chcieli zerwać się do ucieczki, gdyby próbowała zaatakować. Więc posłała mu lekki uśmiech.

- Jestem dziewczyną spod znaku Barana. Lubię tańczyć, lubię też puchate zwierzątka.

Nie roześmiał się, ale zobaczyła w jego oczach coś jeszcze, jakby współczucie.

- Nie - odezwał się cicho. - Kim jesteś? Poza tym, że mnie uratowałaś?

- Jestem kadetem. Żołnierzem - odpowiedziała. -Cudem tego świata.

Gdyby znał prawdę, umarłby ze strachu. Nie wiedział, że gdy tuż obok przechodził koń Prospera, Feral mogła myśleć tylko o pulsującej na jego szyi żyłce i swojej chęci, by zatopić w niej zęby.

Wtedy by jej nie współczuł.

Złapała go za rękaw.

- Chodź, musimy iść.

Odciągnęła go od drzwi i razem przebiegli na drugą stronę drogi, do kępy drzew. Kiedy ruszyli bocznymi uliczkami, burza miała się już ku końcowi, a deszcz ustawał. Przed nimi, ponad dachami, widać było kopułę Świątyni.

- Już prawie jesteśmy - powiedziała, gdy minęli kolejny róg.

Zauważyła z boku ruch i z ciemnej alei wynurzył się Prosper. Niebieskie oczy mu błyszcząły.

- Mój koń się przestraszył. Wiedziałem, że musisz być w pobliżu - wycedził i uderzył ją w twarz.

Fan Club

Deimos ściągnął kaptur.

- Jesteście pewni tych nowych? Jeden z Cieni podsunął mu kieliszek.

- Są gotowi, by poznać prawdę. Sprawdziłem ich. Są w porządku.

Był piątkowy wieczór, więc Fan Club był pełen gości. Muzyka grała tak głośno, że trzeba było zwiijać ręce w tutki i mówić jak przez tubę. Ale z tyłu klubu, w oddzielonej alkowie, było trochę ciszej.

-

A ty jak myślisz? - Nachylił się do Bonnie. Odrzuciła do tyłu pasmo długich blond włosów i podniosła wzrok znad monitora.

- Mnie to nie dotyczy. Nie jestem Cieniem.

- Ale nas kochasz. - Zmierzył ją spojrzeniem orzechowych oczu. - Zwłaszcza mnie.

Nie odpowiedziała mu równie szerokim uśmiechem jak zawsze.

- Toleruję cię - sprostowała. - Tak samo jak toleruję fakt, że tu odbywają się spotkania Cieni.

Spróbował złapać ją za rękę.

- Mamy te same cele. Odepchnęła go.

- Jacy znowu "my"? Ja robię swoje i wam też pozwalam robić swoje.

Wygiał usta w podkówkę.

- Pozwalasz. Bonnie westchnęła.

- Tak. Gdyby mi to nie pasowało, tobyście się tutaj nie spotykali. Nie byłoby was nawet w tym mieście.

Chłopak położył rękę na sercu i westchnął.

- Groźby? Na serio cię kocham. Pozwól się gdzieś zaprosić.

Na jej twarzy pojawił się uśmiech!

- Ile masz lat?

- Dwadzieścia pięć - odpowiedział szybko. Uśmiechnęła się jeszcze szerzej.

- Wątpię. Jesteś młodszy. A ja mam trzydziestkę i nie lecę na dzieciaków.

Przyglądał się jej jeszcze przez chwilę, po czym oparł nogi na stole i jednym haustem opróżnił kolejny kieliszek. Patrzyła na niego, wciąż uśmiechając się delikatnie. Deimos nie przewodził tylko surferom, ale też okolicznym Ceniom. Przychodził i odchodził, ale tu spędzał tyle czasu, ile tylko mógł. To tu wszyscy się spotkali, nieopodal usterki w lesie. To tu rekrutowali nowych członków z tłumów surferów. A kiedy przez usterkę w lesie przedostawali się uciekinierzy z Miasta, to tu się nimi opiekowano, w jej mieszkaniu na piętrze.

Ale nie powinien myśleć, że jest także jej szefem. Ona nie miała szefa i nigdy go nie będzie mieć.

Nie wiedziała, jak mu naprawdę na imię, i tak jak wszyscy mówiła na niego Deimos, po grecku pogromca, ponieważ tym właśnie był - pogromcą mórz. Nikt nie potrafił tak surfować jak on. Czasami wśród przerażają-

cych fal on jeden szusował i na ten widok ludzi ogarniało przerażenie. Jego ciało było pokryte bliznami od uderzeń o skały, ale morze nigdy go nie pokonało. Był niesamowity, z grzywą płowych włosów, świetną sylwetką i idealnymi zębami, i doskonale o tym wiedział. Miał piękny głos, zupełnie jakby uczęszczał do dobrych szkół. Podchodził do siebie z ironią. Kiedyś jej się to podobało, a teraz nie była już pewna. Ale tylko ona nie wpadła w jego sidła. Wszyscy inni prędzej czy później ulegali jego czarowi.

Uśmiechnęła się do siebie, stukając delikatnie paznokciami w zęby - sama mogłaby mu ulec, gdyby tylko sobie na to pozwoliła. Nigdy nie ukrywał, że ją podziwia, ale na razie chciała pozostać panią siebie. Nie tylko Cienie miały sekrety.

- Co nowego? - zagaiła, gdy wypił kolejny kieliszek. Wzruszył ramionami.

- Niewiele. Słyszałem, że w Pittsburgu otwarto bramę.

Zawsze był w ruchu, jeździł z jednego tajnego spotkania na następne, zawsze szukając drogi do Miasta.

Dlatego właśnie Bonnie nie mogła do nich dołączyć. Obserwowała usterkę i nie miała najmniejszej ochoty podróżować.

- Ale dla nowych zawsze znajdzie się mnóstwo pracy. - Deimos uśmiechnął się do dwóch obcych przy stole. - To odważycie się do nas dołączyć?

Nowymi rekrutami byli chłopak i dziewczyna. Należeli do surferów, słyszeli co nieco o Cieniach i zainteresowało ich to na tyle, że postanowili się rozejrzeć, dowiedzieć tego i owego. Potem zaczęli pojawiać się na tyłach Fan Clubu z nadzieją, że zostaną przyjęci.

Nachylili się i wpatrując się w niego, pełni zapału zaczęli kiwać głowami.

- A odważycie się oddać wszystko, żeby ratować świat? - zapytał.

Prosper

Kiedy Feral uderzyła o ziemię, ból pulsował w niej jak ogień. Zaczęła się zastanawiać, czemu stworzyli ją niemal niepokonaną, ale nie odebrali tych wszystkich ludzkich odczuć - miłości, nienawiści, zdrady, wstydu -

które były boleśniejsze niż jakikolwiek cios.

Trzymając się za szczękę, z trudem podniosła się z ziemi. Prosper roześmiał się i kopnął ją mocno w zębra, aż poleciała do tyłu, po chodniku, i zatrzymała się u stóp Crowsa. Nachylił się do niej bezradnie, przerażony, ale odsunęła go i przyklęła na chwilę, by wziąć kilka głębokich oddechów i uspokoić myśli.

- Wstawaj, Feral. - Prosper stał nad nią, uśmiechnięty od ucha do ucha, i podskakiwał na palcach jak jakaś zabawka. - Stać cię na więcej.

Oczywiście. Od urodzenia szkolono ją do walki.

- Ta piękna, ponura twarz oberwie jeszcze bardziej, jak złapie cię Generał.

Zobaczyła, że przełknął, zupełnie jakby na samą myśl o tym pociekła mu ślinka. Czowała od niego strach i podniecenie. Strach przed tym, co mogłaby mu zrobić, a podniecenie, ponieważ lubił wymierzać kary kadetom, a najwyraźniej jej w szczególności.

Jednym zwinnym ruchem poderwała się na nogi i jakby od niechcienia go podcięła. Podniósł się szybko i znów ją uderzył. Kopnęła w odpowiedzi, trafiając go stopą w udo.

- Noga nie do użycia - powiedziała, utrzymując neutralny ton, nie dając mu poznać, jak bardzo ją zranił. -

A to tylko początek. Poddaj się.

Odskoczył na bok, potrząsając głową, próbując sprawić, aby mięsień znów zaczął działać. Gdyby kopnęła go z pełną siłą, miałby nogę złamaną w kilku miejscach. Od dawna się pojedynkowali, bo nikt inny nie miał

dość odwagi, by z nią walczyć. Znali nawzajem swoje możliwości i słabe punkty. Wiedział, że bez względu na to, jak trenowali ich instruktorzy, ona walczyła inaczej. Jak dzikie zwierzę, stąd wzięło się jej imię.

Ale nie teraz, nie z nim. Nie może sobie na to pozwolić. Nie może pozwolić, by złość przepelniła jej żyły, bo jeszcze dokończy to, co zaczęła poprzedniej nocy.

Znów ją uderzył, zaskoczony, że ona nie atakuje, z ręką na pistolecie, ona jednak się nie poddała.

- Wisisz mi przysługę - przypomniała. - Puść mnie i powiedz, że mnie nie widziałeś.

Znów go kopnęła, trafiając w podbródek i pozostawiając otarcie na jego idealnej szczęce, jeszcze jeden ślad walki po zadrapaniach na szyi. Zachwiał się, pochylił do tyłu, ale natychmiast odzyskał równowagę.

- Wtedy nie spełniłbym obowiązku. - Zaczął poruszać szczęką w tę i z powrotem, zupełnie jakby wypadła mu z zawiasów. A potem, tak szybko, że nawet tego nie zauważyła, wybił się do przodu i trafił ją w żebra.

- Generał jest bardzo tobą zawiedziona - stwierdził, gdy się zatoczyła.

Oparła się plecami o ścianę i przez moment na jej twarzy pojawiło się zaskoczenie. Jakimś cudem pozwoliła mu, by zapędził ją w róg, bo pilnowała się, by jemu nie zrobić krzywdy. Ale Prosper się tym nie przejmował. Zauważył przewagę i wykorzystał ją, blokując jej drogę ucieczki i celując do niej z pistoletu.

Poczuła na szyi zimną lufę broni.

- To był wypadek - wychrypiała przez ściśnięte gardło. - Ona mnie kocha. Wyjaśnię jej, jak to się uspokoi.

Jego twarz była tak blisko, że czuła jego oddech, gdy roześmiał się okrutnie.

- Nie kocha cię. Nigdy cię nie kochała. Nikt cię nie kocha, Feral. Jesteś dziwołagiem.

Nabrała głęboko powietrza i powiedziała sobie, że mówi jej to, by wzbudzić w niej złość, w nadziei, że znów straci kontrolę, a wtedy Prosper i jego kumple będą mogli się z niej naśmiewać. "To prawdziwa wariatka. Nie podchodźcie do niej, zjada kości".

- Przestań - odezwała się cicho. - Nie będę dalej z tobą walczyć. Pamiętasz wczorajszą noc?

To było rozpoczęcie obchodów Równonocy. Wszyscy mistrzowie i mieszkańcy Miasta kochali te święta, uczyty i parady. Juniorzy i dzieci dzielali ich entuzjazm. Uwielbiali przebieranki, muzykę i gwar. Czekali na swój moment, a około północy biegli do elektrycznych płotów ogradzających Miasto i ignorując parzące iskry, wspinali się na nie i szli do lasu, gdzie górowały nad nimi olbrzymie, potworne drzewa.

A tam kładli się pod drzewami na dywanie z liści albo znikali w parach. Muzyka Harf, niefiltrowana przez bariery, wlewała w ich mózgi szczęście.

Nazywano to surfowaniem po Wielkiej Dziwności, podróż wśród snów i halucynacji, wywoływanych przez Harfy. Czekano do ostatniej chwili, a tuż przed delirium, skakało z powrotem przez płot i biegło, śmiejąc się histerycznie, z powrotem na paradę.

Prosper wziął ją za rękę, razem przeskoczyli przez płot i zniknęli w lesie, podczas gdy Amber szeptała: *Nie wierz mu, on nie jest ci przeznaczony.*

Ale Feral nie słuchała. Dał jej swoją bransoletkę prefekta, a to znaczyło, że mu zależy. Nie wiedziała dokładnie, czym jest miłość, bo bioinżynierowie narobili bałaganu w jej emocjach. Dla niej oznaczały one obserwowanie twarzy i języka ciała. Każde skrzywienie warg, zmarszczenie nosa czy pokręcenie głową mówiło jej więcej niż słowa. A tamtej nocy uśmiech Prospera jej samotna dusza odczytała jako miłość.

Po chwili położył się, a gwiazdy rozświetlały mu twarz. Muzyka Harf upajała ich oboje. Oparła się na łokciu i obserwowała go ze szczerym uśmiechem na twarzy, a nie z tym, który ćwiczyła przed lustrem. Od dawna nie uśmiechała się tak jak teraz. Naprawdę. Światło księżyca było silne i widziała, jak pulsuje mu żyła na szyi. To było tak hipnotyzujące, tak bardzo poruszało coś głęboko w jej myślach, że schyliła się i pocałowała to miejsce.

Moment później Prosper podskoczył i rzucił:

- Au! Co ty robisz?

W tamtej chwili wciąż się uśmiechała, zupełnie jak jakiś zwariowany dzieciak na widok swojego idola.

- Całuję cię w szyję.

Roześmiał się. Jedną ręką złapał ją za gardło, a drugą odsunął od siebie.

- Jesteś pewna? Dziewczyno, czasem chyba coś ci się myli. To bolało.

Zakryła usta dłonią. I wtedy posmakowała krew.

- Przepraszam. Nic ci się nie stało? - zapytała, nie mogąc odczytać wyrazu jego twarzy.

Usiadł i poklepał ją po policzku, po czym przeczesał palcami jej krótkie włosy, usuwając z nich liście i gałązki.

- Nieważne. Było fajnie. Ale teraz muszę iść. To ją speszyciło.

- Jak chcesz.

Ale on już nie słuchał. Szukał czegoś pośród liści.

- Gdzie to jest, do cholery? Podała mu bluzę.

- Tego szukasz?

Naciągnął ją na swój tors sportsmena.

- Musisz już iść? - zapytała.

- No. W końcu jestem prefektem. - Pocałował ją mocno. - To niedozwolone.

W pierwszej chwili się roześmiała. Prosper nigdy nie przejmował się zakazami, jeśli stawały mu na drodze.

- Hej, nie musimy się tym przejmować, jesteśmy najlepsi! - powiedziała, wstając, obracając się wokół i prawie upadając.

- Co robisz? - zagadnął od niechcienia, strząsając z ubrania gałązki i liście.

Myśli jej się mieszały, bo byli już za barierą od ponad godziny. Cienie zaczęły się ruszać, zupełnie jak żywe. Z polanki biegły przez zarośla ciemne dróżki, przypominające tunele. Feral rozpostarła ręce i zaczęła kręcić się w kółko. Bransoletka zsunęła się po jej szczupłym ramieniu. A kiedy dziewczyna się zatrzymała, zaczęło kręcić się jej w głowie.

- Ooj... - Zachichotała.

- Przestań - odpowiedział, a uśmiech zniknął z jego twarzy.

Zignorowała go.

- Powiem coś wszystkim.

- Zamknij się - rzucił. - Dziwność cię dopadła.

Znow się zakręciła.

- Ja i Prosper! - krzyknęła. - Jesteśmy... Poderwał się i zakrył jej dłonią usta.

- Cii!

Nieświadomie odepchnęła jego rękę z taką siłą, że nawet on nie dał jej rady.

- Dlaczego mnie hamujesz? Odsunął się od niej.

- Na miłość boską, Feral. Musimy wrócić za płot. To ci pomieszało w głowie. To nie jest serio. Po prostu trochę się zabawiliśmy.

Mówiłam ci, wyszeptala w jej umyśle Amber. On chodzi z asystentką laboratoryjną z krypty.

- Nie, to nieprawda - wymamrotała, odpędzając głos przyjaciółki jak muchę. Jakby w odpowiedzi zapiszczał jej telefon. Spojrzała na zdjęcie, które przesała jej Amber.

Zalała ją fala złości, aż zgięła się w pół. Zupełnie jakby jego zdrada uderzyła ją z siłą młota. Nigdy nie czuła niczego z taką mocą, chociaż wszystkich kadetów regularnie karano, a ona była przyzwyczajona, by ignorować ból. Cierpienie przeszło ją na wskroś. Krzyknęła i objęła się rękami.

- Feral? Co jest?

Był tuż obok, udawał niepokój, chociaż dopiero widziała zdjęcie, na którym obściskował się z jakąś panną z laboratorium. Podetknęła mu telefon pod nos.

- To prawda?

Roześmiał się. Zmierzył jej włosy, zupełnie jakby była przyjaznym psem.

- Hm... tak. To jakiś problem? Chyba nie myślałaś, że to na poważnie? Przede wszystkim to zakazane.

- To cię nie powstrzymało! - wykrzyknęła.

Zmarszczył brwi.

- Hej, nie wiesz, jak to jest z prefektami? Wszyscy jesteśmy zestresowani. Jest ostro. Za każdym razem, gdy wychodzimy, Cienie depczą nam po piętach. Atakują z ukrycia, nigdy nie wiadomo, kiedy się ich spodziewać.

-Ucałował ją w usta. - Trzeba jakoś się wyluzować.

Wstała powoli. Ból stawał się coraz większy. Nie mogła wyprostować nóg. Łokcie jej zatrzęszczały, ale w pierwszej chwili myślała, że to Wielka Dziwność.

- Tylko tyle to dla ciebie znaczyło? Wyluzowanie? Patrzyła na niego zdziwiona.

Wyciągnął przed siebie ręce i się uśmiechnął.

- Chodź do mnie. Jesteś taka słodka, jak się złościś. Ale już go nie słuchała. Patrzyła na pulsującą na jego szyi żyłę i ogarniała ją złość, jakiej nie czuła nigdy wcześniej. Bulgotała w niej, podchodziła do gardła. I wtedy wszystko poszło nie tak.

A teraz zapowiadało się, że znów pójdzie nie tak, w alejce nieopodal Świątyni, w obecności obcego. Ten upiorny ból znów zaczął rozprzestrzeniać się w jej ciele. Spojrzała mu w oczy, kiedy pochylił się nad nią, z jedną ręką opartą o ścianę.

- Jesteś pewien, że tylko wypełniasz rozkazy Generala i bierzesz mnie do niewoli? Bo mam wrażenie, że sprawia ci to za dużo przyjemności - odezwała się, próbując zapanować nad oddechem i się uspokoić.

- Och, wiem, co robię. - Uśmiechnął się złośliwie. - Ale może masz rację i powinniśmy z tym teraz skończyć, zanim znów będziesz miała atak. Chcesz, żebym powtórzył wszystkim, co widziałem?

Przełknęła ślinę.

- Zdaje się, że już to zrobiłeś.

Spojrzał na nią zimno.

- Nie wierzę, że myślałaś, że to było na serio, kiedy surfowaliśmy po Dziwności, skarbie. - Oblizał wargi. -

Jesteś dziwołagiem.

Jego ręka powędrowała do zadrapań na szyi. Wyglądało to tak, jakby wdał się w bójkę z dzikim zwierzęciem.

- To znów się stało? Dlatego zabiłaś Trajana?

Patrzyła na jego przystojną twarz i nie mogła uwierzyć, że dała się nabrać na jego kłamstwa. Zsunęła bransoletkę, którą od niego dostała, i rzuciła mu pod nogi.

Lufa pistoletu wbiła jej się głębiej w szyję.

- Zadałem pytanie.

- Powiedział, że spóźni się na lunch. Nie powinien tego mówić.

Nie odrywając od niej oczu, odchylił się do tyłu i złapał Crowa za kurtkę, prawie zwalając go z nóg.

Chłopak był przerażony. Wyglądał, jakby miał zaraz dostać torsji, ale nie odrywał wzroku od Feral.

- Ona jest dziwolągiem? - wymamrotał, próbując wyrwać się z uścisku Prospera. - Co to znaczy, że jest dziwolągiem?

Prosper roześmiał się, opryskując ją śliną.

- Jest chimera. Przerobili ją w krypcie. Chcieli doskonałego drapieźnika. Chcieli żołnierza, który nie ma sumienia, nie czuje winy. Za to ma wytrzymałość i siłę dzikiego zwierzęcia. - Skrzywił się. - Wyszła im Feral.

Ona nie jest dziewczyną, tylko maszyną do zabijania.

Feral patrzyła na Crowa, któremu opadła szczęka. Odwrócił głowę, a górna warga wykrzywiła się z obrzydzenia. Odwrócił się do Prospera, byle tylko nie patrzeć na nią.

- Zabiła tamtego faceta. - Wskazał trzęsącym się palcem, a jego ciemnoszare oczy stały się wrogie. -

Widziałem. To jej szukasz, to jej wina, nie moja.

Mamrotał, łapiąc Prospera za bluzę jak wybawcę. Prosper uśmiechnął się kpiarsko.

- Brawo, Feral. Zrujnowałaś swoje życie dla tego lchórza - stwierdził wesoło. - Dla złodziejaska, który się tobą brzydzi.

Wycelował w nią ostentacyjnie pistolet.

- Pa, pa. Kiedy się obudzisz, będziesz nowo narodzona i ulepszona. Może znów się spotkamy i tym razem nie rozszarpiesz mnie na strzępy. - Zaczął naciskać spust. Drugą ręką złapał Crowa i poderwał go na nogi. -1

może następnym razem będziesz pamiętała, żeby nie zadawać się z takim robactwem.

Spotkała na chwilę spojrzenie Crowa. Uniósł dłoń. Trzymał w niej paralizator Prospera. I przycisnął go do klatki piersiowej właściciela.

- To ty jesteś robactwem - wycedził i włączył paralizator.

Kiedy ustało wyładowanie, Feral spojrzała na drgającego na ziemi Prospera. A potem na Crowa. Mrugnął

do niej spod grzywy mokrych włosów.

- Uratowana przez przestępcę. To chyba jesteśmy kwita.

Wyciągnął do niej rękę, ale ona nie przyjęła uścisku.

- Miałam wszystko pod kontrolą.

Nie uratował jej przed Prosperem. Uratował Prospera przed nią. Jeszcze chwila, a znów by się na niego rzuciła. Crow uśmiechnął się szerzej.

- Ta, pewnie.

Był tak blisko niej i zupełnie nie zdawał sobie sprawy z grożącego mu niebezpieczeństwa. Widziała, jak pulsuje mu na szyi żyła, i niesamowicie ją pociągał, ale nie mogła dopuścić do tego, by dzikość znów wzięła górę. Musi go ostrzec i trzymać na dystans.

- Sam jesteś sobie winny, ty zrobiłeś to zamieszanie -powiedziała, zła na siebie, ale wyglądało na to, że nie ona jedna. - Nie jestem twoją przyjaciółką. Rozumiesz?

Uśmiech zniknął z twarzy Crowa. Uniósł ręce w obronnym geście.

- Dobrze, rozumiem. - Zraniła go tymi słowami. -Nie musisz mi mówić, że to moja wina. Tylko to zawsze słyszę.

Złapała go za rękaw, ale wyrwał się jej.

- Zostaw mnie. Sam trafię. Puściła go, a on pobiegł do Świątyni.

Mowa Deimosa

W klubie dudniła muzyka elektroniczna. Dwoje nowych rekrutów nachyliło się z niepokojem, by nie uronić ani słowa. Bonnie słuchała tylko jednym uchem, bo słyszała to już wielokrotnie.

- To, co wam powiem, zabrzmii jak bajka - powiedział Deimos. - Ale każde moje słowo jest prawdziwe i nic tego nie zmieni.

Nachylił się do nich.

- Co wiecie o Atlantydzie? Chłopiec zamrugnął zaskoczony.

- To było idealne miasto. Zostało zniszczone tysiące lat temu i od tej pory wszyscy go szukają. Tyle że ono nigdy nie istniało.

Deimos oparł się z powrotem.

- Nieprawda. To nie jest mit, ale nikt nigdy nie znajdzie ruin tego miasta, bo nie ma ich w tym świecie. Wydaje wam się, że jesteśmy pierwszą cywilizacją, która ma technologię, ale już w przeszłości zdarzało nam się

docierać na szczyty. Teraz dysponujemy zaawansowaną technologią, ale tysiące lat temu też mieliśmy niesamowite urządzenia i olbrzymią wiedzę.

Dziewczyna słuchała z zaciekawieniem. Deimos miał coś w sobie. Nie chodziło tylko o to, że gonił za adrenaliną i walczył z najgroźniejszymi falami. Było w nim też coś bezwzględne, ale czyste, jakby był błędnym rycerzem na wyprawie.

- Wiedzieli, jak wykorzystywać dźwięk. A urządzenia, które kontrolowały tę moc, nazwali Harfami.

- Używali magicznych harf? - Chłopak się roześmiał. Deimos skinął głową.

- To stąd są opowieści o potężnych harfach. Ale technologia, którą wykorzystują, jest prosta, a zarazem zadziwiająca. Dźwięk może zabijać. Może zamienić w proch szkielet i wnętrze. - Wskazał na ludzi tań-

czących na parkiecie. - Może otumaniać, doprowadzić do szaleństwa albo rozbijać szkło. Przy odpowiedniej

sile może przesuwac przedmioty. A jak zrobi się odpowiednio duże Harfy, dźwięk może przenosić miasta, rozbijać rzeczywistość, odcinać je od tego wymiaru i przenosić do innego.

- Avalon zaginął we mgłach - odezwała się dziewczyna. Nie odrywała od Deimosa wzroku.

Skinął głową.

- Tak, był tam ktoś, kto wiedział, jak obsługiwać Harfy. Tak samo było z ukrytymi miastami. Ale utraciliśmy tę wiedzę.

Sięgnął po kieliszek, po czym wytarł dłonią usta.

- Kiedy zniszczono pierwszą Atlantyde, niektórzy mistrzowie uciekli i się ukryli. Pilnowali sekretów

Miasta przez całą starożytność. W średniowieczu stali się nawet potężniejsi i tajniej niż masoni.

- I wciąż istnieją? - zapytała bez tchu dziewczyna.

- Tak. Połowa najlepszych badaczy świata się do nich przyłączyła. Sprawdźcie, jak mi nie wierzycie.

Nigdy jeszcze nie byli tak potężni, jak dziś. - Uderzył kieliszkiem w stół. - Astronomowie, informatycy,

psychologowie, fizycy i nobliści znikają w tajemniczych okolicznościach. Wszyscy zostali zwerbowani do

Zakonu Nowej Atlantydy.

- Słyszeliśmy, że jest nowe Miasto - odezwał się chłopak.

- Tym razem wybrali koniec świata, północne wybrzeże Szkocji, pierwotny, nietknięty przez człowieka las.

Nowicjusze spojrzeli na siebie z przejęciem.

- Słyszeliśmy, że to ten za klubem.

- Zgadza się. Sto lat temu zaczęli odbudowę. Wykorzystali wszystko to, co kochali w starych miastach naszego świata: Paryżu, Berlinie, Londynie, Nowym Jorku, Pekinie. A potem włączyli Harfy i wszystko

zniknęło.

Bonnie rozejrzała się wśród siedzących przy stole. Wszystkich Deimos oczarował swoją przemową, nawet

Cienie, które słyszały tę opowieść już wiele razy. Był dobrym mówcą, a kiedy przemawiał, wkładał w to

mnóstwo serca. Cokolwiek by o nim mówić, na pewno w pełni poświęcał się misji zniszczenia Nowej

Atlantydy.

- Chcą stworzyć idealne społeczeństwo - mówił dalej. - Utalentowani i inteligentni będą na szczycie, obsłu-
giwani przez tych mniej uzdolnionych. Wszystko będzie kontrolowane. Żadnej przemocy, żadnych wojen.

Nieroby umrą z głodu, jeśli nie wezmą się do pracy. Przestępcy będą karani zgodnie z przewinieniami, oko za
oko, ząb za ząb, więc nie będzie zbrodni.

Tym razem chłopak poczuł się nieswojo.

- Ale co w tym złego? - zapytał powoli. - Mojego brata okradziono, kiedy miał piętnaście lat. Złodzieje zabrali mu komórkę, a
do tego przystawili nóż do gardła. -Przełknął z trudem ślinę. - To mu pomieszało w

głowie. Chcę ich znaleźć i powybijać im zęby.

Deimos pochylił się i rzekł z zapalem:

- Tak! Na tym właśnie polega niebezpieczeństwo Nowej Atlantydy, jest logiczna. Bezpieczne ulice,
wszyscy dostają to, na co zasługują. Ale posłuchaj reszty. Jeśli jakiś gatunek nadmiernie się rozmnoży, to
trzeba go przetrzebić, prawda?

- Tak - odpowiedział niepewnie chłopak. Deimos uśmiechnął się do niego.

- Chcesz umrzeć?

Świątynia

Crow przesunął dłonią po kamiennej figurze wykutej w potężnych łukowatych wrotach. To był anioł, a może demon... trudno powiedzieć.

- Nie podoba mi się tutaj. Wolę być w ruchu. Cofnął się, osłonił ręką oczy i spojrzał na zewnątrz.

Deszcz przestał padać równie gwałtownie, jak zaczął, zupełnie jakby ktoś zakręcił kran. Chylące się ku zachodowi słońce odbijało się w kałużach i kropkach kapiących z drzew i dachów. Ziemia parowała i lśniła.

Świątynia wyglądała na starszą niż inne budowle w Mieście, jakby została wzniesiona w średniowieczu, z granitu. Z paszcz siedzących na dachu gargulców lała się woda. A nad nimi górowała olbrzymia kopuła, szarozielona ze starości.

Feral czekała na niego przy wrotach. Miała zmarszczone brwi.

- To marnie, no, chyba że chcesz, żeby cię złapali.

- Myślałem, że się ucieszysz, jak się mnie pozbędziesz - odpowiedział i ruszył do niej.

- Pewnie. - Otworzyła mu pociemniałe ze starości dębowe drzwi i patrzyła gdzieś w dal nad jego ramieniem.

Zatrzymał się.

- Słuchaj. Wiem, że nie jesteśmy przyjaciółmi, ale dlaczego mnie po prostu nie zostawisz? Nie chcę cię pakować w jeszcze większe kłopoty. Już i tak czuję się winny.

Kopnęła w drzwi.

- Może to dlatego, że jesteś złodzie...

- Oj, daruj sobie. - I minął ją bez słowa.

Świątynia była w środku bogato udekorowana i błyszcząca, ale ledwo zrobił kilka kroków w głąb, a dopadła go klaustrofobia. Smugi światła przechodziły przez wysokie witrażowe okna, zupełnie jak promienie zesłane przez Boga, ale cienie, które przenikały, były ciemne i ponure.

Na pewno było tu bogato. Zamiast ław kościelnych stały wyściełane czerwonym aksamitem krzesła, a obok stoliki zastawione srebrnymi pucharami oraz szklanymi karafkami wypełnionymi rubinowym płynem.

Na ścianach wisiały aksamitne zasłony i ciężkie arrasy, utkane z bogatych czerwieni, ochry, indygo i złotych nici, a podłogi były zasłane chińskimi jedwabnymi dywanami. Długie świece w żelaznych obręczach pod ścianami, a także w niewielkich

świecznikach na stołach czekały, by je zapalić.

Pod kopułą znajdowało się centralne podium. Ustawiono na nim w kole dwanaście krzeseł podobnych do tronów. Wnętrze kopuły ozdobił obraz nieba i aniołów. Pod nią stała Feral z uniesioną głową, zupełnie jakby modliła się do wymalowanego nieba. Crow nawet nie zauważył, kiedy tam przemknęła.

Zbliżył się do niej, a jego mokry płaszcz otarł się o stolik. Kiedy strącił na podłogę srebrny puchar, podniósł go, zajrzał pod spód i z przyzwyczajenia wsunął do kieszeni.

- Po co żołnierzom i katom miejsce do modłów? -zapytał.

Wzruszyła ramionami.

- To należało do Atlantów. Modlimy się tak jak kiedyś oni.

Wciąż nie chciała na niego spojrzeć. Widział na jej twarzy ślady bójk, ale zdawały się z każdą chwilą blednąć, jakby od razu się goiły.

- To o co się modliłaś?

- Nie modliłam się. Prosiłam mojego Anioła Stróża o pomoc.

To na chwilę zbiło go z tropu.

- Wierysz w anioły? Spojrzała na niego złotymi oczami.

- Tak. Czasem czuję jego obecność, jak sprawy się komplikują albo jak jest mi źle.

Pozwolił sobie na uśmiech.

- Widzisz anioła?

- Nie, ale czuję, że jest blisko. - Spojrzała na niego krzywo. - Nie patrz tak na mnie. To prawda. Wiem, co czuję.

Crow pokręcił głową.

- Nie do wiary. To zupełnie zwariowane. Najpierw jakiś chłopak bije cię w twarz, a chwilę później rozmawiamy o aniołach.

Wzruszyła ramionami.

- Prosper i ja trenowaliśmy razem, znamy swoje

możliwości.

- Bronisz go?

Z jednego ze stołów podniosła nożyk do przycinania świec i poklepała nim swoją dłoń.

- Tam, skąd pochodzisz, mężczyźni nie biją się z kobietami?

- Nie! To znaczy tak, ale tylko nieudacznicy, męty. Patrzyła na niego uważnie.

- Uderzyłbyś dziewczynę? Pokręcił głową.

- Nigdy.

- Mnie też nie? Chociaż wiesz, do czego jestem zdolna?

- Nawet ciebie - odpowiedział. - Mogę wygrać, nie używając pięści.

Patrzyła mu w oczy.

- Nie sądzę - odpowiedziała sucho. Obracała w palcach nożyk jak krupier tasujący żetony, by zrobić wrażenie na graczach. Raz za razem przesuwiała go przez szczupłe palce, jak groźbę.

Chciał jej powiedzieć, żeby się odwaliła, ale sobie odpuścił.

- Nie dziwię się, że wszyscy się ciebie boją. Widziałem mistrza i tego prefekta. Obaj byli przerażeni.

Wycelowała w niego małe ostrze, które trzymała w wyprostowanej ręce jakby to była strzelba, i wpatrywała się w jego czubek.

- Mają rację, że się mnie boją. - Zmrużyła bursztynowe oczy. - Odłóż ten przedmiot, który ukradłeś.

To zrobiło na nim wrażenie. Musiała mieć doskonały wzrok, skoro zauważyła, że wziął puchar. Wyciągnął go z kieszeni i odstawił na stolik. A potem rozkrzyżował ręce, aby pokazać, że już nic nie ukrywa.

Opuściła nóż.

- Umiesz włamywać się do samochodów?

- Tak. Bez problemu. Skinęła głową.

- Zostań tu i poczekaj na mnie. Muszę iść porozmawiać z panią Generał.

- I prosić o przebaczenie? Daj sobie spokój. Lepiej od razu uciec.

Minęła go.

- Nie mów mi, co mam robić.

Patrzył, jak odchodzi - szczupła postać w czarnym mundurze, wysokich butach, o krótkich, okalających (warz włosach).

- Już tęsknię! - krzyknął za nią. Jakie to dla niego typowe. Zawsze musiał mieć ostatnie słowo, musiał na--- przykrzać się tak długo, aż wywołał reakcję.

Spojrzała na niego przez ramię.

- Uważaj na Amber - powiedziała. - Jest niebezpieczna. Może i wygląda na słodką, ale to tylko pozory.

Stał tak, dopóki nie usłyszał zatraskiwanych drzwi i stwierdził, że odeszła. Zapadała ciemność. A potem pozwolił, by ogarnęło go potworne przygnębienie. Tylko raz czuł się podobnie. Splótł palce na karku i ukucnął.

- Nigdy się stąd nie wydostanę - jęknął.

Odchylił się do tyłu i usiadł po turecku w kręgu tronów. Złożył ręce jak do modlitwy, zupełnie jakby znów miał siedem lat i był

na szkolnym apelu.

- Drogie anioły, proszę, wyciągnijcie mnie stąd - zaczął błagalnym tonem.

Zaczekał chwilę, jakby oczekiwał natychmiastowej odpowiedzi, po czym ukrył twarz w dłoniach. Co on robił? Modlił się do aniołów. Przecież one były na usługach Boga, który pozwolił, aby coś takiego mu się przydarzyło.

Rozpacz zastąpił gniew. Spojrzał w górę.

- Wiecie co? Nieważne. Nie potrzebuję niczyjej pomocy, żeby się ukarać.

Pogroził pięścią wymalowanemu nad nim niebu.

- Tak, zrobiłem kiedyś coś złego. Chwila głupoty. Nigdy się z tym nie pogodzę. Wiem, że jestem zły. - Zamilkł i rękawem otarł oczy. - Ale przysięgam, że nigdy nie chciałem nikogo skrzywdzić. Nigdy!

Wstał i przewrócił kopniakiem stojący nieopodal stolik. Po podłodze potoczyła się kryształowa karafka.

- Po co ja w ogóle strzępię sobie język? Nie ma żadnych aniołów ani Boga, który by mnie wysłuchał. To wszystko tylko przypadek. - Wyciągnął w górę ramiona, a spod rozpiętego płaszcza, przez dziury w koszuli, widać było jego nagą pierś. - No dalej, traf mnie piorunem, jeśli naprawdę tam jesteś! Ukarz mnie!

Pośliznął się na karafce. Rozzłoszczony schylił się, podniósł ją i przechylił do ust. Poczł smak kwaśnego czerwonego wina.

- Zostaw to! To nie dla ciebie --- odezwał się ktoś cicho.

Upuścił karafkę i wstał.

- Kto tam?

Przy drzwiach coś się poruszyło, ktoś podszedł do niego na palcach, jak wystraszona sarna. Crow ujrzał

burzę rudych włosów, twarz białą jak mleko i wielkie ciemne oczy.

- Ktoś, kto cię uratuje. Jestem Amber.

Wieża harmoniczna

Wieczorne ptaki krążyły wokół wieży i przysiadły na parapetach, łypiąc groźnie - wielkie stworzone przez Harfy stwory, które wylatywały z lasu o zmierzchu.

Pokój na szczycie był pięciokątny, z oknami wychodzącymi na wszystkie strony. Połowę pokoju zajmowała skomplikowana

maszyna, a w drugiej stały stare dębowe biurko i skórzany obracany fotel.

General Belisarius patrzyła przez okno na miasto, które przygotowywało się do obchodów Równonocy.

Tutaj była u siebie. Miała na sobie galowy mundur w kolorach zieleni i złota, barwach Nowej Atlantydy.

Lustrowała miasto swoim jedynym okiem. W kilku miejscach rozświeciły się białe punkty, to tam szykowały się platformy, które wjadą na główne ulice, na wielką paradę.

Feral wyłoniła się z cienia. Wpatrywała się w ten mundur. Jej umysł opanował gniew, chroniący ją przed bólem, jaki mógł ją dopaść na widok kobiety, która miała ją kochać. Ale według Prospera nikt jej nie kochał.

- Witaj, Feral.

General zobaczyła ją w szybie. Wraz z zapadającym zmrokiem w szkłe zaczęło odbijać się wewnątrz wieży, nakładając się na obraz miasta. Ich twarze stanowiły dwa blade owale.

- Przepraszam za mistrza Trajana - odezwała się cicho.

Zobaczyła, że Generala wzruszyła lekko ramionami.

- Miasto jest wszystkim. Spójrz na nie, Feral. - Kobieta opuściła wzrok na ginące w mroku ulice i budynki.

- To jak dodatek do duszy. Nic nie może go skrzywdzić. Jesteśmy jak pszczoły w ulu, w Mieście żadna osoba nie jest ważniejsza od drugiej. - Westchnęła. - Stałaś się niebezpieczna, Feral. Będziesz musiała się odrodzić.

Feral ogarnęło przerażenie.

- Nie, tylko nie to, nigdy.

- Byłaś kiedyś moim najlepszym kadetem. - Generala odwróciła się, ale Feral była szybsza i znów stanęła za jej plecami. Tym razem ich odbicia pojawiły się w innym oknie. - A teraz potrzebujesz pomocy. Odrodzenie jest bezbolesne. Wiesz o tym.

Feral pokręciła głową.

- Wziąć mój rozum, wyczyścić i zastąpić moje myśli i wspomnienia innymi? Nie.

Ten pomysł przerażał ją bardziej niż śmierć, bo odrodzenie w krypcie oznaczało, że ta iskra, która stanowi twoją duszę, twoją istotę, znika. Postępowali tak z ludźmi z zewnątrz, takimi, którzy słyszeli pogłoski o Nowej Atlantydzie albo należeli do jakiejś sekretnej grupy, próbującej ich zatrzymać, jak choćby Cienie.

Ale czasem używano tej techniki wobec swoich. Feral widziała, jakie efekty wywierała na kadetach, na przykład na tej dwójce nadpobudliwych bliźniaków z klasy niżej. Chłopcu i dziewczynce, którzy nie potrafili usiedzieć na miejscu ani spełniać rozkazów, bez względu na to, ile razy byli karani. A kiedy wrócili z krypty, byli posłuszni. Mieli nowe wspomnienia, nowe osobowości, zupełnie jakby obce dusze wkradły się do ich ciał

i je opanowały.

W ich oczach widać było, że w środku znalazło się coś innego, z innymi wspomnieniami i upodobaniami.

Gdyby Generala to samo zrobiła z jej umysłem, Feral zniknęłaby na zawsze. Tak niewiele było naprawdę jej -

na pewno nie jej życie, które należało do Miasta. Ale jej dusza należała tylko do niej.

- Nie, potrzebuję przebaczenia - wyszeptwała. - Zabiłam Trajana, ale nie czuję się winna. Wolę uciec, niż zgodzić się na karę - mówiła teraz jeszcze ciszej, ale stała tak blisko, że nie miało to znaczenia. - Musisz mi wybaczyć.

- Nie mogę. "Rzecz to piękna zaprawdę, gdy krocząc w pierwszym szeregu, ginie człowiek odważny"2 -

zacytowała Generala. - Ale nie zastrzelony przez własnego ucznia.

Feral zapatrzyła się w szyję Generala. Kiedy odwróciła wzrok, wyszeptwała: -

Dzieje się ze mną coś złego. Wiesz o tym? Generał znów spróbowała na nią spojrzeć, ale w końcu zrezygnowała.

- Wszystko zrobiliśmy prawidłowo. Byłaś wybrana. Byłaś idealna - powiedziała. - Zostałaś tu przyniesiona, gdy miałaś raptem kilka dni, z innymi z tego poboru, by służyć Nowej Atlantydzie. Kiedy cię zobaczyłam, wiedziałam, że zostaniesz pierwszą chimera.

Wraz z ciemniejącym niebem szyba coraz wyraźniej odbijała się w szybie. Twarz Generał była biała jak ściana, może ze złości albo z przerażenia, z czerwoną wyspą ust.

- To twoja wina. - Feral próbowała zapanować nad głosem, gdy złość zaczęła przegrywać z rozpaczą. -

Chciałaś stworzyć idealnego żołnierza, lepszego niż prefekci. Takiego, który nie ma litości dla swojej ofiary, który nie podważa decyzji dowódcy i potrafi podejmować trudne, nieodwracalne decyzje. No i twoje życzenie się spełniło! Podjęłam decyzję. Trajan chciał zabić niewinnego chłopca. To było złe.

Program "Chimera" odnosił sukcesy w eksperymentach ze zwierzętami. Stworzono kilka użytecznych ras.

Więc kiedy zabrano się do tworzenia idealnego żołnierza, mistrzowie postanowili skopiować psychikę, siłę i reakcje idealnego drapieżnika - wilka. Zacięty i bezlitosny, ale lojalny, wierny i posłuszny swojemu klanowi.

- Kiedy inni kadeci byli w swoich pokojach, ja byłam w krypcie. Wiedzieliście, co robicie.

Manipulowaliście DNA i komórkami, przeszczepialiście kości, sterowaliście hormonami. - Zaciśnęła rękę na ramieniu Generał. Kobieta skrzywiła się, ale ani drgnęła. - Poczuj, że moje kości mają większą gęstość. I pogratuluj sobie, że nie czujesz mojego ugryzienia.

- Feral, natychmiast przestań. - Odwróciła się i tym razem Feral nie stanęła za jej plecami, ale wciąż trzymała ją w uścisku.

- Nie. - Feral uśmiechnęła się, a może skrzywiła. Nawet ona nie była pewna. - Nie pamiętam z tych operacji za wiele. Poza bólem.

- Pomyśl, co zyskałaś.

- Tak. Zmieniony system odpornościowy, wytrzymałość, dzięki której mogę przebiec sto kilometrów w ciągu dnia, sprawne mięśnie, pozwalające rozpędzić się do pięćdziesiątki na godzinę i dające siłę wilka.

Specjalne endorfiny, które mam w mózgu, połączone z produkcją adrenaliny, żeby wilczy rozum włączał się, jak pojawi się niebezpieczeństwo. No i czyste myśli. Zero poczucia winy, wątpliwości, wyrzutów sumienia.

Generał spojrzała na trzymającą ją dłoń.

- Przestań - powiedziała lodowatym tonem. - Natychmiast mnie puść.

Palce Feral zdrząły, jakby chciały posłuchać rozkazu, tak jak trenowano ją przez całe życie, ale się przemogła.

- Daliście mi myśli i siłę wilka. A teraz moje ciało chce nim się stać.

Teraz nawet Generał się jej bała. Czuła to na jej skórze.

- Kiedy chodzę ulicami Nowej Atlantydy, czuję, jak wiatr mierzwi mi futro, a mój wilczy ogon dotyka mijanych ludzi, chociaż wciąż wyglądam jak człowiek.

- Uważaj, co mówisz. Jesteśmy przyzwyczajeni do cudów, ale przemiana jest niemożliwa.

- Też tak myślałam - wyszeptała Feral. - Ale skoro to jest tylko w moim mózgu, to czemu czułam się, jakby mnie rozrywało na strzępy, kiedy wkurzyłam się na Prospera? Jakby moje kości przybierały kształt innego stworzenia? Wilka? Dlaczego prawie go zabiłam? Zębami i pazurami? - Zamilkła i kilka razy głęboko odetchnęła, po czym mówiła dalej. - Dlaczego mi to zrobiłaś? - wysyczała.

Pamiętała tylko ból, który rozdzierał każdy staw, każde włókno, cząstkę jej ciała. Czuła to już wcześniej, gdy była zła lub groziło jej niebezpieczeństwo, ponieważ wilczy rozum, który jej dali, budził się pod wpływem adrenaliny, ale nigdy tak gwałtownie, nigdy to tak nie bolało. To się stało dopiero po tym, jak leżała pod gwiazdami z Prosperem, wtedy naszło ją to okropne pragnienie.

2 Tyrteusz, przekł. W. Appel (przyp. tłum.).

Specjaliści, którzy stworzyli ją w krypcie, zapomnieli, że nie tylko strach i niebezpieczeństwo wywołują przyływ adrenaliny, ale też miłość.

Prosper najpierw się śmiał, bo myślał, że Feral zachowuje się tak, bo jest na niego wściekła za zdradę, a potem jej zęby zaczęły szarpać jego gardło. Pamiętała jego puls na swoich wargach i jak przyspieszał. Uczucie narastającego podniecenia, jakie ogarnia drapieżnika, gdy czuje strach ofiary.

Jej usta stały się bronią, a w umyśle zrodziła się przemożna potrzeba, by gryźć. Wydawało jej się, że ma pa--- zury, i ich użyła. Chciała rozszarpać świat, zniszczyć wszystko, co było w jej zasięgu.

Nagle Prosper zaczął się od niej odsuwać. Trzymał się za szyję, a przez palce ciekła mu krew. Pamiętała, jak krzyczał, jak nadbiegła grupa kadetów, a potem więcej bólu, ale było za ciemno i nikt nie wiedział, co tak naprawdę się stało.

- Jacyś kadeci znaleźli mnie z surową zajęczą łapą w ręku i krwią wokół ust. Jadłam go z kośćmi i wszystkim. - Przełknęła z trudem. Pchnęła Generał tak, że ta zatoczyła się na ścianę. Spojrzała na nią, próbując nie skupiać uwagi na jej pulsie. - Co mi zrobiłaś? Co to za sztuczka z harmoniczną?

Generał uniosła brodę, a spod czapki wysunął jej się kosmyk siwych włosów.

- Żadna. To musi być twoja wina. Kiedy się odrodzisz, będziesz uleczona.

Feral pokręciła głową.

- Zarządziłabym taką samą karę dla mojego drogiego syna! - upierała się Generał. - Gdyby tu nadal był.

Nie może być wyjątków.

- Więc lepiej, żebym umarła - odpowiedziała Feral.

Przez chwilę obie wpatrywały się w ramkę ze zdjęciem na biurku. To był jedyny osobisty przedmiot osobisty w pokoju. Przedstawiało siedzącego na wózku inwalidzkim bladego, zdecydowanie za małego i za drobnego jak na dwanaście lat, szczupłego chłopca, który ledwie potrafił zmusić się do uśmiechu. Generał

odepchnęła rękę Feral, podeszła do biurka i przytuliła do piersi zdjęcie. Nagle wydała się znacznie starsza i bardziej bezradna niż zazwyczaj, zupełnie nie jak ona.

- On żyje - wymamrotała.

Feral zdziwiona zmarszczyła brwi.

- Jak to? Był chory. Umarł. - To było osiem lat temu. Była za mała, aby wiele z tego zrozumieć, ale na pewno pamiętała

pogrzeb.

General patrzyła na nią tak, jakby właśnie doznała olśnienia.

- Może jednak masz szansę, by uniknąć odrodzenia - powiedziała powoli.

Podeszła do Feral i położyła jej dłonie na ramionach.

- Zane nie umarł. Został porwany przez Cienie. Był tak chory, że nie wierzyliśmy, że przetrwa. -

Zmarszczyła brwi. - Ale niedawno dostałam informacje, które pozwalają mi sądzić, że jednak utrzymali go przy życiu.

Zacisnęła dłonie i spojrzała Feral prosto w oczy.

- Biegnij. Idź do zewnętrznego świata. A kiedy spotkasz Cienie, powiedz im, że uciekaś. - Poklepała Feral po policzku. - Odnajdź mojego syna, a ci wybaczę.

Amber

Coraz mniej światła wpadało do Świątyni. Cienie gęstniały.

- Nie przejmuj się Feral - powiedziała Amber. - Warczy na wszystkich. Nawet na mnie, a jestem jej najlepszą przyjaciółką.

Podeszła do niego tanecznym krokiem. Jedną ręką ścisnęła płaszcz. Sama go zaprojektowała, ot, żeby coś zrobić. Był aksamitny i powiewał wokół niej jak ciemnoniebieski krąg. Był spięty pod szyją długą srebrną zapinką.

Amber usiadła na jednym z krzeseł pod kopułą i zmierzyła go spojrzeniem spod długich rzęs. Był słodki z tymi łobuzerskimi oczami, to na pewno, ale w jego myślach były ciemna chmura i cierpienie. To nie krypta je wywołała, były tam już od jakiegoś czasu.

Uśmiechnęła się do niego, ale on tylko się na nią gapił. Wyglądał tak, jakby zaraz miał uciec. Co mu zrobiła Feral?

- Powiedziała ci, czemu tu jestem? - zapytał ostrożnie.

- Nie. Nie musiała. Widziałam. - Nawinęła na palec kosmyk długich rudych włosów i spojrzała na niego chytrze.

Teraz był jeszcze bardziej przestraszony.

- Jak to? Macie tu kamery czy co?

Dotknęła czoła.

- Widzę na odległość. Czasem nawet przyszłość. Widziałam, że wasze ścieżki się skrzyżują, i robiłam, co mogłam, żeby ci pomóc.

- Jesteś jasnowidzem? - jęknął i przeczesał palcami włosy z miną, jakby zaraz miał oszaleć. - Nie zniosę więcej tego wariactwa! Chcę się stąd jak najszybciej wynieść.

Wzruszyła ramionami. Chłopcy z prawdziwego świata byli tacy niewinni.

- To mój dar. Albo moje przekleństwo. Feral i ja jesteśmy dziećmi krypty. - Rozejrzała się po Świątyni. - To dlatego tu siedzę. Tu jest cicho. Niewielu ludzi, niewiele myśli, które doprowadzają mnie do szaleństwa.

Poklepała miejsce obok siebie.

- Usiądź. - Wyciągnęła do niego rękę i zobaczyła, że zauważył małą gwiazdkę wytatuowaną między jej kciukiem a palcem wskazującym. Zrobiła ją sobie poprzedniej nocy szpilką i tuszem, po tym jak miała pierwsze przecucie dotyczące Feral. Bolało, ale czasem robiła takie szalone rzeczy. Ta była na szczęście.

- To miejsca mistrzów, a nam nie wolno na nich siadać, dlatego to takie fajne.

Ale on ukucnął u jej stóp, zupełnie jakby była dzikim zwierzątkiem, do którego trzeba się skradać. Z

jakiegoś powodu patrzył na nią ze współczuciem.

- Opowiedz mi o świecie na zewnątrz. Uwielbiam o nim słuchać.

Popatrzył na nią zaskoczony.

- Nigdy tam nie byłaś?

- Nie. Widziałam tylko w telewizji. Mamy tu wszystkie programy świata dostępne dzięki telewizji kablowej, ale chciałabym wiedzieć, jaki jest naprawdę.

Pomyślał chwilę.

- Jak słucha się wiadomości, to mówią tylko o wojnach, bezdomnych, dzieciach z ADHD, dorosłych na prochach przeciw depresji i terrorystach. Ale to wcale tak nie wygląda. Świat jest po prostu pełen ludzi, którzy normalnie żyją i starają się czerpać z tego trochę radości. Nigdy nie myślałem, że to powiem, ale to mój dom i teraz jak nigdy chciałbym tam wrócić.

Oczy jej rozbłysły.

- Tak, ja też bym chciała. Ucieknę stąd. Zostanę gwiazdą telewizji kablowej, będę udawać, że kontaktuję się z bliskimi zmarłych, a tak naprawdę będę czytać ich myśli! Spiję się wódką. Będę próbować wszystkiego.

Popadnę w niesławę. Pokażą, jak schodzę ze schodów Sądu Koronnego i obskakują mnie paparazzi. -

Popatrzyła na niego, przekrzywiając głowę. - Pewnego dnia to zrobię. Ucieknę. Nienawidzę Miasta.

- Feral je kocha.

Amber przewróciła oczami.

- Mówi, że kocha, ale wiecznie pakuje się w kłopoty. Nie stosuje się do zasad. Robi wszystko po swojemu, a to doprowadza mistrzów do szału. Ale się boi...

- Czego? Nie wygląda na kogoś, kto boi się czegokolwiek.

- Boi się zewnętrznego świata, tego, kim się stanie, jeśli ucieknie.

- Wydawało mi się, że to jej się wszyscy boją. Dziewczyna się roześmiała.

- Pewnie. Spotkałeś dwie najmniej lubiane dziewczyny w szkole. Ja mogę czytać im w myślach, więc mnie nie lubią. Znam za dużo ich sekretów. A Feral... no, ona sprawia, że czują się nieswojo.

- Powiedziałem jej, że powinna uciec, ale ona nie chce.

- I tak by nie skorzystała ze świata na zewnątrz. Pewnie dalej patrolowała ulice, pilnowała porządku i ratowała ludzi. Kiedy zabrali ją do krypty, pozbawili ją chyba poczucia humoru.

Crow skinął głową, poruszył ustami tak, jakby chciał coś powiedzieć, ale nie mógł znaleźć odpowiednich słów. W końcu spytał tylko:

- Ona jest prawdziwa?

Amber obserwowała, jak Feral i Crow wchodzili do Świątyni. Widziała, jak na nią patrzył - z zachwytem pomieszany z lękiem, tak jak patrzysz na dzikie zwierzę, które w każdej chwili może rozszarpać cię na strzępy, ale nie możesz nie podziwiać jego gracji i siły.

- Gdy była mała, zabrali ją do krypty. Tak jak mnie. Chimery miały być najlepsze, ale coś poszło nie tak. -

Wyciągnęła rękę i pogłaskała go po policzku. - Jesteś słodki. Byłbyś dla niej dobry.

- Nie sądzę - odpowiedział. Znow przekręciła na bok głowę.

- Powiem ci coś jeszcze - dodała. - Mam wrażenie, że serce ci zamiera za każdym razem, kiedy ona na ciebie patrzy, nawet jeśli akurat grozi ci nożem.

- Myślisz, że mi się podoba? To się mylisz. Spojrzała na niego z niedowierzaniem.

- Ale wasze drogi się krzyżują, to spotkanie było wam pisane.

- Ona zabiła człowieka.

- Uratowała ci życie. Musisz jej pomóc. Crow przysiadł na piętach.

- Nie wygląda, jakby potrzebowała pomocy.

- Ją skrzywdzili najbardziej z nas wszystkich. Widzę jej aurę, mnóstwo łez, które nigdy nie zostaną wy---
lane.

Wstała i podeszła do jednego ze stolików. Po ziemi ciągnęły się za nią powłóczyste szaty. Wzięła zapalniczki, zapaliła świecę i jej

plomieniem zaczęła zapalać kolejne. Czują na sobie wzrok Crowa.

- Podoba mi się twój płaszcz - powiedział. - Jest taki wiedźmowaty.

- Zrobiłam go na dzisiejszą ceremonię. Zgłaszam się na ochotnika do doglądania świec, żebym mogła tu cały czas siedzieć.

Podszedł i zaczął jej pomagać. Kiedy uniósł świecę i płomień rozświetlił mu twarz, Amber przyjrzała mu się uważnie.

- W twojej aurze są czarne punkty. Czuję wielkie poczucie winy. Czemu?

- Nic mi nie jest - odpowiedział, ale w jego głosie słyszała coś innego. - Ze mną wszystko w porządku. Muszę tylko stąd uciec. - Rozejrzała się wokół. Zrobiło się już ciemno, a przez okna nie wpadał ani jeden promień światła. - Ten kościół sprawia, że chce mi się krzyczeć. Zupełnie jakby tu było za dużo energii w jednym miejscu. To mnie dusi.

- Właśnie o to chodzi, żebyś miał ochotę krzyczeć. - Przesunęła się do kolejnego stolika, nałapała sobie kielich wina i upiła trochę, po czym przekazała go Crowowi. - Jak antyczni Grecy pijemy wino, są muzyka i tańce. W

ten sposób pozbywamy się złych myśli, żeby nie zamieniły się w jakieś nałogi.

Wypił kielich wina i się roześmiał.

- Banda imprezowiczów!

- To terapia - sprostowała.

- Ale na ciebie nie działa? - Wziął jej rękę i uniósł tak, aby spojrzeć na tatuaż.

- To tylko gwiazdka - powiedziała nonszalancko.

- To oznaka stresu. - Poszedł za nią. - Moja siostra też zaczęła tak robić po tym, jak naszą rodzinę dotknęła tragedia.

- U mnie jest inaczej. - Uśmiechnęła się do niego dziwnie. Może dzięki temu przestanie gadać o tym tatuażu. I aby upewnić się, że chłopak zamilknie, a ona odzyska kontrolę nad rozmową, przestała zapalać świece, wzięła jego dłoń i obróciła wnętrzem do góry. Zobaczyła krew na potłuczonej szybie, kręcące się koło i śmierć wokół niego, ale rozsądnie zachowała to wszystko dla siebie. Ludzie zaczęli jej się bać, gdy odczytywała ich najskrytsze sekrety. Przesunęła więc palcem po liniach na jego dłoni.

- Masz silną linię życia. I zdrowia. Wszystko będzie dobrze. Wydostaniesz się stąd.

Zobaczyła, że się rozluźnił, ale powiedział: - To tylko zgadywanka.

- Nieprawda. Myślisz, że wszystko zależy od przypadku, ale się mylisz. Zobaczyłam, co przydarzy się Feral, wiedziałam, że ona cię uratuje. - Zdmuchnęła z twarzy kosmyk włosów. - Widziałam wzór.

Popatrzył na nią z niedowierzaniem.

- Nie. To niemożliwe.

- A właśnie, że tak. Naprawdę mogę zobaczyć trochę przyszłości.

Pokręcił głową.

- Żartujesz. Uśmiechnęła się.

- Zostanę obserwatorem Miasta. Będę siedziała w laboratorium i zbierała wszelkie informacje o naszych wrogach.

- Nie brzmi to dobrze. Może zastanów się nad jakąś inną pracą?

- Nie mogę. - Zaskoczyło ją, jak mało rozumiał. - Zostałam wybrana, bo mam dar. Mistrzowie wyszukują wrażliwe dzieci. Od kiedy pamiętam, miałam bardzo czytelne sny. Mogłam opuścić ciało i podróżować, dokąd tylko chciałam. Kiedy mistrzowie się o tym dowiedzieli, od razu wysłali mnie do krypty i włączyli do programu pa-rapsychologicznego. Jest nas tylko dwoje: ja i mój młodszy kolega Bean. Ma tylko dziesięć lat, więc muszę się nim opiekować.

Obeszła kolejne stoły, zapalając świece. Żółty blask zaczął rozpraszać mrok.

- Miałam pięć lat. Wzięli mnie do laboratorium. Tak zaprzyjaźniłam się z Feral.

Crow szedł za nią.

- Nie wierzę w to. Przyszłość się nie wydarzyła, nie można jej przewidzieć.

Zatrzymała się i zapaliła kolejną świecę.

- Wyobraź sobie, że obserwujesz od góry mrowisko. Z miejsca, gdzie siedzisz, widać, jak mrówki wędrują po małych

ścieżkach i nie wiedzą, na co trafią. Ale ty widzisz, że niektóre prowadzą w stronę niebezpieczeństwa: do mrówkojada albo człowieka z trutką na mrówki. Albo słyszysz prognozę pogody, że zbliża się powódź, więc wiesz, że mrówki powinny przenieść się wyżej, inaczej za kilka dni utoną.

Zeskoczyła z podwyższenia i dalej zapalała świece na kolejnych stolikach. Skinęła, by szedł za nią.

- Niestety, mrówki nic o tym wszystkim nie wiedzą, bo tego nie widzą. - Zatrzymała się przed żelaznym świecznikiem. - Gdybyś znalazł sposób, żeby im o tym powiedzieć, ostrzec je, uznałyby, że widzisz przyszłość, prawda? - Spojrzała na niego poprzez płomienie. - Zgadzasz się?

- Tak.

- I to właśnie robię. Idę gdzieś, patrzę i widzę wzory. To jak gdyby być Bogiem.

Wyglądał na przestraszonego. Ludzie zwykle tak reagowali, gdy dłużej z nią rozmawiali.

- Wiedziałaś, że tu przyjdę? - zapytał.

- Widziałam wzór. Widziałam, że spotkasz Feral i Trajana, i kilka dróg, którymi mogliście pójść, ale pomogłam trochę losowi. Powiedziałam Feral, żeby cię uratowała.

Natychmiast dostrzegła, że te słowa go zmartwiły.

- Czemu? - zdziwił się. - Po co mnie ratować? Odwróciła się i zajęła kolejnym świecznikiem.

- To wydawało się słuszne. Dla Feral. Gdyby nie zastrzeliła Trajana, zdarzyłoby się coś innego. A ta droga byłaby zamknięta.

Przyspieszyła kroku, zapalając wszystkie świece, bo już niedługo w Świątyni miały się rozpocząć obchody Równonocy.

- Oczywiście można oszaleć od tych testów i eksperymentów, jakie na mnie przeprowadzają - dodała. - To dlatego trenują też Beana. Na wypadek gdybym zwariowała. - Zatrzymała się i rozejrzała wokół.

- Wiem, że tu jesteś, Feral. I nas słuchasz.

Po chwili podeszła do nich cicho Feral, a jej oczy błyszczały w półmroku. Wyglądała na wstrząśniętą, a kiedy Amber złapała ją za rękę, nie chciała jej spojrzeć w oczy.

- Co się stało u Generala? Przebaczyła ci? Feral pokręciła głową.

- Nie pytałam. Wiem, co mówiła. Mam się odrodzić, więc pozostaje mi tylko ucieczka.

Amber popatrzyła na nią zaskoczona.

- Tego nie przewidziałam. Nie widziałam, że mnie zostawisz!

Feral puściła jej ręce i schyliła się, żeby zawiązać but, chociaż sznurówki miała zawiązane.

- Tak być musi.

Coś było nie tak, ale tym razem Amber nie potrafiła ustalić co. Feral udawało się ukryć przed nią myśli.

- Co za ironia - odezwała się od niechcienia Amber. - Ja chcę wyjechać, ale to tobie trafia się okazja. A ty nawet tego nie docenisz.

Feral nie odpowiedziała.

- Mogłabym za tobą pójść, kiedy wróci Bean - mówiła dalej Amber. - Znow na nim eksperymentują w krypcie. Nie mogę wyjechać bez niego, ale jak go puszczą, będziemy mogli uciec razem.

Feral się podniosła.

- Zróbcie tak. - Odwróciła się do Crows. - Będziemy się tu ukrywać do północy, a potem zdobędziesz dla nas samochód. Pełnym gazem minimy strażników przy generatorze bram i przebijemy się do tamtego świata.

Amber przewróciła oczami.

- Nie muszę nawet patrzeć w twoją przyszłość, żeby stwierdzić, że to pewna droga do śmierci.

- Masz lepszy pomysł? - zapytała Feral.

Crow popatrzył najpierw na jedną, potem na drugą dziewczynę.

- Proszę, miej. Amber skinęła głową.

- Przez las, a potem pomiędzy Harfami.

- A Harfy nas usmażą. Podziela nasze molekuly i umrzemy w bólach - odpowiedziała Feral. - Chcesz nas zabić?

Amber uśmiechnęła się słodko.

- W takim razie dobrze się składa, że wiem, jak przejść przez Harfy bezpiecznie, prawda?

Mowa Deimosa, ciąg dalszy

Jasne, że nie chcę umrzeć - odezwał się chłopak.

W Fan Clubie grała teraz spokojniejsza, nastrojowa muzyka, klubowicze zbierali się do wyjścia, ale Deimos dopiero się rozkręcał.

- Zbliża się katastrofa, świat jest w stanie krytycznym. A kiedy nastąpi, Nowa Atlantyda przejmie władzę -

opowiadał. - Nie będą się przejmowali słabymi i biednymi. Atlantyda będzie przewodzić i nikt nie zdoła jej pokonać, bo pozostanie ukryta. Tylko wybrani będą wiedzieli, jak do niej dotrzeć.

Mocnymi dłońmi kręcił kieliszkiem tak, że łapał światło. Nowi patrzyli na to jak zahipnotyzowani. A Bonnie, która słyszała to wszystko już wiele razy, też nie mogła oderwać od niego wzroku.

- Chcą zapanować nad światem? - zapytała wolno dziewczyna.

- Tak. Mówią, że wszyscy zajmą wtedy właściwe miejsce. Jeśli jesteś mądry i ciężko pracujesz, wzniesiesz się wysoko. A jeśli urodziłeś się słaby, to będziesz niżej w hierarchii, ale twoje życie będzie miało wartość. Pod warunkiem że odpowiada ci rola niewolnika... - Błysnął uśmiechem. Nie było wątpliwości, że Deimos nie zamierzał być niewolnikiem.

- Nie będzie litości dla leniwych i niemoralnych. A wielu niewinnych ludzi zostałoby przez Nową Atlantyde uznanych za leniwych i niemoralnych. Jak choćby wy...

Surferzy spojrzeli po sobie.

- Nie jesteśmy leniwi - stwierdziła z oburzeniem dziewczyna.

Deimos pochylił się do niej.

- Nie macie pracy, rzuciliście szkołę. Nic nie robicie. Chcecie tylko surfować.

Chłopak wzruszył ramionami.

- No i co z tego? Nikomu to nie szkodzi. Mam jeszcze całe życie, żeby być poważnym. A teraz chcę się trochę pobawić.

Deimos triumfalnie oparł się o kanapę.

- Nie w Nowej Atlantydzie. Nie pozwolono by wam na to. A gdybyście protestowali... nie byłoby litości.

Chłopiec też się wyprostował.

- Nikt nie może kontrolować całego świata. To niewykonalne.

- Nieprawda. Jeśli ma się odpowiednich ludzi na wysokich stanowiskach, to nie jest problem. W końcu ten, kto kontroluje teraźniejszość, kontroluje też przyszłość.

Popatrzyli na niego zdziwieni.

- Powiedzmy, że w jakimś mieście mają w garści szefa policji. To on wszystkim zarządza. Wyznacza szefów departamentów. Pilnuje, żeby byli po stronie Nowej Atlantydy. To piramida, a on jest na szczycie i wszystkim steruje. Nawet sobie nie wyobrażacie, jak wielu ich tam jest. Niedługo przerobią świat na swój obraz.

Przy stole zapadła cisza. Uwaga nowych była skupiona na Deimosie, a w głowach aż im wirowało od tych wszystkich nowych wiadomości. A on rozparł się na kanapie i zastanawiał, do czego mogliby mu się przydać w Cieniach, jak już ich wyszkoli.

- No, to jak to jest... w Nowym Mieście? - wymamrotała z wypiekami na twarzy dziewczyna.

Bonnie podniosła wzrok znad monitora i odezwała się ostro:

- To piekło. Gloryfikują starożytnych Spartan i stosują ich metody przy wychowywaniu dzieci. Szkołą je od małego na superżołnierzy, prefektów.

Chłopak przypatrzył się Deimosowi, próbując dojrzeć coś więcej pod kapturem: - To kim wy właściwie jesteście? Deimos zbliżył twarz do ich twarzy.

- Jesteśmy Cieniami. Ukrywamy się w cieniu, idziemy tam, gdzie inni boją się dotrzeć. To nas boi się Nowa Atlantyda. Żyjemy i umieramy za wolną Ziemię.

- Jak walczyć z miastem, którego nawet nie ma?

- Na całym świecie są ukryte bramy: mały sterowiec w Leicestershire, boczna uliczka w tureckiej wiosce, opuszczona baza RAF-u na Malcie, lądowisko dla helikopterów na dachu wieżowca w Nowym Jorku. Ale gdy tylko jakieś znajdziemy, natychmiast je zamykają i tworzą nowe.

- Tu też jest jedno? W tym lesie? - zapytał chłopak. - Słyszeliśmy coś o tym.

- To nie brama, tylko usterka. Czasami udaje się tędy przedrzeć uciekinierom z Miasta, ale nikomu nie udało się przejść w drugą stronę. Bonnie ma na nią oko, a my staramy się znaleźć drogę do miasta i zniszczyć Harfy. To nasz cel. Sprowadzić Miasto z powrotem do naszego świata. Żeby każdy mógł zobaczyć, co nas czeka, jeśli ich nie zatrzymamy. - Uśmiechnął się promiennie. - To jak, wchodzicie w to?

Dziewczyna spojrzała na swojego chłopaka. To by nadało ich życiu znaczenie. Podobał jej się ten pomysł.

Należała do tych dziewcząt, które noce spędzają na tańcach, a dni na plaży, ale to tajemnicze miasto ją zaciękało. A chłopakowi spodobał się pomysł walki z wrogiem.

- Dobra, wchodzimy. Deimos uściskał im dłonie.

- A dacie radę trzymać się naszych zasad? Żadnego okrucieństwa, żadnego wyrównywania rachunków, pomagamy słabym i młodym, a my i nasze sposoby walki jesteśmy czyści.

- Tak.

Uścisk dłoni stał się mocniejszy.

- Nie jesteśmy bandą mięśniaków, którzy straszą ludzi, jasne?

- Jasne.

- Zrezygnujecie ze wszystkiego, nie będziecie mieli domu, będziecie ciągle w drodze. Dostaniecie jedzenie, sprzęt, ubranie i darmowy transport od naszych popleczników, którzy mają sporo kasy. Nie będziecie mieli dużo, ale kiedy wszyscy, których znacie, mają niewiele, nie ma to wielkiego znaczenia. Jesteście wolni. Ale za to macie nowy wspaniały cel, trwalszy niż najnowsza moda albo najszybszy samochód.

Dziewczyna nachyliła się i zapytała z ciekawością: - Widziałeś je?

Deimos spojrzał na nich zimno.

- Tak. To przerażające, przepiękne miejsce. Niszczy wszystkich, których dotknie. Musi zostać zburzone.

Ucieczka

To był srebrny mercedes cls 500 z przyciemnianymi szybami. Zapach skóry przyprawił Crowa o zawroty głowy. Nawet teraz, kiedy prowadził, Feral widziała, jak dotykał różnych elementów w samochodzie, przesuwając palcami po orzechowej desce rozdzielczej, po rzędach przycisków, sięgał do wyświetlacza i głaskał

kremowe fotele. Kazała mu jechać ostrożnie, żeby nie zwrócić niczyjej uwagi.

- Tu są rodziny! - zawołał zaskoczony, kiedy powoli mijali tłum oczekujący na paradę. - Myślałem, że tylko stuknięci mistrzowie i żołnierze.

- To Miasto. Są tu pracownicy, nauczyciele, sprzątacze. Wszyscy, którzy wierzą w idee Nowej Atlantydy.

- A twoja rodzina? Feral zmarszczyła brwi.

- Nasze biologiczne matki? Nigdy ich nie widziałyśmy. Żadne z nas ich nie zna. Miasto to nasza rodzina, a Generał Belisarius to nasza matka.

Zobaczyła, że chłopak się krzywi.

- Głupie imię.

- Wszyscy przywódcy mają imiona ze starej Atlantydy.

Powinna go pouczyć, że nie wolno tak mówić o General, ale specjalnie się tym nie przejęła. Wiedziała, że powinna czuć się okropnie - opuszczała Miasto, jedyny dom, jaki miała. Ale na razie cieszyła ją przejażdżka, siedzenie obok Crowa, wyglądanie przez przyciemnione okna na ludzi, którzy nie mogli jej zobaczyć.

Jestem zupełnie jak te dziewczyny z zewnątrz, pomyślała. Te, które widziała podczas patroli, jak jeździły ze] swoimi chłopakami w samochodach, śmiały się i cieszyły beztroskim życiem. Spojrzała na Crowa, który siedział w skupieniu, z lekko wysuniętym językiem, skoncentrowany.

Tyle że on nigdy nie będzie moim chłopakiem.

- Mów sobie tak dalej - wyszeptła jej do ucha Amber, po czym się roześmiała.

Siedziała po turecku na tylnym siedzeniu, jak jakiś skrzat, z błyszczącymi z radości oczami.

Nie twój interes, pomyślała Feral wściekle. Co wywołało tylko kolejny wybuch śmiechu.

- To powiedz, co to za świetna droga ucieczki - zagadnęła Feral, żeby zmienić temat.

Amber podciągnęła się bliżej, między siedzenia.

- Poczekaj, a zobaczysz. Przeprowadzę was przez Harfy.

Crow minął róg i zwolnił, aby nie wjechać w przechodzący drogą tłum, a potem zaczął wymijać pieszych na skrzyżowaniu La Vallette i St Paul's.

- Ale jak już je minę? - Po raz pierwszy w życiu będę j dzie sama, bez rozkazów, bez mistrzów, którzy nad nią czuwają.

- Pewnie dotrą do ciebie Cienie - odparła Amber. -Widziałam to w snach. Czekają na uciekinierów przechodzących przez Harfy i im pomagają.

Feral wzruszyła ramionami, jakby zupełnie jej na tym nie zależało. Ale tak naprawdę właśnie tego chciała - dostać się do Cieni i zdobyć informacje, których potrzebuje. A potem wrócić tutaj.

Wyjrzała przez okno. Chociaż minęła już północ, kafejki wciąż były otwarte, wypełnione imprezowiczami w najlepszych strojach. Juniorzy w wyjściowych mundurach biegali między stolami, tłukąc się jak ćmy, prosząc o cukierki, a potem po wariacku gnali na chodnik, żeby zająć jak najlepsze miejsce przy krawężniku do oglądania parady. Mistrzowie przynajmniej tego dnia ich nie karali, pozwalając cieszyć się krótkimi wa---

kacjami.

Na pewno tu wrócę, powiedziała sobie. Muszę tylko znaleźć Zane'a.

Amber puknęła ją w ramię.

- Czemu myślisz o Zanie Belisariusie?

Cholera, musi bardziej uważać. Nigdy wcześniej nie musiała nic ukrywać przed Amber.

- Wyłaż z mojej głowy! - warknęła.

Amber nie może się dowiedzieć. Crow też nie. To był jej sekret i jeśli ona nie będzie umiała go utrzymać, to tym bardziej oni. Jeśli dowie się zbyt wiele osób i informacja wypłynie, jej misja będzie zagrożona.

- Ale czemu Zane? - naciskała Amber.

- Zamknij się. - Odwróciła się i spojrzała groźnie na przyjaciółkę. - Widziałam jego zdjęcie na biurku Generał, jak z nią rozmawiałam. I tyle.

Crow zwolnił przed kolejnym zakrętem.

- Ktoś może mi powiedzieć, kim jest Zane?

- To syn Generał - wyjaśniła Amber.

Feral odwróciła się, aby nie patrzeć na podejrzliwą twarz koleżanki.

- Był.

- Ten geniusz, co umarł?

- Właśnie. Tak naprawdę nigdy go nie widzieliśmy - odezwała się Amber. - Generał trzymała go z dala od nas. Był chyba chory.

- Pewnie z rozpaczy, że ma za matkę Generał - wtrącił Crow.

Zignorowała go. Niech się naśmiewa, jest tylko obcym.

- Skręć tutaj - odpowiedziała.

Zwolnił i skręcił we Friedrich Strasse, szeroką ulicę oświetloną oryginalnymi lampami gazowymi pochodzącymi ze starego Berlina i przywiezionymi tutaj za ciężkie pieniądze. Sklepy wciąż były otwarte, witryny rzęsiście oświetlone, a wnętrza pełne klientów. Myślała, że już nigdy nie postawi tu stopy, ale teraz pojawiła się isierka nadziei, że jednak wróci.

Śledziła znaki drogowe.

- Skręć w prawo - powiedziała do Crowa, a ten obrócił kierownicę.

- Gdzie będziemy się przebijać? - zapytał.

- Jesteśmy prawie na miejscu.

Crow dotknął kilku przycisków, jego fotel przysunął się do kierownicy, a oparcie się wyprostowało.

- Jestem gotowy.

- Skręć tutaj.

W tych okolicach mieszkali mistrzowie, ale na szczęście nigdzie nie paliło się światło i nikt nie kręcił się po ulicach. Wszyscy podziwiali paradę. Feral wskazała ostatni zakręt na długim pagórku, z którego droga prowadziła do płotu, a za nim był już las.

Crow zobaczył płot.

- No to do dzieła. - Po raz pierwszy w jego głosie słycać było niepokój.

Silnik po zredukowaniu biegu zaczął głośniejsz wyć. Samochód, jak we śnie, ruszył naprzód i pognął w dół

zбочa. W połowie drogi do płotu opona odbiła się od krawężnika, co Crow skomentował krótkim "oj" i szybko wrócił na właściwy tor. Uderzyli w płot. Feral poczuła szarpnięcie, jak wgrzyza się w nią pas i jak zderzenie wstrząsa jej ciałem. Posypało się szkło i rozległ zgrzyt giętego metalu, ale samochód jechał dalej. Maskę odpadła z trzaskiem. Szyba pokryła się rysami. Potoczyli się kawałek po trawie, aż wreszcie samochód zatrzymał się na olbrzymim drzewie i zaczął syczeć.

Feral zaczęła się z niego wygrzebywać, zanim jeszcze całkiem znieruchomiał.

- Wszyscy cali?

Crow podnosił się już z ziemi. Amber próbowała precyzyjnie się przez tylne drzwi i chichotała.

Chwilę później ktoś od strony Miasta krzyknął i zapalił latarkę.

Mógł to być zwykły sprzątacznik albo dozorca, ale oni nie potrzebowali rozgłosu.

- Na ziemię! - syknęła Feral, kiedy promień latarki ponownie omiótł okolicę.

Amber była już na ziemi i turlała się w dół, podświadomie zachowując się tak, jak została wyszkolona, ale Crow kręcił się w kółko z rozpostartymi rękami i się śmiał.

- Jestem wolny!

Nie na długo, jeśli nie padnie na ziemię. Feral podbiegła do niego, podcięła go i przeturlała się razem z nim za pień drzewa. Zakryła mu dłonią usta, żeby był cicho, a przynajmniej próbowała, bo on zdążył złapać ją za nadgarstki.

- Puść - rzuciła krótko, a kiedy jej nie posłuchał, wykręciła się z jego uścisku.

- Oj, sorry, ale myślałem, że chcesz zaatakować... - zaczął.

- Myślisz, że kim ja jestem?

Popatrzył na nią z miną, której nie potrafiła odczytać.

- Nie wiem.

Znów widziała, jak pulsuje mu żyła na szyi. I to szybko. Miała ochotę się nim pobawić. Miasto i jego zasady zostały gdzieś za płotem. Z czystej złośliwości podeszła bliżej i obserwowała, jak przyspiesza mu puls.

- To lepiej uznaj, że z kimś takim jak ja będziesz w lesie bezpieczny.

Ku jej zaskoczeniu Crow się roześmiał.

- Z kimś takim jak ty? - wyszeptał. - Kimś, kto ratuje obcego. Kto obgryza z nerwów paznokcie. - Popatrzył

na nią tak, jakby była przezroczysta. - Myślę, że będę bezpieczny.

Na szczęście nie musiała odpowiadać, bo podczołgała się do nich Amber.

- Poszedł. Pewnie po pomoc, więc lepiej się stąd zwijać. - Uśmiechnęła się do Crowa. - Mam nadzieję, że jesteś gotowy na to, że możemy oszaleć i mogą nas pożreć zmutowane wiewiórki.

Crow spojrział na nią.

- Żartujesz, co?

- Nie - odpowiedziała Feral. - Koniecznie chciałeś opuścić Miasto, a teraz trafiłeś do jeszcze gorszego koszmaru.

Odsunęła się od nich i po raz ostatni spojrziała w stronę domu poprzez rozbity, śmierdzący spalenizną płot, z którego sypały się iskry i dobywało bzyczenie. Poczula, że Amber stanęła obok niej, a potem dołączył

do nich Crow. Trzy sylwetki na tle czarnego lasu. Chłopak pokręcił głową, jakby nie mógł uwierzyć własnym oczom.

- Jak można ukryć coś tak wielkiego?

- Nasz świat to tylko miliardy kręcących się wokół siebie drobinek. Mnóstwo tam miejsca, żeby coś schować. -Miasto rozciągało się przed nimi jak okiem sięgnąć, rozświetlone czystym białym światłem, pod przejrzystym gwieździstym niebem.
- Oddałam mu życie, przysięgałam wierność mistrzom i General.

- To znaczy, że jesteś szurnięta - skwitował Crow. Odwróciła się do niego, a światła miasta odbijały się w jej oczach.

- Nie rozumiesz. Przez szesnaście lat byłam częścią czegoś niesamowitego. Wiedziałam, gdzie jest moje miejsce o każdej minucie dnia. Każdego ranka o wpół do szóstej przez godzinę ćwiczyliśmy. Jedliśmy śniadanie. Szliśmy na lekcje, do południa. Potem lunch. Całe popołudnie, do piątej, ćwiczyliśmy ostrożność,

walkę, polowanie i taktykę. Potem był obiad. I pracowaliśmy przez kolejne cztery godziny, do wpół do jedenastej. Następnie godzina ćwiczeń. I sen.

- Wszystkie dzieciaki z miasta tak muszą? - zapytał z przerażeniem Crow.

- Nie, tylko kadeci. Jesteśmy żołnierzami, więc musimy najciężej ćwiczyć. - Zagryzła mocno wargę. - Nie rozumiesz. Kiedyś kontrolowałam swoje życie. A teraz nie mam nic.

Wzjął ją za rękę. Wstrzymała oddech, powtarzając sobie, że nie może znieruchomieć.

- A teraz jesteś wolna - powiedział i obrócił ją tak, aby widziała las. - Mógłbym biec bez końca.

Puścił ją i zakręcił się znów, z rozpostartymi rękami, jak dzieci na placu zabaw.

- Czuję się cudownie. Amber trąciła Feral.

- Dopadła go Wielka Dziwność.

Feral skinęła głową.

- Wiedziała, że jego od razu weźmie. Taki słaby.

- Kto niby jest słaby? - zapytał zaczepnie i posłał jej krzywy uśmiech. - Przebiegnijmy się. Zobaczymy, czy dotrzymasz mi kroku. Ale uprzedzam, Quinnowie świetnie biegają.

Feral wyciągnęła rękę, aby go powstrzymać.

- Mówiłam ci, że tu jest bardzo niebezpiecznie. Możemy zginąć.

- Myślę, że jak będę trzymał się ciebie, to nic mi nie grozi - odparł. - Masz mnóstwo szczęścia.

Szczęka jej opadła.

- Żartujesz? Wygnali mnie z własnego domu, uciekam z przestępcą i stukniętą telepatką. To ma być szczęście?

Uniósł brew.

- No to idziesz do Generał zaraz po tym, jak zabiłaś mistrza, a ona nie ma przy sobie żadnych straży.

Zmarszczyła czoło.

- Co takiego? Wzruszył ramionami.

- Może powinnaś przestać czepiać się mojego życia i skupić na swoim.

Przekrzywiła głowę.

- Nie słyszysz?

- Muzyki?

Od kiedy weszli do lasu, grała głośno i bez przerwy, bez rytmu, ale też nie całkiem bez melodii.

- Już na ciebie działa - stwierdziła. - A później zacznie nas mylić albo sprowadzać na manowce. Ja wytrzymam najdłużej. A Amber i tak jest na wpół szalona.

- No, dzięki! - Amber dała jej kuksańca.

- Ale jeśli nie przejdziemy przez to szybko, ta muzyka może zabić albo pokręcić nam w głowie.

- Wolę zginąć w lesie, krzyczeć z przerażenia i mieć sieczkę zamiast mózgu, niż tam wrócić. - Uśmiechnął się wesoło. - Wskaż kierunek i idziemy. A potem spróbuj za mną nadażyć.

- Nie. Musimy trzymać się razem. Możesz iść sam, jeśli chcesz zginąć.

Spojrzał w las.

- Jak ja w ogóle przeżyłem do tej pory bez ciebie? -jęknął. - Mówiłem ci. Uciekanie to motyw przewodni mojego życia.

- Ona ma rację - przyznała Amber. - Trzymamy się razem.

Wskazała wąską ścieżkę, która prowadziła między potężne drzewa.

- We śnie latam nad lasem. Musimy iść tą ścieżką. -Zamilkła, gdy od strony Miasta dobiegły stukanie kopyt i dziwne odgłosy smoczycy koni. - A to znak, że musimy ruszać. I to szybko.

Zwierzęta minęły szczyt wzgórza i zatrzymały się, zgrzytając podkowami i strzelając ogonami przed rozbitym płotem. Na ziemię zeskoczyło dwoje prefektów, po czym zaczęli lustrować okolicę przez noktowizory. Jednym z nich był Prosper.

- Wygrałaś. Uciekamy razem - stwierdził ugodowo Crow i zniknęli w lesie.

Las

Otoczały ich gigantyczne drzewa. Nawet korzenie sięgały wyżej od człowieka, a najniższe gałęzie ginęły gdzieś pod ciemnym niebem. Pnie pokrywały mchy i porosty.

Korony drzew ograniczały mniejszym roślinom dostęp do słońca, więc poszycie było skromne i nie stawało na drodze uciekinierom. Tylko kolumny drzew i sącząca się z góry zimne, blade światło.

Gnijące liście skutecznie tłumili ich kroki, ale ze wszystkich stron słychać było szelest małych stworzeń, ję-

ki wiatru i skrzypienie drzew. Feral i Amber biegły przez las tak, jakby całe życie nie robiły nic innego. Ale Crow, chłopak z miasta, wciąż się potykał i przewracał, zahaczał płaszczem o gałązki i ślizgał się na zbutwiałych liściach.

Feral nadała szybkie tempo i wyglądało na to, że mogłaby tak biec przez całą noc. Wciąż badała okolicę wzrokiem, który mógł konkurować z noktowizorem. Nawet w blasku księżyca widziała kolory, których nie dostrzegłby zwykły człowiek. Mały brązowy owad stawał się dla niej połyskującą ultrafioletową piękną.

Nieciekawy kwiatek zamieniał się w neon świecący podczerwienią, by skusić owady.

Tysiące zapachów atakowało jej receptory, ale istotne były jedynie smród ścigających ich smocznych koni i zapach pragnącego zemsty Prospera.

Dla Crowa droga przez las była trudna. W nocy widział marnie, jak każdy człowiek, światło księżyca było za słabe, a ścieżka pełna występów, zarośnięta pnączami i gałęziami, które tylko czyhały, by mu przeszkodzić.

- Nie da rady - wysapał, po raz dziesiąty podnosząc się z ziemi po tym, jak potknął się o lianę. - Nigdy nie przejdziemy.

Amber zatrzymała się i podała mu rękę.

- Przyzwyczaisz się. Bean biegał tu sam. Tak bardzo zniechęcił życie, że przestał bać się zwierząt i ciemności, aż dobiegł do zewnętrznego świata.

Crow wyciągnął cierń z nogi i rozejrzał się wokół.

- Dzikie zwierzęta...

- No... - odpowiedziała beztrosko, jakby w ogóle nie przejmowała się zwierzętami. Chciała rozmawiać o Be-anie. - Szkoda, że go złapali i przywieźli z powrotem, no ale by mi go brakowało. Na razie jesteśmy jedynymi telepatami.

Uśmiechnęła się czule.

- Powinieneś go zobaczyć. Ma śliczne blond loczki i słodką buzię.

Crow miał w nosie, jak wygląda Bean. Z każdym krokiem, po każdym potknięciu był coraz bardziej zdezorientowany. Myśli zaczynały mu się mieszać. Słyszał jakieś głosy, mówiące, że inni zachowują się nierozsądnie.

Kiedy po raz kolejny podniósł się z ziemi, w krzakach nieopodal dostrzegł ruch. W czerwonym oku odbijał się blask księżyca. Crow cofnął się, a zaniepokojona ich obecnością olbrzymia ćma o skrzydłach jak gnieciony aksamit i kudłatym odwłoku długim jak dłoń poderwała się i poleciała gdzieś w górę. Przerażony chłopak zrobił unik.

- Wynośmy się stąd. - Złapał Amber za rękę. - Gdzie jest Feral?

Znów biegli.

- Nic jej nie będzie. Ma anioła stróża - uspokoiła go Amber.

Do czego to doszło? Biegł przez las z dziewczynami, które wierzyły w anioły! Jego matka też w nie kiedyś wierzyła, ale już jej przeszło.

Otarł pot z twarzy i zaczął machać rękami, aby się rozgrzać. Ulga, jaką odczuł, gdy dostali się do lasu, opuszczała go, a na jej miejsce wkradała się paranoja. Zupełnie jakby był lekko wstawiony, a moment później już kompletnie pijany.

Kątem oka dostrzegł poruszające się pomiędzy drzewami cienie.

- Nie wierzę Feral - powiedział i zwolnił. - Poszła gdzieś do przodu i zostawiła nas tutaj na śmierć.

- Nieprawda.

Dostał nerwowego tiku oka.

-

A właśnie, że tak. Wie, że zasługuje na śmierć. Amber wzięła go za rękę, jakby uspokajała przerażone zwierzątko.

- Jak się czujesz? - zapytała ciepło. Zamrugał kilka razy.

- Dziwnie. Zdenerwowany. Co się ze mną dzieje?

- Wielka Dziwność - odpowiedziała, ciągnąc go z powrotem na ścieżkę. - Spróbuj zapomnieć o złych myślach, które podsuwają ci Harfy. Biegnijmy, to ją dogonimy.

Tak naprawdę to chciał usiąść na trawie, ukryć twarz w dłoniach i mieć nadzieję, że cały ten dzień był tylko koszmarem. Chciał zapomnieć o Mieście i Feral, ale Amber była silniejsza, niż się zdawało, i ciągnęła go jakiś czas, aż wreszcie sam zaczął biec.

Feral odnaleźli po półgodzinie. I znów to Amber ich prowadziła, powtarzając:

- Spokojnie, mój mózg jest jak nawigacja satelitarna, a ona wie, że znajdę ją wszędzie.

Crow podążał za nią. Z każdą chwilą paranoja się nasilała, aż w końcu usłyszał głosy, które kazały mu uciekać między drzewa. Zasłonił uszy, ale wtedy zobaczył przed sobą twarz Feral, śmiejącą się i mówiącą mu, że to kara za to, że zniszczył jej życie.

Ku radości Crowa dotarli w końcu do polanki, gdzie Amber zawołała wesoło:

- Tu jest! Mówiłam ci, że nic nam się nie stanie.

Przez liście przeświecał księżyc, rozświetlając punkty, gdzie zbierała się mgła. Widok był magiczny, ale równie zabójczy jak Feral. Stała zamyślona po środku polany i obgryzała paznokiec.

- Co się dzieje? - zapytał podejrzliwie.

Machnęła ręką w stronę ciemności pomiędzy drzewami i zobaczył tam krążące szare sylwetki, podkradające się coraz bliżej, błyskające kłami i świecące oczami, gdy padło na nie światło księżyca.

- Coś trzeba zrobić. - Próbowała się uśmiechnąć, ale wyszło bardziej warknięcie. - Wilki nas otoczyły.

Na dachu

Bonnie postanowiła wyjść na dach. Miała przeczucie, że dziś coś się wydarzy.

Zamknęła klub i wygoniła surferów. Nie żeby daleko odeszli. Kiedy zamykała, w mieście nie było już żadnych atrakcji, więc wszyscy kręcili się po okolicy, zajadając ke-baby z cypryjskiej budki po drugiej stronie ulicy. Siedzieli na murku ogradzającym las i gadali, zamiast iść do swoich przyczep na starym kempingu.

Sprawdziła, czy wszystkie wyjścia awaryjne są zamknięte, po czym poszła do baru, naląła sobie espresso i podała filiżankę Deimosowi. Właśnie żegnał się z nowo przyjętą dziewczyną. Została dłużej niż jej chłopak, udając, że chce zadać jeszcze kilka pytań o Cienie. A kiedy odeszła, Bonnie wzięła Deimosa pod ramię.

- To ty ją bardziej interesujesz. - Uśmiechnęła się. Odpowiedział szerokim uśmiechem i zsunął kaptur.

- Nie obchodzi mnie, co ich przyciąga. Potrzebuję nowych ludzi.

Dziewczyny zawsze leciały na Deimosa. Dziwne, że do Cieni nie należały same zakochane panienki.

Bonnie poklepała go po ramieniu i pchnęła do drzwi.

- Pa. Możesz wypić na zewnątrz. Posłał jej szelmowski uśmiech.

- Nie zaprosisz mnie? - Wskazał na schody prowadzące na górę, gdzie Bonnie samotnie mieszkała.

- Nie - odpowiedziała stanowczo. - Ja biorę swoją kawę na dach.

Przyłożyła dłoń do policzka.

- Czasem przez cały wieczór tak dużo uśmiecham się do klientów, że później mam ochotę tylko się krzywić i siedzieć cicho. A tam jest tak spokojnie.

Deimos patrzył na nią z zachwytem.

- Pójdę z tobą. Lubię, kiedy się krzywisz. Złapała go za ramiona i odwróciła w stronę drzwi.

- Idź. Nie jestem surferką.

- Ale potrzebuję jeszcze kawy. I jedzenia. Umieram z głodu.

Wskazała mu drzwi wypielegnowanym palcem.

- Idź do Halila na kebab.

Kiedy wreszcie wyszedł, Bonnie z ulgą zamknęła dokładnie drzwi na klucz i pomaszerowała na górę. Najpierw zajrzała do mieszkania, naciągnęła na uszy beret z angory i otuliła się szalikiem. A potem weszła jeszcze piętro wyżej, minęła składzik i w końcu wbiegła ostatnie kilka stopni na płaski dach.

Widok był niesamowity, zimowy, ale nawet zimą przychodziła tu czasem, i otulona w koc, z kubkiem kawy, który ogrzewał jej ręce, obserwowała okolicę przez całą noc. Zazwyczaj dało się stąd zobaczyć szarą linię morza, ale teraz widać było tylko przesuwające się wolno po linii horyzontu światła kutra rybackiego. Z

tamtej strony dochodził też ryk wypełniającej Sinclair dzień i noc - odgłos fal rozbijających się nieustannie o kamienne i piaszczyste plaże.

Z drugiej strony był widok na mętne żółte światła miasta. Ale dwa drewniane leżaki stojące pośrodku dachu były skierowane na wprost rozciągającego się za klubem lasu.

Bonnie podreptała przez chwilę w kółko, machając rękami i tupiąc, żeby się rozgrzać. Słaby wiatr rozwiewał jej włosy, ale nie mógł rozproszyć zasnuwającej las i wdzierającej się w pobliskie uliczki mgły. Jej strzępy jak brudne kawałki szyfonu przelatywały nad dachem i osiadały Bonnie we włosach, sprawiając, że idealnie gładka fryzura zaczęła się skręcać.

Obserwowała mgłę przez kilka minut, sącząc kawę, a potem zapatrzyła się w las. Drzewa tonęły już w morzu bieli, która zaczynała też zalewać klub.

Bonnie stanęła po stronie drzwi do klubu i popatrzyła na budkę z kebabem naprzeciwko. Klubowicze siedzieli teraz rzędem na niskim murku, gadali i jedli. Deimos w samym środku, z dziewczyną o imieniu Kimmy na kolanie. Jadł frytki z papierowej tutki i rozmawiał z surfe-rami. Musiał zauważyć jej ruch. Spojrzał

na Bonnie i pomachał.

- Hej! Mgła jest jakaś dziwna! - krzyknęła do niego. - Może to znak.

Może ktoś przechodził na drugą stronę.

Wilki

Wilki krążyły. Crow i Amber stali pośrodku polanki przytuleni do siebie plecami, a wokół ich nóg zaczęła podnosić się mgła. Była dziwnej konsystencji, jakby trochę oleista.

- To normalne? - zapytał Crow.

- Tu nic nie jest normalne - prychnęła Amber. - Zakłócamy Harfy.

Coś poruszyło się między drzewami, aż oboje się wzdrygnęli. Wilki zacieśniały krąg. Czuli ludzi i dwo---

istość Feral. Powarkiwały, a w świetle księżyca można było dostrzec ich cienie. Ich ostry zapach wypełniał powietrze, a w ich oczach nie było litości.

- Usiądźcie pośrodku i udawajcie rannych. Chcę, żeby was otoczyły - wyszeptala Feral. - Zamknijcie oczy, żeby nie mogły was wyzwać na pojedynek. Macie wyglądać jak ranne ofiary.

Paranoja Crowa sięgnęła zenitu.

- Serio? A może po prostu chcesz się nas pozbyć, żebyś mogła szybciej biec?

Nawet nie raczyła mu odpowiedzieć, rzuciła mu tylko przerażające spojrzenie. W końcu jej posłuchał, chociaż Amber musiała go siłą zaciągnąć, gdy szeptał:

- Nie wierz jej.

- To Harfy, od nich masz tę paranoję - powiedziała.

- Nie potrzebuję do tego Harf - odparł, ale usiadł plecami do Amber i patrzył, jak najdawniejszy postrach ludzi zbliża się do niego przez mgłę.

- Zamknijcie oczy! - krzyknęła Feral.

Czatowała gdzieś w cieniu. Crow z ociąganiem pochylił głowę i osłonił ją rękami. Przynajmniej będą musiały przegryźć się przez kość, nim odgryzą mu twarz.

Wilki były coraz bliżej, co najmniej dwadzieścia, ale Feral czekała na samca alfa, który wyłonił się w końcu spomiędzy drzew za swoimi pobratymcami. Sierść parowała mu w zimnym powietrzu. To był wilk polarny, o białym jak śnieg futrze, ale zdemoralizowały go Harfy, a Dziwność doprowadziła do szaleństwa. Był za duży, a spomiędzy żółtych zębów ciekła mu ślina.

Gdy Feral wysunęła się z cienia, odwrócił się do niej, zupełnie jakby byli umówieni na spotkanie. Wilk obnażył kły w morderczym uśmiechu, błyszcząły w świetle księżyca. Wokół jego nóg kotłowała się mgła.

Feral uniosła nagle rękę, na co wilk zaczął powarki-wać i groźnie rozgrzebywać łapą ziemię.

- No dalej, zmierz się ze mną - wyszeptwała, wciąż stojąc nieruchomo, pozwalając, by podszedł bliżej.

Podkraśl się na sztywnych nogach, z wysoko uniesionym ogonem, gotów zmierzyć się z tym dziwnym

alfą, który wkroczył na jego terytorium. Feral przeszedł dreszcz

1 zdała sobie sprawę, że bez problemu mogłaby zmienić teraz postać, ale nie było takiej potrzeby. Mogła

wygrać ten pojedynek nawet bez pełnej przemiany. Wilki to nie ludzie, walczą tylko wtedy, kiedy nie ma

innego wyjścia. Jeśli udowodni wilkowi, że jest od niego silniejsza, zwierzę się podda.

Zgodnie z jej życzeniem Amber i Crow pochylili głowy. Nie chciała, by widzieli jej następny ruch. Jej

szczękę przeszył ból, kości czaszki przestawiły się i Feral opadła na kolana. Potem oparła się na rękach, tak że

jej głowa znalazła się na równi z łbem starego wilka.

Na moment jej twarz zamieniła się w kufę ciemnego wilka, który w niej drzemał, o prawie czarnym futrze i

bursztynowych oczach. Spojrzała na starego alfę, groźniej, ostrzej niż on. Odsłoniła błyszczące kły, marszcząc

nos. Z jej gardła dobył się groźny, ostrzegawczy warkot.

Stary wilk się wycofał. Był na tyle mądry, by nie atakować tego młodszego i silniejszego stworzenia, które

pachniało i człowiekiem, i wilkiem. Feral znów warknęła i klapnęła pyskiem, tak dla pewności. Uszczypnęła

go w szyję. Kiedy przewrócił się na bok i uniósł w poddań-czym geście łapę, odsunęła się i stanęła przed nim,

kładąc mu rękę na zmierzwionym łbie.

Reszta watahy, jak nakazywał jej instynkt, poszła w ślady swojego alfy i również zaczęła się przed nią

kulić. Feral stała przez chwilę wśród płowych zwierząt, wciąż warcząc, po czym pozwoliła im odejść.

Warcząc, dała im do zrozumienia, że mają zniknąć i więcej ich nie nachodzić. Wataha zrozumiała przesłanie i

rozplynęła się wśród drzew.

- Dobra, na razie mamy ich z głowy! - głośno oznajmiła Feral.

I wtedy zobaczyła, jak Crow wstaje i na nią patrzy. To zrobiło na niej większe wrażenie niż wilk. Nie powinno, ale tak właśnie było. Co ją obchodziło, co widział albo co o niej myślał? Przecież nigdy więcej się nie zobaczą.

- Co? - zapytała, próbując spojrzeć mu w oczy. Wolno pokręcił głową.

- Nic. Zupełnie nic.

Tym razem nie udało jej się wyczytać nic z jego twarzy - była jak z kamienia. Ale powtórzyła sobie, że to nieważne. Nigdy nie będzie pewny, co widział. Mgła podnosiła się zbyt szybko, księżyc za słabo świecił, a Wielka Dziwność już dawno go dopadła. Poza tym miała poważniejsze sprawy na głowie. Kiedy jej uszy zamieniły się w wilcze, usłyszała coś w oddali.

- Wierzchowiec Prospera złapał nasz trop - stwierdziła. - Jedzie tutaj.

Crow spojrzał przerażony.

- Uciekajmy - rzucił, ale wyglądał, jakby kręciło mu się w głowie i nie mógł się zdecydować, w którą stronę powinni biec.

Amber wzięła Feral za rękę.

- Chodź, idziemy.

- Nie. Muszę to załatwić. - Pchnęła ją w stronę Crowa. - Pilnuj go i ukryjcie się, póki Prosper was nie minie.

A potem pobiegła.

Mgła

Oparli się o murek i zapatrzyli na osnute mgłą drzewa.

- Myślisz, że jakiś uciekinier próbuje się przedostać przez Harfy? - zapytał Deimos.

Bonnie ciaśniej opatulila się szalikiem.

- Może.

- Nie rób sobie za dużych nadziei - powiedział. -Niewielu z nich przechodzi żywych, a ci, którym się udaje, są chorzy. To ten las niszczy ich umysły. - Pochuchał w ręce dla rozgrzewki. - Musisz być optymistką, jeśli

zamierzasz spędzić tu całą noc.

Bonnie uśmiechnęła się do siebie.

- Jestem jak pitbull. Jak już raz wbiję w coś zęby, to nie puszczam. Poza tym ty jesteś taki sam.

- Ale ja mam powód. Widziałem miasto. To nienawiść mnie napędza.

Bonnie przesunęła się, aby zobaczyć jego twarz.

- Słyszałam, że Cienie robią się coraz bardziej aktywne. Mówi się o bombach.

Deimos wzruszył ramionami i uśmiechnął się do niej, ale nie odpowiedziała tym samym.

- Czasy się zmieniają, Bonnie. Zbyt wielu ludzi sprzymierza się z Nową Atlantydą. Trzeba ich powstrzymać.

- To mi się nie podoba. Nie jesteśmy terrorystami. Jesteśmy inni niż oni.

- Nie jesteś jedną z nas, Bonnie. Musimy wygrać. -Wydawał się trochę zdenerwowany tym, że podawała w wątpliwość jego działania. Z Deimosem nikt się nie kłócił, zawsze wykonywano to, co zaplanował.

Bonnie kopnęła obcasem w murek.

- Mogą ucierpieć niewinni.

- Po tym, co ci zrobili, musisz być święta, żeby tak myśleć - odpowiedział.

Dziewczyna popatrzyła na swoje paznokcie z francuskim manikiurem.

- Wojna jest dla mężczyzn. Kobiety wolą się mścić bezpośrednio, osobiście. - Zamknęła oczy i natychmiast ujrzała pod powiekami twarz, którą widziała tylko raz w życiu: cienkie usta, siwe włosy ściągnięte w kok i skórzana przepaska na oku. - Chcę jeszcze raz zobaczyć Generał Belisarius - powiedziała cicho, ale przejmująco. -A wtedy będziesz świadkiem, jak zmieniam się w jedno z tych latających stworzeń ze starożytnej Grecji.

Deimos spojrzał na nią zaskoczony, a potem się rozpogodził: - W Furię? Skrzydła, krwawe ślepie, lata i karze winnych?

- Tak, będę ucieleśnieniem zemsty.

- Piekło nie zna takiej Furii... - Uśmiechnął się do niej. - Wiesz co? Niedługo na plaży będzie impreza z okazji pełni księżyca. Proszę cię, żebyś ze mną poszła.

- Hm... ja? Raczej nie. Skrzywił się.

- Może jeszcze zmienisz zdanie. - Spojrzał w stronę ciemnego morza. - Chyba jeszcze skoczę posurfować, zanim przyjdą ludzie. Te wzburzone fale mnie wzywają.

Pokręciła głową.

- Jesteś uzależniony od niebezpieczeństwa. Któregoś dnia coś ci się stanie i utoniesz.

- Ja? Nigdy. Morze jest w moim władaniu - rzucił przez ramię i odszedł.

Kiedy zniknął, Bonnie usiadła na leżaku, opatulila uszy szalikiem i zapatrzyła się w mgłę. Tak samo czuła się poprzednim razem, gdy ktoś przechodził. Wyglądało na to, że jest wyczulona na wibracje Harf.

Niech tej nocy znów ktoś przejdzie.

Walka

Nikt, nawet Feral, nie mógł przegonić smoczego konia, zwłaszcza takiego, który oszalał od dźwięku Harf.

Prosper musiał się starać z całych sił, żeby opanować zwierzę, a równocześnie pilnować, by Dziwność nie dopadła i jego.

Widział ją przed sobą. Biegła z tą niezwykłą gracją, z niesamowitą prędkością, zupełnie się nie męcząc, coraz bliżej,

zwiewna postać w jego noktowizorze.

- Prosiła się o to - wyszeptał.

Wypuścił z jednej ręki wodze i sięgnął do pasa po stalową pałkę teleskopową. Rozwinął ją z trzaskiem i uderzył smoczego konia po łopatce.

- Szybciej! Skończmy z tym.

Feral biegła przez las. Pod stopami czuła wibracje ziemi i usłyszała pisk konia, gdy Prosper go pogonił.

Wbiegła między dwa rzędy drzew. Przy ich olbrzymich pniach czuła się malutka jak dziecko. Bieg w prostej linii był błędem, bo pozwalał Prosperowi ją dogonić.

Więc biegła prosto i śmiała się, przyspieszając jeszcze bardziej.

Prosper usłyszał jej śmiech i zawtórował. Zbliżał się do niej coraz szybciej, z uniesioną nad głową pałką.

Nachylił się w siodle, zamachnął, celując w nią, podczas gdy kopyta wielkiej bestii ryły ziemię. Kiedy się zrównali, opuścił pałkę i uderzył ją z całą mocą w ramię.

Gdy ją mijał, zobaczył, że potknęła się w pełnym biegu i potoczyła po trawie. Echo wciąż odbijało głuchy odgłos miażdżonej przez metal kości.

- Pierwsze trafienie moje - wyszeptał, próbując opanować wierzchowca, ale smoczy koń nie reagował i Prosper prawie skreślił mu kark, nim udało mu się wyhamować przy końcu alei drzew. Zawrócił i pognął w stronę leżącej na ziemi Feral.

Oczywiście gdy tam dotarł, jej już nie było. Roześmiał się. Co on sobie myślał? To nie był zwykły kadet, tylko Feral.

Moment później poczuł za sobą ruch powietrza, a jego wierzchowiec uskoczył przestraszony w bok, wyczuwając zapach czegoś obcego i przerażającego, co skoczyło mu na grzbiet. Feral zacisnęła ręce na szyi Prospera. Spodziewał się tego.

- Cześć, skarbie, tęskniłaś? - zapytał, nim wzmocniła uścisk tak, że nie mógł oddychać. Ale nie na długo.

Smoczy koń nie mógł znieść wilczycy na swoim grzbiecie. Nie zmylił go kształt Feral, wiedział, czym jest naprawdę, i zaczął szaleć, stawać dęba i brykać, próbował się tarzać, grożąc, że oboje zmiażdży, aż w końcu zrzucił ich na ziemię.

Jak koty wylądowali twarzą w twarz, w obronnych pozach, z rękami gotowymi do zadania ciosu. Mgła unosiła się wokół nóg, świecąc lekko, jak bladoniebieski ogień płonącego rumu. To było zupełnie jak antyświatło, nie rozświetlało niczego, tylko podkreślało cienie tak, że unoszące się w powietrzu pyłki kwiatów, kurz i owady wyglądały jak burza ultrafioletowego śniegu.

Przez chwilę tylko się w siebie wpatrywali. Był jej bohaterem przez całe życie, a teraz doszło do walki.

- Generał chce cię żywą lub martwą - powiedział -więc się przygotuj.

- Kłamiesz. - Generał na pewno nie chciał jej śmierci. Martwi ludzie nie odnajdują zaginionych synów.

- No dobra, kłamię - przyznał. - Ja tego chcę. Uniosła pięści.

- Co się stało? Zwykle stawałeś po mojej stronie. Myślałam, że mnie rozumiesz.

Prosper uśmiechnął się okrutnie.

- Zrozumiałem, że jesteś zdrajczynią, która sprzymierzyła się z przestępcą.

Coś poruszyło się wśród drzew. Mignęły cienie. To wilki się zebrały, aby obserwować z daleka sytuację, zainteresowane, a nie gotowe do ataku.

- Widzę, że rodzinka przyszła ci pomóc - prychnął. - Na pewno znów chciałabyś stać się wilczkiem.

Oblizwał wargi.

- No dalej, przemień się. Oboje wiemy, że tego pragniesz.

Uderzyła go, nim zdążył się poruszyć, a potem podcięła. Opadł na kolana i otarł krew z ust.

- Tylko na tyle cię stać? Więc znów go kopnęła.

- Byłeś moim bohaterem. Ale już nie jesteś - rzuciła. - Zmieniłeś się.

Pamiętała zdarzenie, gdy miała pięć lat. Otoczyli ją dwa razy starsi od niej kadeci. Bili ją, bo się wkurzyła, wdała w bójkę z jednym z nich i go pokonała, rozwalając mu wargę i wybijając jedynekę. Nie spodobało im się, że coś takiego zrobił taki kurdupel, jak ona. To Prosper wyciągnął ją z kręgu i pocieszył. Pokochała jego błękitne jak szafiry oczy. Kimkolwiek był ojciec Prospera, musiał przypominać jakiegoś skandynawskiego boga.

A teraz poderwał się z ziemi, w słabym świetle księżyca nie potrafiła nic z tych oczu wyczytać.

- Nie, to ty się zmieniłaś - syknął i uderzył ją w szczękę prawym sierpowym.

Padła na ziemię i zwinęła się w kłębek, poczekała, aż przestanie jej się kręcić w głowie. Czowała, jak narasta w niej gniew. Chciała zemsty, ale on też. Oko za oko, to tego uczyli ich od samego początku. Poniżył ją, a teraz ona chciała odplacić mu tym samym. Wzięła głęboki oddech, próbując opanować gniew, zignorować pulsującą mu na szyi żyłę. Wmawiała sobie, że jest dla niej martwy, że nic do niego nie czuje, poza chęcią zemsty.

- Ze względu na stare dobre czasy przepuść nas, Prosper.

Roześmiał się i kopnął ją z całą siłą w splot słoneczny, tak że straciła oddech i zgięła się wpół.

- Nie uciekamy, nie poddajemy się. Urodziliśmy się, by walczyć i umierać. A za to, co zrobiłaś, należy ci się odrodzenie.

I wtedy uśmiech na jego ustach zniknął. Kopnął ją w bok szczęki, powalił znów na kolana i zaczął okładać pięściami.

Przez chwilę mu na to pozwalala, aż poderwała się z ziemi, z błyszczącymi oczami i dreszczem na plecach, jakby jej wewnętrzna wilczyca chciała się wydostać. Zaczęli walczyć, cios za ciosem, z całej siły, bezlitośnie i bez skrupołów. Potyczka trwała długo, ale nawet oni musieli się w końcu zmęczyć.

- Zdradziłeś mnie! - prychnęła Feral, gdy byli już na ostatnich nogach. Uderzyła prawym sierpowym, jakby byli na sali gimnastycznej, ale z wyczerpania aż opadła na kolana.

- No i co z tego? - Prosper trafił ją w policzek, ale w uderzeniu nie było już siły. Miał słabe, poranione dłonie.

Feral podniosła się i kopnęła go w kolano, a kiedy zgiął nogę, trafiła w szczękę.

- Nie musiałeś wszystkim mówić, żeby mnie znienawidzili.

- I tak cię nienawidzą. Wszyscy się ciebie boją. - Wykrzywił pęknięte wargi. - Przez te twoje oczy i to, jak się ruszasz.

Podciął ją z zaskoczenia.

Upadła na kolano, ale szybko się podniosła.

- Kiedyś ci się to podobało.

Znów otarł krew z ust, a potem potknął się i prawie upadł.

- Och, to mnie kręci, ale jest nieludzkie.

- Myślisz, że o to prosiłam? Że to moja wina, że taka jestem? - Podeszła, by go uderzyć, ale miała już tak mało siły, że spudłowała. Była zbyt zmęczona, by robić uniki albo się odsunąć, więc oparła się na nim i tak stali, jak dwoje zapaśników, z rękami oplecionymi wokół szyi tego drugiego, stykając się czołami. Zataczali się tak razem, podczas gdy mgła podnosiła się, grożąc, że całkiem ich zakryje.

- A czy ktokolwiek o to prosił? - zapytał. - Wybrali nas przy narodzinach. Najlepsze osobniki.

Znów prawie upadł, ale go podtrzymała. Pogłaskał jej szyję i potarł czoło o czoło.

- Jesteś niesamowita, skarbie. Nie miałem pojęcia, jak bardzo załatzaś mi za skórę. - Jego oczy wypełniła żądza, nie nienawiść.

- Zdradziłeś mnie - wyszeptała.

- Sama się zdradziłaś, jak zniszczyłaś wszystko, żeby ratować życie temu chłopakowi. Jesteś nikim.

Ostatkiem sił odepchnęła się od niego, przyjęła pozycję obronną i w szczególny sposób ułożyła ręce. Prosper się zachwiał. Wiedział, co ta pozycja oznacza. Czarne uderzenie - dwa szybkie ciosy czubkami palców jednej ręki, jeden w serce, drugi w szyję, w dwa punkty kyusho. Cios wysyłał dwie wiązki energii, jedną do mózgu, a drugą w przeciwną stronę. Po kilku uderzeniach serca obie wiązki się zderzą i bum! Straci przytomność na kilka dni. Już nigdy nie odzyska pełni sił i straci pozycję prefekta.

- Nie - powiedział zszokowany. - Nie możemy tak tego skończyć. Poddaję się.

Uniół ręce w górę i padł przed nią na kolana, zasapany i z bolącymi od braku tlenu mięśniami.

Na szczęście się zgodziła. Rozluźniła się, ignorując głosik, który krzyczał w jej głowie, że jemu nie wolno wierzyć, że trzeba to skończyć teraz, bo on na jej miejscu właśnie tak by postąpił. Nie. Starczy, powiedziała sobie. Mam już dość walki.

Ledwo dostrzegła jego ruch - ostatkiem sił podniósł się na kolana i zadał cios, powalając ją na plecy.

Momentalnie poderwał się z ziemi i stanął nad nią z twarzą wykrzywioną bólem i nienawiścią, stopami przygniatając jej dłonie. A ona nie miała siły, by mu się wyrwać.

- Trzeba było mnie wykończyć - warknął. - Ale nie mogłaś, prawda?

Wycelował w nią pistolet z usypiającymi strzałkami. Zobaczyła, jak palec zaczyna naciskać na spust.

- Nie uciekamy, nie poddajemy się, głupia - szepnął. Ale nim zdążył pociągnąć za cyngiel, coś poruszyło się za jego głową. Z mgły wynurzyła się jakaś sylwetka.

W pierwszej chwili Feral myślała, że to wilk, ale to był Crow, z rozwianym płaszczem, wymachujący gałęzią.

Prosper wyczuł ruch i zaczął się obracać, ale nie dość szybko.

Dostał gałęzią prosto w twarz i padł jak ścięty. Pod wpływem impetu Crow poleciał do przodu i padł na kolana, z płaszczem łopoczącym jak peleryna superbohatera i z gałęzią gotową do ciosu.

A potem upadł i otoczyła go mgła. Feral podniosła się z ziemi, pociągnęła go do drzewa i oparła o pień.

- O rany, zabiłem go? - wysapał.

- Nie. Jesteś z zewnątrz, nie możesz zabić prefekta. Uśmiechnął się z trudem.

- Nie sądzisz, że to zabawne, że ten twój wojownik już drugi raz leży u moich stóp? - Przyjrzał się jej. - No już, powiedz, że miałaś wszystko pod kontrolą.

Zignorowała to.

- Czemu po mnie wróciłeś? Zamrugał zaskoczony.

- Ty uratowałaś mnie, a ja ciebie.

Twarz skurczyła mu się z bólu, a z nosa popłynęła strużka krwi.

- Nie wytrzymam już tego zabijania.

- Trenowano mnie do walki i zabijania. Tym właśnie jestem - odpowiedziała.

Odepchnął ją i wstał.

- Nie tylko ty jesteś tutaj zabójcą, wiesz? - odezwał się gorzko. - Ja też. Nie wiedziałaś o tym, co?

Upadł. Próbował się podnieść, ale nie dał rady, więc zrezygnował, zasłonił rękami uszy i pozwolił, by otoczyła go mgła. Nagle zobaczyła, jak włosy stają mu dęba. Czuła, że z jej włosami dzieje się to samo, nawet z tymi na ramionach. Rozbłysło nad nimi dziwne światło.

- Amber! - krzyknęła.

Dziewczyna podeszła do nich, jakby oderwana od rzeczywistości.

- Wszystko stanęło w ogniu! - przekrzykiwała wysokie dźwięki, które rozbrzmiewały między drzewami i rwały mgłę na strzępy. - Harfy nas zabijają!

Nocny surfer

Bonnie obudziła się na dachu po jakiejś godzinie, przemarznięta do kości i z mokrymi od mgły włosami.

Zadźwięczało zardzewiałe wyjście pożarowe i wyskoczył z niego Deimos. Jego czarna pianka pływacka błyszcząca w świetle księżycy jak skóra rekina.

- Przyniosłem kawę. - Wręczył jej kubek z kawą na wynos i plastikową słomkę. Potem odwrócił się od niej i zaczął ściągać piankę, truchtając w miejscu, aby pobudzić krążenie krwi i wycierając włosy, które poskręcały się od morskiej wody.

Bonnie patrzyła na niego od niechcienia, żując słomkę i popijając gorącą kawę. Znowu surfował w nocy po wzburzonych lodowatych wodach. Skórę miał pokrytą bliznami, pamiątkami po zderzeniach ze skałami albo otarciach o kamienie i żwir. Bonnie zupełnie nie mogła zrozumieć, jak można czerpać przyjemność z pływania nocą w morzu, które w każdej chwili może roztrzaskać cię o skały.

Deimos pachniał solą i ozonem. Wyciągał kawałki wodorostów z włosów. Potem ubrał się szybko, nasunął

kaptur na głowę i popijając, usiadł z ulgą obok Bonnie na leżaku.

- Nic? - zapytał.

- Nie. Ale mgła wciąż jest dziwna.

Czuła na sobie jego spojrzenie, ale nie chciała go zachęcać, patrząc mu w oczy.

- Pojedź ze mną na następną misję, do Stanów. Muszę sprawdzić pogłoski o bramie. - Przechylił lekko głowę, pewnie doskonale świadomy, jak dobrze wygląda w tej pozycji. - Już dość się tu naczekałaś. Nie chciałabyś przeżyć czegoś emocjonującego?

Wstała i zaczęła krążyć po dachu, stukając miarowo obcasami. W świetle księżycy jej włosy przybrały srebrzystą barwę.

- Przemyślę to - odpowiedziała wymijająco. Podeszła do leżaków i stanęła przed nim. - Muszę obserwować las. Wiesz, że to moja misja.

Spojrzał na nią.

- Nie możesz czekać w nieskończoność - odezwał się cicho.

Tym razem się nie wahała.

- Mogę.

Przygryzł wargę, jakby nagle, mimo całej pewności siebie, onieśmieliła go.

- Wiesz co? W przyszłym tygodniu gdzieś cię zabiorę. Daleko od tego posterunku. Pojedziemy na południe, do Londynu, do klubów. - Patrzył, jak siada obok niego. - Bardzo bym tego chciał. Byłaś tam kiedyś?

- W Londynie? Nie. Urodziłam się w środkowej Anglii, a potem pojechałam na północ. I już nigdy tam nie wróciłam.

Przybyła tu jako szesnastolatka, skłamała, gdy spytali ją o wiek, i zatrudniła się w Fan Clubie przy zbieraniu naczyń. Pracowała sumiennie, aż dostała stanowisko menedżera. Oszczędzała pieniądze, a prawie każdą noc spędzała w starym śpiworze na płaskim dachu klubu, wpatrując się w las. Pięć lat później, gdy właściciel Fan Clubu wystawił go na sprzedaż, odkupiła go. Może i urodziła się w czynszówce, miała nieodpowiedzialną matkę i ojca, którego nigdy nie było w domu, ale wiedziała, jak prowadzić biznes i co robić z pieniędzmi.

Pierwszym Nowym Atlantą, jakiego zobaczyła, był mały chłopiec, który o północy wybiegł spomiędzy drzew. Próbowła do niego dotrzeć, ale jakiś człowiek był szybszy i obaj zniknęli. Następny był młody chłopak, który wynurzył się z lasu całkiem zdezorientowany i śmiertelnie przerażony. Przez dwa tygodnie leżał z gorączką i gadał od rzeczy, aż pojawiły się Cienie i zabrały go do jednego ze swoich lekarzy.

Do tej pory widziała dziesięcioro. Za każdym razem miała nadzieję i za każdym spotykał ją zawód.

Może następnym razem, wciąż sobie powtarzała. Ale chociaż to nie ich oczekiwała, sama świadomość, że być może uratuje jednego mieszkańca tego podłego miejsca, była budująca.

Deimos poklepał ją po ręku, by przywrócić ją do rzeczywistości.

- Zmieniłaś temat. Pozwolisz zaprosić się na obiad? Albo do klubu? Na co tylko masz ochotę.

Odepchnęła jego rękę.

- Nie.

- Hm?

Musiała przyznać, że chłopak był uparty.

- Powiedziałam, że nigdzie z tobą nie pójde.

Ale on już na nią nie patrzył. Wpatrywał się w brzeg dachu.

- Płonie ci antena.

Błyskawica

Kiedy Harty głośno grają nad lasem, znika równowaga pomiędzy Nową Atlantydą a starym światem. Oba ocierają się o siebie, wyzwalają zimną mgłę, która pojawia się w lasach po obu stronach granicy, i wytwarzają potężne ładunki elektryczne, zabójcze dla tego, na kogo akurat trafiają.

Między drzewami przeskakiwały iskry, jakby przepowiadały nadejście czegoś znacznie gorszego. Hałas Harf był nie do wytrzymania.

- Co się dzieje?! - krzyknął Crow.

- Harfy próbują nas odstraszyć, jak pies, który się drapie, żeby pozbyć się pcheł. One próbują wydrapać nam umysły - wyjaśniła Amber. - Niedługo osiągną szczyt i wycelują w nas promień energii jak błyskawica.

- Co robimy?

Amber zasłoniła głowę rękami, bo pieśń Harf zrobiła się jeszcze głośniejsza.

- Biegniemy! - zawołała.

A potem pognęła przed siebie jak przerażone leśne stworzonko, skryła się pod najgęstszymi krzakami i zniknęła im z oczu.

Feral pociągnęła Crowsa za rękaw.

- My też musimy się schować.

- Zostaw mnie - odpowiedział. - Nie potrzebuję twojej pomocy.

Ale ona nadal go ciągnęła.

- Nie bądź głupi.

- Nie mów tak do mnie! - wrzasnął. - Przez całe życie ludzie próbowali mi to wmówić i udowodnić, że do niczego się nie nadaję.

Odwrócił się na pięcie i zaczął odchodzić, podziwiając otaczający ich deszcz świetlistych płomyków. Ale Feral jak zawsze wszystko popsowała. Podbiegła do niego i przewróciła go, po czym przykryła swoim ciałem.

Nagle znaleźli się twarzą w twarz.

- Nie ruszaj się - wyszeptwała. - Niech nas ominie, każdy ruch tylko pogorszy sprawę.

- Złaż ze mnie, wariatko - rzucił Crow, ale Feral ani drgnęła.

- Zapomnij o tym, że mnie nienawidzisz. - Czuł na policzku jej oddech. - Jeśli się ruszę, umrzesz. Ja to przetrwam, ale ty nie.

- To szaleństwo - stwierdził w chwili, gdy niebo przecięła potężna błyskawica.

Chociaż go zasłoniła, ujrzał blask pierwszego uderzenia, który przeszył go na wskroś, zdawało się, że trafił

wprost do mózgu. A kiedy zniknął, a wraz z nim ucichły upiorne wysokie tony, usłyszał coś innego.

- Słyszysz go? - zapytał, łapiąc za rękaw Feral, która wykorzystała przerwę w wyładowaniach i zaciągnęła go do małej dziupli w potężnym pniu drzewa. - Brat mnie woła!

- Nie. To tylko Wielka Dziwność cię zwodzi. - Wepchnęła Crowsa do zbutwiałej części pnia i wcisnęła się za nim. Kiedy usiedli blisko siebie, dziupla była w sam raz.

- Nie. Słyszę go. - Próbował precyzyjnie się na zewnątrz. - On tam jest!

- To halucynacje.

Crow uderzył ją w ramię, ale postanowiła być wredna i nie raczyła się ruszyć.

- Przestań. - Złapała go za rękę. - Jeśli to pomoże, to mi o nim opowiedz.

Próbował wyrwać się jej z uścisku, ale trzymała go zbyt mocno.

- Chcę się cofnąć w czasie. Chcę coś zmienić.

Przed oczami przelatywały mu kolejne obrazy. Dorastali razem dwaj bracia. Fin był tym zdolnym, tym, który tak bardzo chciał być piłkarzem, że wstawał dwie godziny wcześniej, żeby przed lekcjami poćwiczyć na łysym trawniku przed blokiem. To jego, odkąd miał dwanaście lat, obserwowały najlepsze kluby w kraju.

Przyjęto go do Chelsea, rysowała się przed nim świetlana przyszłość, ucieczka od ubóstwa i nędznych prac w fast foodach. Taki był Finlay Quinn.

Crow go ubóstwiał, odrabiał za niego lekcje, pisał wypracowania, bo dla niego szkoła nie była wyzwaniem. Ale to nie miało wielkiego znaczenia. Dobre wyniki z egzaminów to nic w porównaniu z przyjęciem do jednego z najlepszych klubów piłkarskich. Fin miał być pierwszym Quinnem, któremu się poszczęściło i który zarobi trochę pieniędzy dla rodziny.

- Cii... spokojnie. - Feral przytuliła Crowa i dotknęła czołem jego czoła. - Powiedz, czemu jesteś zabójcą? - zapytała cicho.

- Nie chciałem nim być. - W ciemnościach dziupli, wśród zgiełku Harf, zalał się łzami. - Boże, to wciąż tak strasznie boli. - Wymacał blizny na twarzy, ale nie chodziło mu o fizyczny ból. - Przejdzie mi kiedykolwiek?

- Nie wiem - odpowiedziała.

Otworzył oczy. Ich czoła się stykały, a z braku miejsca musieli siedzieć bardzo blisko siebie. Dziwny blask rozświetlał im twarze, a powietrze było tak lepkie od elektryczności, że najmniejszy ruch wywoływał snop iskier. Działo się z nimi coś dziwnego. Zwykle nie rozmawiał o Finie - w szkole wysyłali go do psychologów, ale to siedziało głęboko. A teraz nagle poczuł potrzebę, by o tym opowiedzieć, zupełnie jakby upił się tanim winem.

- Czuję się, jakbym był wstawiony. Jakby mój mózg się rozpuścił.

- Bo tak jest - odpowiedziała Feral. - Mów, to pomoże.

- To była osiemnastka mojego brata - zaczął opowiadać, zaciskając mocno powieki przed upiornym blaskiem. - Miałem szesnaście lat i nie zgodził się, żebym z nim poszedł. Więc dla żartu schowałem się w bagaż-

niku jego samochodu. Dostałem skurczu. - Zaczął płakać. - Dostałem skurczu i ruszyłem nogą, a oni mnie usłyszeli.

Może jego brat odwrócił się, żeby na niego krzyknąć. Tego już nikt się nie dowie. Jedno jest pewne - Fin z jakiegoś powodu gwałtownie skręcił. Przejechał na przeciwległy pas i zderzył się czołowo z dużą ciężarówką.

Fin i jego czterej koledzy nie mieli najmniejszych szans. Później znaleziono w bagażniku Crowa - był nieprzytomny, ale żywy. Wyszedł z tego z kilkoma szwami na policzku i gipsem na rękę.

- Śmierć na miejscu - wyszeptał. - Wciąż chodzi mi to po głowie. Bezustannie.

Przycisnął pięści do oczu, aby osłonić je przed dziwnym światłem z zewnątrz.

- Dlaczego skręcił? Usłyszał mnie w bagażniku? To była moja wina?

- Hej, już po wszystkim. Stało się - wyszeptała i przez chwilę Crow nie mógł sobie przypomnieć, dlaczego był na nią taki zły.

Pochyliła ku niemu głowę i żeby go pocieszyć, ścisnęła go za rękę. Oparł jej głowę na ramieniu.

- Widziałem to w oczach rodziców. To ja przysparzałem kłopotów, więc czemu to ja przeżyłem?

Rzucił szkołę. I tak nikogo nie obchodziło, czy zdał egzaminy. Ale nie mógł pracować. Nie był w stanie się skupić.

- Miałaś rację, zasługuję na to. Jestem zły. Czuję w środku taki ból, jakby głód - powiedział. - Wtedy muszę pożyczyć samochód i kusić los, żeby skończył to, co zaczął.

Crow podniósł rękę do tatuażu na szyi, "na zawsze 18".

Co powie jego matka, jeśli kiedykolwiek się stąd wydostanie? Pewnie nic. Ostatnio w ogóle niewiele mówi.

Może Feral i Amber było jednak łatwiej, skoro nie znały swoich rodziców. Nie wiedziały, co to znaczy sprawić zawód.

- Zapominam jego twarz, jego prawdziwą twarz, a nie tę ze zdjęć. Jeszcze kilka lat i będę pamiętał tylko zdjęcia.

Przytuliła go mocniej.

- Już dobrze, wszystko będzie dobrze. Wszechświat jest żywy i w każdym z nas jest jego cząstka. Tak powiedziała mi Amber, więc to musi być prawda. Kiedy umieramy, nasze ciała trafiają do ziemi, ale dusza, ta cząstka, która jest tobą, powraca. Twój brat nie odszedł na zawsze. Za jakiś czas znów dostanie szansę.

Spojrzał na nią.

- Tam gdzie jest Fin? Odrodzi się?

- Oczywiście.

Gwałtownie nabrał powietrza.

- Myślałem, że zniknął na zawsze. Feral popatrzyła na niego uważnie.

- Tak naprawdę nic całkiem nie znika we wszechświecie. Wszystko się odradza.

Otarł oczy.

- Nigdy wcześniej nikomu tego nie opowiadałem.

- Nigdy wcześniej nie byłeś pod wpływem harmoniczności.

Spojrzał jej w oczy.

-

Czy my tu umrzemy? Pewnie na to zasługuję. Niebo przeszła kolejna błyskawica, więc Feral nachyliła się nad nim, osłaniając go jak koc.

- Cii - wymruczała, kiedy uderzyło światło i zapiekło ich w oczy. Musnęła ustami jego policzek.

- Nie ruszaj się. Wcale nie chcesz umierać. Jesteś dobry. Uratowałeś mnie - wyszeptala. - A teraz moja kolej. Wyprowadzę cię z powrotem do prawdziwego świata.

Popatrzył na nią na wpół z przerażeniem, a na wpół z fascynacją.

- Jaki to ma sens?

- Co? - zapytała, głaszcząc go po głowie i patrząc na niego poważnie.

- Wszystko - odpowiedział. - Wszystko jest potwornie pokręcone.

- Tak.

- To był twój chłopak? Ten prefekt?

- Mniej więcej. Oplótł ją ramionami.

- Nie jest warte tego bólu, prawda? Kochanie kogoś? Nie odpowiedziała. I tak czekali w uścisku.

Kiedy Amber wyczuła, że moc Harf się zmniejsza, wygrzebała się z nory, w której się skryła, i przeturlała na trawę. Nawet mgła zelżała i odsłoniła leżącego na ziemi, nieprzytomnego Prospera. Amber sprawdziła mu puls. Wciąż żył, ale minie sporo czasu, nim się z tego wylize.

Zaczęła wołać Feral i Crows, ale przez pewien czas nikt jej nie odpowiadał. W końcu dostrzegła ruch u podstawy jednego z wielkich drzew i podkrađła się na czworakach, patrząc, jak wygrzebują się z dziupli.

Padli na trawę i zapatrzili się w nocne niebo.

Amber uśmiechnęła się do siebie. Feral trzymała tego chłopca za rękę! Położyła się obok nich i we trójkę patrzyli w gwiazdy.

- Cała trójka. To musi coś znaczyć. Jesteśmy częścią wzoru - powiedziała. - Spotkanie było nam pisane.

Trzy splątane wątki.

I wtedy smoczy koń Prospera, wystraszony błyskawicą, podbiegł do nich i zburzył atmosferę, niemal tratując ich na śmierć. Z pewnością przywróciło ich to do rzeczywistości. Amber podniosła się z ziemi i złapała wodze.

- Mamy szczęście. Możemy dojechać do brzegu lasu. Feral spojrzała z wahaniem.

- Nie pozwoli mi się dosiąść.

Amber pogłaskała zwierzę po nosie i coś do niego wyszeptala. A koń zamiast próbować ich zdeptać i zabić Feral, zaczął się uspokajać i nawet opuścił głowę tak, jakby oczekiwał, że zostanie podrapany za uszami.

- Jestem zaklinaczką smoków. - Uśmiechnęła się do nich. - Myślę, że uda mi się utrzymać go w ryzach, aż dotrzemy do brzegu lasu. A Prosper będzie musiał pofatygować się do domu na piechotę.

Przez kolejną godzinę, podczas której niebo nad nimi wciąż szalało, a powietrze było naelektryzowane, aż włosy stawały im dęba na głowie, siedzieli na smoczym koniu, którego Amber wciąż uspokajała i prowadziła przez las.

Po jakimś czasie Crow i Feral zasnęli na szerokich plecach zwierzęcia, z głowami na podołku Amber. A kiedy las nagle się skończył, obudziła ich.

- Udało się!

Crow usiadł. Głowa bolała go tak, jakby miał kaca. Odetchnął głęboko.

- A to co, do cholery? - zapytał zdziwiony.

Ognie świętego Elma

Wszystko wokół Bonnie buczało. Dźwięk był groźny, jakby coś elektrycznego miało zaraz wybuchnąć. Płonęła nie tylko antena satelitarna, ale wszystkie przedmioty na wysokości. Dach połyskiwał zimnym światłem od fioletowych płomieni z piorunochronu, zardzewiałego kurka na dachu i szczytu wyjścia pożarowego. Po drugiej stronie ulicy tak samo płonęła antena budki z kebabem.

- To ognie świętego Elma - stwierdził Deimos. Bonnie podeszła do tylnej ściany i zapatrzyła się na las.

- Przeskakują z drzewa na drzewo.

Dołączył do niej i razem obserwowali zimne, fosforyzujące ognie.

- Nie wiem, jak powstają, ale są za każdym razem, gdy ktoś przechodzi. Jak myślisz, skąd się biorą?

- To nie są płomienie, tylko gaz. Cząsteczki powietrza rozpadają się pod wpływem wysokiego napięcia.

Takie naturalne neony.

Stali blisko siebie i podziwiali pokaz świateł. Po jakimś czasie Bonnie zapytała: - Deimos, po co to robisz? Narażasz życie dla Cieni i spędzasz czas w jakichś zapadłych dziurach?

Mógłbyś surfować na Hawajach, zamiast w tym lodowatym zimnie. Nie rozumiem tego.

Chuchnął w ręce i potruchtał w miejscu.

- Ale to mnie napędza. Daje mi cel. Popatrzyła na niego uważnie.

- Jaki cel? Jak skrzywdziło cię Miasto?

- Ktoś zrobił mi coś złego. A potem przyłączyłem się do Cieni i znalazłem cel życia. - Zamyślił się chwilę. -

Stopy mi drżą. To normalne?

Bonnie schyliła się i położyła dłoń na podłożu. Drgało niepokojąco.

- Czuję Harfy. Grają pełną mocą. Możemy spodziewać się gości.

Deimos uśmiechnął się od ucha do ucha.

- Skoczę po chłopaków.

Harfy

Przed Crowem i Feral rozciągała się szarobrunatna równina poprzecinana czarnymi stawami i burymi kałużami, które teraz błyszczały jak ogień.

Wiatr niósł zapach popsutych jaj. Zaczęły ich piec gardła, a oczy wypełniły się łzami.

W oddali stały Harfy. Tak wielkie, że aż trudno było uwierzyć. Ciągnęły się po horyzont z jednej i z drugiej strony - sterczące w niebo olbrzymie czarne maszty, naciągnięte kablami, utrzymującymi je w pionie, a zarazem zapewniającymi muzykę, która otaczała Miasto i kryła je przed wzrokiem świata.

Feral usłyszała, jak Crow jęczy ze strachu, ale go zignorowała. Podeszła do Amber.

- Jak przez to przejść? Co zrobisz, żeby ich dźwięk nas nie zabił?

Amber ruszyła przed siebie.

- Jest usterka. Każda antena znajduje się dokładnie sto pięćdziesiąt metrów od kolejnej, tak że pola ledwo się zazębiają. Nie chcą, żeby zachodziły na siebie za bardzo, bo wtedy byłyby zbyt mocne i rzeczywistość by pękła. Ale dwie anteny są oddalone od siebie o pół metra więcej niż pozostałe, bo był problem ze skalnym podłożem. Anteny są tak wielkie, że muszą mieć dziesięciometrowe fundamenty. Te dwa pola się nie nakładają, ledwo się dotykają. Wystarczy, by utrzymać pole. A dla nas to rozwiązanie problemu.

- Bo? - Feral zmarszczyła brwi.

- Jest malutka przerwa. I dokładnie widać to miejsce, bo wystaje tam skała, która stała na drodze. Można się tam doczołgać, a potem musicie szybko przejść na drugą stronę.

Amber zatrzymała się i zmarszczyła brwi. Spojrzała na coś niewidocznego dla pozostałych. Feral nie spuszczała z niej oka.

- Co się dzieje?

- Jest tu ktoś jeszcze.

Feral rozejrzała się szybko, ale poza ciągnącym się w nieskończoność skażonym terenem nie było widać nic.

- Prefekci?

- Nie, ale czuję, że obserwuje nas kobieta. Feral wzruszyła ramionami.

- Nieważne. To pewnie jakaś halucynacja z lasu. Pora na nas.

Ruszyli. Otaczała ich muzyka Harf. Napływała falami, zupełnie jakby coś na nich dyszało. Crow przeskakiwał nad czarnymi kałużami, a płaszcz łopotał mu na cuchnącym wietrze. Feral dogoniła go i ostatnie pół

kilometra przeszli razem.

Kiedy zbliżyli się do Harf, Feral zaczęła dostrzegać między nimi fragmenty zewnętrznego świata.

Tamtejsze niebo było granatowoniebieskie. Płynęły po nim chmury, ale gdy zbliżały się do Harf, skręcały pod dziwnym kątem. Nic nie przedostawało się na drugą stronę. Kiedy samotny ptak podleciał do Harf, nagle zniknął. Patrzyła, czy pojawi się z drugiej strony, ale nie. Przepadł. Stracił życie albo trafił do innej rzeczywistości.

Przeszył ją dreszcz. To samo może spotkać i nas, pomyślała.

Bonnie patrzyła, jak znikają ostatnie ognie świętego Elma. Zastąpiło je naelektryzowane powietrze.

Znów przypomniał jej się sen, który nawiedzał ją, od kiedy skończyła czternaście lat. Może tym razem jej się poszczęści. Znów przyłożyła rękę do dachu. Drgania wzmogły się i usłyszała słabe odgłosy jakiejś niezziemskiej muzyki. Podeszła do ściany i oparła się o nią, patrząc w dół, na las.

Nagle niebo przecięła błyskawica. Poderwał się wiatr pachnący obcymi krajami, odległymi miejscami, sosnowymi lasami i dębami.

W jej umyśle pojawił się obraz. Dziewczyna. Chłopak. Jej serce zaczęło galopować.

Uspokój się, wariatko. Byłaś tu już tyle razy Zaczekaj, aż dotrą, zaczekaj, aż zobaczysz, kim są.

Już prawie przeszli na drugą stronę, pokonywali ostatnie metry.

- Zróbcie to - błagała. - Po prostu skoczcie.

Harfy górowały nad ich trójką, stały pod nietypowymi kątami. Oślepiały. Ich dźwięk rozbrzmiewał im w uszach.

Crow uczeplił się kurczowo dziewcząt, a może to one trzymały się jego.

- Czuję się tak, jakby ciało rozpuszczał mi kwas. -Pochylił się do wiatru, który ich odpychał i wypełniał oczy piekącymi łzami.

Byli tak blisko. Trzymali się za ręce i chwiejnym krokiem szli naprzód, pomagając sobie wzajemnie. Przed nimi z ogołoconej ziemi sterczała samotna skała.

- To tam musicie iść! - krzyknęła Amber.

Feral widziała na ziemi przed nimi postrzępiony fioletowy cień, rzucany przez jedną z pobliskich Harf.

Weszła weń i natychmiast otoczyło ich przejmujące zimno, a wiatr zamilkł. Wszystko znieruchomiało, ale wciąż słyszeli muzykę i coś paliło ich twarze. Z palców i oczu strzeliły im zimne fioletowe ogniki i tańczyły wokół nich jak złe duszki.

- Dalej z wami nie idę - powiedziała Amber, trzęsąc się tak, aż szczękały jej zęby.

Feral podeszła do niej.

- Dziękuję.

Amber popatrzyła na nią.

- Coś jest nie tak. Czemu nie powiesz mi co?

- Nic. - Feral rozłożyła ręce i uściskały się mocno. -Wracaj do Miasta, zanim zauważą, że cię nie ma.

Zwolniła uścisk.

Po twarzy Amber płynęły łzy.

- Uciekajcie - rzuciła. - Nadjeżdżają prefekci. Może kłamała, byle tylko zmusić ich do działania. Ale wtedy Feral poczuła swojego anioła stróża, który mówił, że musi iść dalej.

Po prostu skoczcie, rozkazał.

Feral złapała Crowa za rękę.

-

To ty jesteś dobry w bieganiu. Biegnijmy! Odwrócił się do niej i roześmiał, a wokół niego pełzały fioletowe płomyki.

A potem pobiegli i skoczyli.

Cienie

Feral otworzyła oczy. Pierwsze, co poczuła, to ból. Podniosła się z ziemi. Z trudem oddychała, a żołądek podchodził jej do gardła.

Jeśli przepchniesz przez sito żywą gąbkę, tak że rozpadnie się na kawałeczki, potem znów zaczną łączyć się w jedno. Feral właśnie tak się czuła, jakby została przeciw-nięta przez sito, a teraz z powrotem łączyła się w całość.

Rozejrzała się wokół, czekając, aż jej ciało i umysł dojdą do siebie. Wokół niej były drzewa, ale nie te gigantyczne z lasu, tylko mniejsze, okryte mgłą, która przylegała do jej twarzy i zaczynała dusić. Co gorsza, była tu sama, Crow gdzieś zniknął. Kiedy skakali przez Harfy, trzymali się za ręce, ale nie mogła sobie przypomnieć, w którym momencie zostali rozdzieleni. Chłopak mógł być wszędzie.

Zaczęła tupać, aby pobudzić krążenie, ale nogi odmawiały jej posłuszeństwa, zupełnie jakby były z gumy.

Próbowała biec, ale się zataczała. Szła aż do brzegu lasu, gdzie trafiła na ścieżkę. Przed nią wyrastał spory budynek, cały pokryty graffiti. Chodnik, na którym stała, był brudny, zupełnie inny niż błyszczące płyty Nowej Atlantydy; po nich cały dzień krążyły maszyny czyszczące.

TU było okropnie. Nad jej głową niebo błyszczało pomarańczowo od ulicznych świateł. Przejmujący wiatr porywał papierki po batonikach i pudełka po frytkach i wcale nie był świeży jak lodowate wiatry Miasta, tylko przeszywał do kości.

- Nie zabawię tu długo - wyszeptła do siebie. - Odnajdę jej syna i wtedy mi wybaczy.

Czuła benzynę, dym i coś smażonego. Może mięso? Owiął ją intensywny zapach gorących frytek skropionych octem i posypanych solą, aż zrobiło jej się niedobrze. Zobaczyła dwa neony - "Kebab Cypryjski" i "Fan Club". Gdzieś nieopodal jacyś ludzie śmiali się i krzyczeli.

Na końcu alei przeszła grupka dziewczyn na obcasach, obejmujących gołe ramiona, w strojach, które bardziej pasowały na lato niż chłodną jesienną noc. Słyszała, jak wołają za nimi jacyś chłopcy.

Feral doszły kroki i w alejce pojawił się długi i wąski cień. Zbliżał się do niej człowiek w mundurze.

Zaświecił w jej stronę latarką.

- Mówiłem wam, że nie życzę sobie, żebyście się tu kręcili! - krzyknął.

Przyjrzała mu się. Było ciemno i chociaż mężczyzna patrzył w jej stronę, może nie zauważył groźby w jej oczach.

- Zostaw mnie.

Podszedł bliżej i zatrzymał się przed nią. Naszywka na jego mundurze miała napis: "Ochrona".

- Ostrzegałem Bonnie, że samorząd ma już dość waszego łażenia po lesie i rzucania butelek. - Wycelował w nią palec. - Taka młoda panienka jak ty powinna być w domu...

Ledwo stała na nogach, ale udało jej się puknąć go palcem w pierś.

- Chodzę, gdzie chcę i kiedy chcę. Nie muszę siedzieć w domu tylko dlatego, że jestem dziewczyną.

Popatrzył na nią oburzony.

- Starczy tego dobrego - powiedział wrogo. - Wynocha. I nie będę powtarzał.

- A ja nie będę więcej ostrzegać. Zostaw mnie.

Spróbował złapać ją za ramię. Odsunęła się i zaatakowała, a po chwili patrzyła, jak mężczyzna pada na ziemię. Osunęła się na kolana obok niego, czekając, aż przestanie jej się kręcić w głowie.

Miała niepokojące wrażenie, że nie rozwiązała tego najlepiej.

Kiedy głęboko oddychała, usłyszała za sobą hałas. To był Crow. Miał podarty płaszcz i zmierzwione włosy.

Naciągnął rękawy na poranione dłonie. Jedną połę koszuli miał w spodniach, a drugą na wierzchu. Całe jego ciało pokrywały zadrapania i poparzenia po nocy spędzonej w lesie. Feral z zaskoczeniem poczuła, że ogarnia ją ulga i radość na jego widok. Crow oparł się o ścianę, wytrząsnął z włosów liście i gałązki i uśmiechnął się do niej szeroko.

- Hurra! Znów jestem w naszym świecie. - Odetchnął głęboko, po czym zakaszłał i odkrztusił. - Powąchaj powietrze! Prawdziwe powietrze!

- Wąchałam - odpowiedziała. - Śmierdzi.

- O nie. Kebaby. - Zasłonił usta wierzchem dłoni. - Nie teraz. Zaraz chyba puszcze pawia.

- To Wielka Dziwność tak działa, zupełnie jak choroba popromienna. I chyba za chwilę będzie gorzej.

- Widzę, że się nie nudziłaś. - Wskazał na zwiniętego w kłębek na ziemi mężczyznę. - Jesteś tu od trzydzie---
stu sekund i już wdałaś się w bójkę! I to z ochroniarzem. Zwariowałaś!

Spojrziała na leżącego mężczyznę i przygryzła wargę.

- Powiedziałaś mu, żeby przestał, ale nie słuchał. Wiem, że to był błąd, ale za jakiś tydzień czy dwa wróci do siebie.

Podeszła do chłopaka i też oparła się o ścianę. Crow na policzku miał smugę z błota. Poczwała, że ma ochotę ją zetrzeć, ale się powstrzymała.

- No i proszę. Jesteś z powrotem w swoim świecie -rzuciła. - A teraz zmykaj.

Rozejrzał się wokół.

- Pachnie jak dom. Ale jakoś zupełnie nie mam ochoty uciekać. A poza tym nie widzę, żebyś zamierzała się stąd ruszyć.

Feral wciąż patrzyła na wylot alejki.

- Ja czekam, aż mnie znajdą.

- Cienie?

- Tak. - Spojrzała mu w oczy.

- Czemu?
- Mogę im się przydać. A nikt inny mnie nie chce.
- No racja, to musi być jedyny powód - odpowiedział cicho.
- Prawda? Więc biegnij. Odchylił głowę do tyłu.
- Nie, dopóki się nie upewnię, że nic ci nie grozi.
- Co? - Popatrzyła na niego zaskoczona. Nie mogła na to nic poradzić. Żyła już szesnaście lat i po raz pierwszy w życiu ktoś okazał jej odrobinę dobroci. No, poza Amber, ale one się przyjaźniły, jako dwa dziwolągi. A on mógł po prostu zostawić ją bez słowa.

Popatrzył na nią.

- Słyszałaś przecież.

Przez chwilę stała zaszokowana. Przecież tak wiele złego przydarzyło mu się z powodu Nowej Atlantydy, a on nadal się o nią martwił. Z drugiej strony, to on był przyczyną jej problemów.

Nasze drogi się skrzyżowały, ale teraz koniec, powiedziała sobie. Crow nie należał do jej przyszłości. Ona musiała wrócić, to nie był jej świat - przecież już kogoś skrzywdziła! Musi o nim zapomnieć.

A poza tym, odezwał się w jej głowie głosik, jeśli nadal będzie blisko, w końcu go zaatakujesz. Wiesz, co się dzieje, gdy kogoś za bardzo lubisz. On cię za bardzo fascynuje - jego krzywy uśmiech, ciemnoszare oczy - od chwili, gdy zobaczyłaś go pierwszy raz, u swoich stóp. Odpędź go.

Zachowała się więc jak dobry żołnierz, którym była. Złapała go za ramiona i spojrzała lodowato, bez uczuć, ukazując kryjącego się w niej wilka. Przez moment w jego oczach zobaczyła strach. Może i udawał

nieporuszonego, ale ona to widziała, tak samo jak w oczach wszystkich innych, którzy ją spotykali.

- Nudzisz mi się - skłamała, czując, jak serce kurczy się jej z bólu. - Spadaj do swojego starego życia, a mnie zostaw moje.

Wzmocniła uścisk.

- I nie wspominaj nigdy o Mieście, jasne? Albo skończysz tak jak on. - Skinęła głową w stronę leżącego na ziemi mężczyzny.

Nie wierzyła własnym oczom, ale on się... do niej uśmiechnął.

- Tere-fere. Na mnie to nie działa.

- A powinno. Pokręcił głową.

- Pamiętam, jak mnie pocieszałaś w lesie. Jak osłoniłaś mnie przed nuklearnym atakiem Harf. Wzięłaś wszystko na siebie.

Feral puściła go i skupiła się na wydłubywaniu błota z butów.

- To Wielka Dziwność tak na mnie wpłynęła.

- Jasne, twarda dziewczyno.

Będziesz żałował, jak cię ugryzę, powiedziała w myślach, a na głos dodała: - Posłuchaj. Rozchorujesz się. Harfy sprawiają, że człowiek choruje, więc wynoś się stąd gdzieś, gdzie bę-

dziesz mógł spokojnie wypocząć i wyzdrowieć. Wracaj do domu, do rodziny.

- Nie.

Na tym rozmowa się skończyła, bo coś poruszyło się w cieniu na końcu alejki. Zbliżał się do nich ktoś w kapturze. Stanął kilka metrów od niej.

- Kim jesteś? - zapytała Feral. - Pokaż się, zanim się wścieknę.

- O rany, tego byśmy nie chcieli, co?

W świetle latarni widać było wysoką postać z twarzą ukrytą w cieniu, stojącą pewnie na rozstawionych nogach, z rękami luźno opuszczonymi wzdłuż ciała. Feral usłyszała za sobą hałas i z krzaków wyskoczyły jeszcze dwie zakapturzone postacie, blokując jej odwrót.

- Zwłaszcza że ledwo trzymasz się na nogach. Miał rację. Trucizna zaczęła atakować żyły i mięśnie.

- Kim jesteś?

- Jestem Deimos - odpowiedział nieznajomy. Zobaczyła błysk metalu w jego ręku. Miał broń. Czy to były Cienie? Próbowała udawać przestraszoną, ale żółć podchodziła jej wciąż do gardła. Jeśli szybko się stąd nie ulotni, to raczej go obrzyga, niż zaatakuje. Musiała podejść do chłopaka na tyle blisko, aby rzucić mu spojrzenie, dzięki któremu może go pokona. Sprawdzi, że będzie zbyt przerażony albo zafascynowany, aby zaatakować, a wtedy ona przejmie kontrolę nad sytuacją i ustali, kim oni są.

- Jestem chora! - krzyknęła. Podszedł bliżej, ale nie dość blisko.

- Wiem. Ale i tak ci nie ufam. - Uniósł broń. - Podnieście ręce do góry, oboje. Żebym je widział. - Przyjrzał

jej się uważnie. - Podoba mi się ten mundur, pasuje do ciebie.

Kiedyś za to zapłaci, ale jeszcze nie teraz. Teraz Feral czuła się tak, jakby płonęło jej całe ciało i zaraz miało się zmienić w kupkę popiołu.

Chłopak wyciągnął z kieszeni komórkę.

- Miałaś rację, Bonnie, mamy dwójkę. Właśnie przeszli przez Harfy. Są zatruci. Przygotuj wywar. Wygląda na to, że dziewczyna zaraz zemdleje.

Feral zatoczyła się, obraz rozmazał jej się przed oczami.

- Wiesz o Harfach? - wymamrotała. - Chcę porozmawiać...

- Domyślam się - przerwał jej. - Ale na razie...

Nie dokończył, bo Feral ogarnęła w końcu ciemność i osunęła się na ziemię.

Ostatnia myśl? Udało się, odnalazła Cienie.

Choroba

Przez cały tydzień codziennie padało. Zazwyczaj była to drobna mżawka, jakby ktoś pryskał na okna szampanem. Szemrała cicho, kołysząc ją do snu, ale czasami deszcz uderzał w okna kroplami wielkości grochu.

Gdy rankami wyglądała przez okno, otaczała ją mgła tak gęsta, jakby patrzyła przez papierowy parawan.

Słyszała kapanie z pękniętej rynny i trzaskanie drzwi, przyprawiające ją o drżenie. Pewnego razu, leżąc bez ruchu, otworzyła oczy. W głowie jej szumiało, a całe ciało piekło żywym ogniem. Leżała na błyszczącej drewnianej podłodze. Spróbowała usiąść, ale powietrze było tak ciężkie, jakby zamieniło się w błonę, której nie mogła przebić.

Głowa jej pękała, gardło było spuchnięte, a przegub ręki bolał. Pewnie dlatego, że ktoś przykuł ją do metalowego słupa. Leżała na kanapie mokrej od potu. Przeszedł ją dreszcz. Była cała przemoczona, ubrana w cienką koszulkę na ramiączkach i dresowe spodnie. Ktoś zabrał jej mundur.

Przed sobą miała okna sięgające od podłogi do sufitu, w których odbijały się żółte światła miasta. Gdzieś z dołu dobiegło ją odległe dudnienie muzyki. Elektroniczny zegar na ścianie wskazywał pierwszą piętnaście.

Na ulicy wciąż było słycać głosy. Ktoś krzyknął, a potem się roześmiał.

Rzut oka za okno wystarczył, by stwierdziła, że wciąż jest niedaleko alejki. Podejrzewała, że przebywa nad klubem. W oknie budki z kebabem naprzeciwko widziała odbicie czerwonego neonu.

Powąchała powietrze. Kawa, kluski, kurz, przypalony tost. Uniosła głowę. Pierwsza zasada walki - zbadaj otoczenie, ustal, gdzie są wyjścia, odnajdź i zniszcz wszelkie możliwe kryjówki, a potem zabezpiecz teren.

Aczkolwiek najpierw powinna mieć możliwość wstać i jasno myśleć. Nigdy wcześniej nie chorowała, nigdy nie czuła się słaba ani zdana na cudzą łaskę.

Ktoś obok niej jęknął. To był Crow. Leżał na drugiej kanapie, skulony jak dziecko, włosy miał mokre od potu. Ktoś do niej podszedł. Wzdrygnęła się, myśląc, że to mistrz przyszedł na nią nakrzyczeć, że nie wstała na trening. Ale ręka pogłaskała ją po głowie, a głos był miły.

- Leż spokojnie i o nic się nie martw - pocieszał. Niedobrze! Jestem kadetem, nas nikt nie rozpieszcza.

Ale poddała się pieszczocie. Dlaczego oni to robili? Umierała? Kadetom nie okazywało się czułości, nie martwiono się o nich, gdy chorowali. Po prostu zdrowieli i tyle.

- Co się dzieje? - Spróbowała usiąść. Piękne, wypielęgnowane dłonie pchnęły ją z powrotem na posłanie. -

Przeszłaś przez Harfy i się rozchorowałaś. Wypij to.

Jej warg dotknęła szklanka, potem do ust wlał się gorzki, parzący gardło płyn.

To była zasadzka, te delikatne dłonie miały ją zmylić. Odepchnęła szklankę i próbowała złapać za gardło.

Nie trafiła i uniosła wzrok. Przed jej oczami pojawiła się twarz.

Nie. To niemożliwe. To nie może być ona. Znow zaczęła ogarniać ją ciemność, więc opadła na posłanie i się jej poddała.

Kiedy znow otworzyła oczy, zegar wskazywał piętnastą trzydzieści.

- Wypij to. - Próbowała odsunąć szklankę, ale ktoś przytrzymał mocno jej głowę, podczas gdy zadbane palce wsunęły jej brzeg szklanki między wyschnięte wargi. Zakrztusiła się i splunęła, ale ręce trzymały ją dalej. -

To tylko chińskie zioła. Smakują okropnie, ale usuwają z organizmu truciznę. Przeszłaś przez Harfy, pamiętasz?

W końcu wypita i znow się położyła, tym razem z głową na czyimś podolku, a te piękne dłonie zaczęły ją znow głaskać, tak jak nikt inny przedtem. Zwinęła się w obronny guście i zaciskała mocno oczy, aby nie zobaczyć tej twarzy po raz drugi. Po jakimś czasie ręce okryły ją po szyję kołdrą, aż poczuła się bezpieczna, i otarły mokre czoło. W końcu przestała walczyć i zasnęła spokojnie.

Jakiś czas później obudziła się na deszczowy wschód słońca. Przekręciła się i wyrzała na zewnątrz.

Zobaczyła pustą ulicę, a nad nią zaróżowione chmury jak z akwareli. Coś poruszało się po chodniku, skradając się wśród toreb na śmieci - to był lis. Przez kilka minut kręcił się po śmietniku, wyjadając resztki, aż pojawił się samochód dostawczy, a kierowca zaczął krzyczeć: "Hej, Halil!" w stronę okien nad knajpką.

Położyła się z łomoczącym sercem. Lis ją przeraził. Przez moment myślała, że przedarł się przez płot elektryczny, który chronił Miasto przed zmutowanymi stworzeniami lasu. A potem powoli, zupełnie jakby czarna zasłona opadła w jej głowie, przypomniła sobie, gdzie jest.

Odwróciła głowę czekając, aż przestanie ją boleć. Ktoś stał przy kuchni i gotował te śmierdzące zioła. Ich zapach wypełnił całe pomieszczenie. Najwyraźniej ten ktoś usłyszał, że się poruszyła, bo odwrócił się, ale ona szybko położyła się z powrotem i zamknęła oczy.

Nie, to nie może dziać się naprawdę.

Ktoś do niej podszedł. Poczowała, jak łzy płyną jej po policzkach. Kadeci nie płaczą, ona nie płacze, to tylko choroba i halucynacje. Ktoś dotknął chłodną dłonią jej rozpalonego policzka.

- Cii, niedługo poczujesz się lepiej. Odpoczywaj. Sięgnęła do drugiej kanapy. Wciąż tam był i poczuła, jak łapie ją za rękę. A potem zasnęła.

Jakieś dwa czy trzy razy obserwowała przez okno, jak miasto budzi się do życia i zasypia na noc. Czasami o okna tłukł

potężny deszcz, czasem świeciło ostro słońce, a potem znów nadciągały czarne chmury.

Za którymś razem obudził ją głos. Tym razem męski, nie ten, który ją wcześniej pocieszał. Otworzyła oczy.

Ktoś kuczał przy Crowie, a ten siedział, podtrzymywał ręką głowę, a drugą się podpierał.

- Czuję się lepiej - powiedział. - Ona wzięła większość na siebie. Ochroniła mnie.

- Podoba mi się - odezwał się głos. - Torturowali go, a potem ona... - wskazał ją palcem - najwyraźniej go uratowała, a potem uciekli przez Harfy.

Ten ktoś pomógł Crowowi wstać.

Zauważyła, że on nie był przywiązany do słupa.

- Jesteś teraz bezpieczny, wśród przyjaciół - odezwał się głos.

Uniosła się na łokciu.

- Rozepnij kajdanki - wymamrotała przez spuchnięte usta.

- Nie. - Mężczyzna wymierzył w nią palec. - Najpierw musimy cię sprawdzić, miastowa panno.

Kobieta, która ją wcześniej pocieszała, rzekła:

-Pozwól jej przynajmniej wypocząć bez kajdanek. Biorę za nią odpowiedzialność.

Rozległ się śmiech.

-Nie ma mowy. To prawdziwy żywy kadet. Nie masz pojęcia, do czego oni są zdolni, nawet osłabieni przez Dziwność. To maszyny do walki, stworzone wyłącznie do tego celu. Kajdanki zostają

Przebudzenie

Zegar wskazywał dziesiątą czterdzieści trzy. Przez otwarte okno wpadał świeży powiew. Nadal było to skażone powietrze tego świata, a nie krystalicznie czyste powietrze Miasta, ale przynajmniej rozjaśniło jej się w głowie.

Zaczęła się przeciągać, rozciągać mięśnie, pompować do nich krew, by pozbyć się resztek trucizny Harf.

Trochę jej to zajęło, bo wciąż czuła się słaba i ospała. Kiedy usiadła, zakręciło się jej w głowie, ale odetchnęła głęboko kilka razy i to pomogło.

Mogła się wreszcie porządnie rozejrzeć, pierwszy raz, od kiedy przykuto ją do słupa. Znajdowała się w dużym pomieszczeniu z prowadzącymi na górę krętymi schodami. Ściany były z cegły, podłoga wyłożona dębem, a sufit podtrzymywały żelazne filary. Umeblowanie składało się z dużej sofy i kilku skórzanych foteli.

Na ścianie wisiały duży telewizor plazmowy i miecz. Był stary, pordzewiały i obrośnięty koralowcami, zupełnie jakby został wyłowiony z dna morza.

Pod drugą ścianą przycupnął stalowy nowoczesny kominek, w którym buchały sztuczne płomienie. Z tyłu znajdowała się kuchnia, oddzielona barkiem z rzędem wysokich krzesel. Była nowoczesnie urządzona, ale blaty zastawiono brudnymi talerzami i pudełkami po pizzy.

Nie miała pojęcia, jak wiele czasu upłynęło, od kiedy przedarli się przez Harfy. A jedyna osoba, którą mogła o to spytać, siedziała na podłokietniku jednego z foteli ją obserwowała.

To nie były halucynacje. To naprawdę był jej anioł stróż.

Podniosła się i usiadła w kucki, po czym znieruchomiła, czekając, aż przestanie jej się kręcić w głowie. A potem gwałtownie szarpnęła za kajdanki. Wokół żelaznego słupa okręcono gruby łańcuch, a potem prze---

pleciono przezeń jedną z bransoletek kajdanek, tak by można było ją przesuwac w górę i w dół. Wstała szybko, podnosząc się z podłogi, jakby miała podnośniki hydrauliczne, a nie mięśnie. Łańcuch zgrzytnął o słup. A potem rzuciła się na anioła, zadając ręką cios i trafiając jakieś trzydzieści centymetrów przed celem. Anioł

nawet nie drgnął, a ją nadgarstek bolał tak, jakby go złamała. Znów przykucnęła, walcząc z pragnieniem, żeby rozmasować rękę.

- Puść mnie - zażądała.

- Nie.

- Odwal się. - Zaczęła wykrzykiwać na całe gardło wszystkie przekleństwa, jakie знаła, aż w końcu ochrypla.

No dobrze, tego nie mówili na treningach, ale też ona nie była w domu, w błyszczącym Mieście, tylko w zewnętrznym świecie. Może w jej mózgu wciąż były toksyny. Ale gdzieś w głębi serca wiedziała, że to ta kobieta, która tak spokojnie siedzi i obserwuje ją tuż poza zasięgiem ciosu, jest powodem jej paniki.

- Skończyłaś już? - zapytała, unosząc swoją idealną brew, zupełnie jakby słyszała już to wszystko wcześniej i wcale nie robiło na niej wrażenia.

Miała na sobie skórzane botki, wąskie dzinsy i dopasowaną aksamitną marynarkę. Włosy, które spływały jej na ramiona jak błyszczący wodospad, były w czterech odcieniach blondu. W uszach i na szyi miała złotą biżuterię. A oczy ukrywała za ciemnymi okularami.

- Musimy porozmawiać - stwierdziła. Feral się roześmiała.

- Posłuchaj, dziwna kobieto, nie rozmawiam z tymi, którzy mnie przykuwają do ściany. - Nie potrafiła powstrzymać zgryźliwego tonu. Zaczęła szarpać kajdankami. - Nie znasz mnie i powinnaś się z tego cieszyć. A ja nie znam ciebie. Wypuść mnie.

Kobieta zaczęła przechadzać się po pokoju, stukając obcasami o dębową posadzę.

- Znasz mnie - odpowiedziała stanowczo. Skrzyżowała palce i uniosła je. - Byłyśmy ze sobą blisko, od kiedy byłaś dzieckiem.

Z jakichś przyczyn Feral nie mogła złapać tchu, zupełnie jakby w mieszkaniu zabrakło nagle tlenu.

- Skąd się tu wzięłaś? - wysyczała. - Nie byłaś prawdziwa, byłaś aniołem i tyle.

Kobieta się zatrzymała.

- Och, ależ jestem prawdziwa. I nasze więzy też są prawdziwe.

Feral pokręciła głową.

- Kim ty jesteś? Jakimś parapsychoicznym gliną? - Twarz Feral wykrzywił ból, gdy znów próbowała wyrwać dłoń z kajdanek.

Kobieta ją obserwowała.

- Wszystko w porządku? Chcesz coś do picia? - Zaczęła wykręcać ręce, jakby zupełnie nieświadoma tego, co robi. Spojrzała

z niepokojem w stronę kuchni. - Chciałam zrobić herbatę, ale nie mam mleka. Herbaty też nie.

Ani czystej szklanki. Ostatnio nic nie robię, tylko parzę zioła.

- Nic nie chcę. - Tak jakby mogła czegoś tu dotknąć.

- Gorąca czekolada! Mam gdzieś trochę. Napijemy się czekolady. Pewnie umierasz z głodu.

Feral ogarniała coraz większa panika.

- Powiedziałam: nie. Nie mogę oddychać. Po prostu mnie wypuść.

Kobieta cofnęła się o krok.

- Jeszcze nie.

- Nie! Teraz! Rozepnij ten łańcuch. Muszę stąd natychmiast wyjść. Duszę się.

Ta kobieta naprawdę wyprowadzała ją z równowagi. Nigdy wcześniej nie czuła takiej złości. Nawet wobec Prospera. Ale nie może znów do tego doprowadzić. Musi się opanować, nawet jeśli miała ochotę tłuc pięściami w podłogę i krzyczeć. Aczkolwiek Pani Idealnej należało się spotkanie z jej wilczą naturą. Gdyby tak mogła rozszarpać wszystko w tym pokoju na strzępy.

- Powiedziałam, żebyś rozpięła... - zaczęła.

- Czy nikt nie nauczył cię nigdy mówić "proszę"? - przerwała jej kobieta. Stała tak blisko, że Feral widziała w jej okularach swoje odbicie, przerażonej dziewczyny próbującej odsunąć się od słupa.

- A gdybym ładnie poprosiła, to by zrobiło jakąś różnicę? - zapytała sarkastycznie.

Kobieta uśmiechnęła się lekko.

- Prawdę mówiąc, nie. Na razie nigdzie nie pójdziesz.

- Boisz się mnie - zaryzykowała. Kobieta skinęła głową.

- Tak. Dopóki cię nie przekonam, że nie ma sensu używać wobec mnie przemocy. Nikt cię tu nie skrzywdzi.

Na Boga, ta kobieta nie miała o niej pojęcia.

- Zawsze powinnaś się mnie bać. Jestem chimera. Stworzono mnie do tego, bym była niebezpieczna.

Kobieta uniosła z ironią brew.

- Może gdybym wiedziała, o co dokładnie chodzi, zrobiłoby to na mnie większe wrażenie. Ale cokolwiek ci zrobili, bez względu na to, jak brutalnie cię tam trenowali, tutaj nie ma to znaczenia.

Jak ją trenowali? Głupia kobieta, nie wie, że Feral należy do elity, że dzięki treningowi była lepsza niż ktokolwiek z tego świata. Ale nie mogła jej tego powiedzieć. Nikt nie może wiedzieć, że wciąż kocha Atlantyde.

Wzięła głęboki oddech i rozprostowała palce, rozluźniła mięśnie i opanowała gniew.

- Chcesz wiedzieć, jak nas szkolą? - zapytała już spokojniej. - Kiedy jesteśmy mali, zastraszają nas, żebyśmy wiedzieli, że jesteśmy bezradni. Biją nas, jeśli zrobimy coś nie tak. Na przykład nie nauczymy się korzystać z toalety, jak skończymy dwa lata. - Przelknęła ślinę. - Raz zmoczyłam łóżko, więc zamiast spać na twardym materacu na podłodze, przez miesiąc spałam na ziemi bez okrycia.

Kobieta zasłoniła dłonią usta.

- Jeśli w nocy się rozpłaczemy, nikt do nas nie przyjdzie. Jeśli się skaleczymy, nikt nas nie pocieszy.

Uczymy się, że możemy polegać wyłącznie na sobie.

- Bydlaki - wyszeptwała kobieta.

- Och nie, mówią nam, że to dla naszego dobra. Kiedy kończymy pięć lat, zaczynają nas uczyć, jak mamy się bronić. I wierz mi, jesteśmy na to gotowi. A potem uczymy się brać odwet, na przemoc odpowiadać przemocą. A to dopiero początek.

Zamilkła, próbując złapać oddech. Kobieta patrzyła na nią w milczeniu. Po porcelanowym policzku spłynęła jej łza.

Feral ją obserwowała.

- Dlaczego płaczesz? - zapytała.

- Spóźniłam się o pięć minut, by temu wszystkiemu zaradzić - odpowiedziała cicho.

Feral dotknęła wolną ręką swojej piersi. Serce łomotało jej jak oszalałe. Zaraz miało stać się coś strasznego.

Osunęła się na podłogę i oparła o słup.

- To nieprawda. Nie znasz mnie - wyszeptwała. - Czemu zaradzić?

Kobieta podeszła i kucnęła przed nią, ale nadal nie dość blisko, by ją dotknąć.

- Czekałam na tę chwilę szesnaście lat.

Feral poczuła, jak twarz jej tężeje, jakby odpłynęła z niej cała krew.

- Kim jesteś? - spytała szeptem.

Kobieta zdjęła okulary i po raz pierwszy spojrzęły sobie w oczy.

- Jestem Bonnie Booth. Jestem twoją matką.

Spotkanie po latach

Przez okna wpadało słońce, ale na horyzoncie zbierały się czarne chmury. To samo działo się w umyśle Feral.

Anioł, ta kobieta, jej matka, wyciągnęła do niej rękę.

Odsunęła się najdalej, jak mogła. Jeśli się do niej zbliży, Feral zerwie łańcuch, jakby był z plastiku, i ucieknie -dokądkolwiek, byle jak najdalej stąd. Serce jej łomotało. Jak to możliwe, że bała się zwykłej kobiety?

Z łatwością mogła przecież pokonać dorosłych mężczyzn.

- Jeśli niby jestem twoją córką, to mnie rozkuj.

- Najpierw musisz się uspokoić.

- Kajdany raczej mi w tym nie pomogą.

Bonnie pokręciła głową, patrząc na nią jak w obraz.

- Nie.

Feral poczuła, że strach i złość wywołują przemianę. Już wcześniej czuła, jak futro ochrania jej ciało przed zimnem żelaznego słupa, ale zmusiła się, by to zatrzymać.

Teraz była pora na myślenie, a nie straszenie ludzi na śmierć. Nie chciała zamieniać się w wilka.

Wystarczyłaby jej wolność. Więc pozwoliła, aby ból opanował jej nadgarstek, i poczuła, jak kości miękną i się zmieniają. Podwójny rząd kostek dłoni, które łączą się z kośćmi przedramienia, tworząc staw, przesunął się wyżej i zwęził.

W mgnieniu oka ręka była wolna, a Feral opadła na kolana, po czym znów przysiadła na piętach i zaczęła rozmasowywać nadgarstek. Był posiniaczony i spuchnięty od szarpaniny, ale znów był ludzki, a na ból i tak nie zwracała uwagi.

Kobieta powinna wstać i uciec, a przynajmniej trochę się odsunąć. Mogła przynajmniej udać, że jest zszokowana. Jej matka - o ile to w ogóle prawda, choć głos w jej głowie krzyczał, że tak, i doskonale zdawała sobie z tego sprawę - nie zrobiła nic z tych rzeczy. Po prostu patrzyła na nią z rosnącym zachwytem.

- Nieźle. Mam córkę czarodziejkę. Powiedz, jak to zrobiłaś?

Feral wzięła kilka głębokich oddechów.

- To dar. - Podeszła krok bliżej.

- Nie zbliżaj się - powiedziała Bonnie. Feral przechyliła na bok głowę.

- Bo co? Zawiesz mi kieszonkowe?

Bonnie cofała się, aż trafiła na barek. Feral wiedziała, że gdyby chciała, mogłaby tę kobietę rozłożyć jedną ręką. Ale z jakiś przyczyn nie chciała do niej podchodzić. Odwróciła się i zaczęła rozglądać, starając się uspokoić.

Bonnie czekała bez ruchu. Obserwowała, jak dziewczyna zaczyna chodzić po mieszkaniu. Zrobiło się ciemno, niskie chmury dotarły nad miasto, a po szybach spływał deszcz. Wszystko stało się zamglone, jakby ktoś źle nastawił antenę telewizyjną.

Jej córka miała taką piękną twarz, ale teraz była naburmuszona. W końcu usiadła na jednym ze stołków.

Nawet przy tak prostym ruchu zaskakiwała gracją i siłą. Uciekinierzy, którzy przez ostatnie kilka lat przedarli się przez usterkę, nie należeli do kadetów ani prefektów. Byli zwykłymi pracownikami albo asystentami laboratoryjnymi.

Opowiadali jej o tamtym miejscu. Niektórych zabrano jako dzieci, innych zmuszono siłą, a jeszcze inni poszli z własnej woli, a potem zmienili zdanie. Żaden z nich nie był szkolony do walki. Mówili, że żołnierze nigdy nie odchodzą. Opowiadali, że prefekci są elitą i wszyscy się ich boją. I że jeden kadet był groźniejszy od reszty.

Nazywali ją Feral. Farrell, Feral. Zawsze się zastanawiała...

Czy powinna zawołać Deimosa? Dziewczyna mogła ją w każdej chwili zaatakować. Nie. Jeśli nie ufa ci własna matka, to kto?

- Nawet nie wyglądasz na matkę - odezwała się dziewczyna, jakby czytała jej w myślach. Mówiła oschle, ale głos jej się łamał. - Wyglądasz jak jakaś nedorobiona celebrytka.

Nie zwracaj uwagi, powiedziała sobie Bonnie. Próbuje doprowadzić do awantury, jak ja ze swoją mamą.

- Nie obchodzi mnie, co myślisz o moim wyglądzie. Wiem za to, że ty wyglądasz jak moja córka.

Bonnie podniosła jakiś nóż i zaczęła drapać nim po blacie, nieświadoma tego, co robi.

- Zastanawiałam się, czy cię poznam. Bałam się tego. Ale kiedy Deimos cię przyniósł, wiedziałam od razu.

-Uśmiechnęła się po raz pierwszy.

Odpowiedział jej błysk tych niesamowitych oczu.

- Jesteś za młoda, żeby być moją matką. Bonnie aż się rozpromieniła.

- Uznam to za komplement. Mam trzydzieści lat. To właśnie wtedy zaczynasz się cieszyć, jak ktoś ci mówi, że wyglądasz młodziej. - Odłożyła nóż. - Urodziłam cię, gdy miałam czternaście lat. To dlatego zdołali mi ciebie ukraść. -Uśmiech zniknął z jej twarzy. - Teraz by nie dali rady.

Na chwilę zapadła cisza.

Bonnie spróbowała jeszcze raz.

- Byłaś taka śliczna. Nazwałam cię Farell. Dziewczyna uniosła rękę, jakby próbowała osłonić się przed jej słowami.

- Farell. Co za głupie imię. - Posłała Bonnie groźne spojrzenie. - Teraz nazywają mnie Feral. A chcesz wiedzieć czemu?

- Nie bardzo. - Bonnie pokręciła głową. Kadetka uśmiechnęła się pięknie, ale i groźnie.

- Czasami się zastanawiałam, co bym zrobiła, gdybym spotkała moją rodzicielkę. - W jej głosie nie było sympatii.

A czemu miałaby być? - pomyślała Bonnie. Ale głośno powiedziała: - Na pewno. Może planowałaś mnie zaatakować albo odwrócić się na pięcie i zniknąć?

Dziewczyna poruszyła się tak szybko, że Bonnie nie miała szans się obronić. Nagle została przyciśnięta do ściany. Dziewczyna położyła jej ręce na ramionach i odezwała się tuż przed jej twarzą: - Tak. A co innego miałabym zrobić? - Mówiła ostro, ale w jej tonie była też smutna, rozpaczliwa nuta.

- Szesnaście lat próbowałam się dowiedzieć, kto cię porwał - oznajmiła spokojnie Bonnie. - I przez ten czas pewnie myślałaś, że cię zostawiłam.

- Nikomu nie mogą odebrać dziecka. - Twarz Feral przepętniał ból. - Nie wierzę ci. Sprzedałaś mnie pewnie albo coś podobnego.

Bonnie spróbowała wyplątać się z uścisku dziewczyny, ale bezskutecznie.

- Chcesz wiedzieć, jak to się stało? - spytała stanowczo. - To zabierz ode mnie te cholerne ręce i zacznij zachowywać się jak człowiek.

Feral spojrzała na nią groźnie.

- Ja? Jak człowiek? To ty mnie przykułaś, a teraz oskarżasz, że mi odbija. - Zwolniła jedną rękę i klepnęła się w czoło. - Przepraszam, czy tak robią mamusie? Bo wiesz, nigdy wcześniej żadnej nie miałam.

Bonnie napała całą siłą, przesunęła odrobinę jej drugą rękę i wysunęła się z jej objęć. Ale Feral znów ją złapała. Stały twarzą w twarz.

Bonnie spojrzała na dłoń, która zaciskała się na jej ramieniu.

- Starczy tego. Nie po to zaszłam w życiu tak daleko i pracowałam tak ciężko, żebyś teraz mi groziła. -

Oczy jej płonęły. - Więc odpieprz się i usiądź tam.

To przekleństwo tak zadziało na Feral. Sprawilo, że puściła ramię matki i z trudem zaczęła łapać powietrze. Poczula jego siłę, czula, jak trafia ją w brzuch i pozbawia oddechu jak prawdziwy cios. Odsunęła się zszokowana. Zobaczyła, że Bonnie ociera łzę, i uświadomiła sobie, jak mocno musiała ją ścisnąć, by przeklęła.

Szkolono ją, by zawsze kontrolowała sytuację, a ona zachowywała się jak zwykły oprych. W najgorszych chwilach, gdy zastanawiała się, czym się staje, przypominała sobie, jak podczas swoich patroli chroniła niewinnych ludzi. A teraz była dokładnie taka, jak chłopak, którego kiedyś powstrzymała, gdy zaatakował z nożem dwie osoby. Nie dlatego, że ich nienawidził, tylko dlatego, że nienawidził czegoś w sobie.

- Ja... ja zrobię coś lepszego - wyjąkała. - Zniknę z twojego życia na dobre.

Bonnie pokręciła głową. W jej oczach lśniły łzy.

- Nie, to ja przepraszam za te słowa. Zaczniemy jeszcze raz.

Zanim którakolwiek z nich zdołała dodać coś jeszcze, ktoś wszedł do mieszkania.

- Nie przepraszaj, Bonnie - odezwał się Deimos. -Wiedziałem, że będzie sprawiać problemy.

Bean

Świątynia tonęła w dymie setek świec. Amber siedziała w kącie i czekała. Miała je zgasić po skończonym nabożeństwie. Kadeci wrócili do swoich sypialni, mistrzowie do luksusowych apartamentów, a pracownicy do swoich pokoi.

Ale ktoś wciąż tu był. Generał klęczała z zamkniętymi oczami. Zupełnie nieświadomie Amber wejrzała w jej modlitwy.

Przyszedł szok. To nie były modlitwy.

To były myśli, gorące, zachłanne, złe myśli. O Feral i jej zmarłym synu Zanie. Tyle że nie myślała o nim w czasie przeszłym, tylko teraźniejszym.

Czyżby Zane wciąż żył?

Posłuchała jeszcze trochę - tak, żył, ale był w rękach Cieni.

Jego obraz powędrował z myśli Generał do Amber. Mały, chudy, z mokrymi lśniącymi włosami stał obok basenu. Kiedy szedł, utykał, jakby z jego stopami i nogami było coś nie tak. Nigdy nie widziała go na żywo.

Niewielu miało taką okazję. Spędzał dużo czasu w krypcie, poddawany różnym zabiegom.

Pojawiły się inne myśli, głośne i wściekłe. Myśli o Feral i Zanie, i o okropnym planie.

Odnajdzie dla mnie Zane'a. Wiem, że jest do tego zdolna. A potem będzie musiała umrzeć. Żadnego odrodzenia. Jest zbyt

niebezpieczna, by żyć. Tak będzie najlepiej. Program Chimera się na niej nie sprawdził. Tak jak i na innych.

Amber drgnęła, jakby przeszył ją prąd. Z Generał promieniowały teraz fale bólu.

Nowi Atlanci muszą być idealni, nie mogą mieć wad.

Amber złapała się za głowę, powstrzymując krzyk. Musiała stąd uciec, zanim myśli Generał doprowadzą ją do szaleństwa.

Jak Feral mogła jej ufać!

Powinna wiedzieć, że Feral nie opuściłaby tak łatwo Miasta. Bean już niedługo wyjdzie z krypty. Weźmie go ze sobą i uciekną. Musi ostrzec przyjaciółkę.

Ktoś złapał ją za ramię, prawie gruchocąc kości. Za późno.

- Czytałaś w moich myślach? - odezwała się Generał. - Niezbyt mądre zachowanie, Amber, nie z tyłoma naganami na koncie.

Mały chłopiec o kręconych włosach i buzi aniołka obserwował z cienia, jak Generał przywołuje dwóch prefektów.

- Wiesz, że zawsze działałam dla waszego dobra, prawda? - mówiła do płaczącej Amber. - Zabiorę cię do krypty. Odrodzisz się. Dzięki temu utracisz myśli, które podsłuchiłaś. Tylko w ten sposób będziesz bezpieczna i żywa.

Amber padła jej do stóp.

- Nie, proszę, tylko nie to. - W głosie rozbrzmiewał strach. - Nic nie słyszałam, naprawdę.

Nagle poderwała się i pognąła do drzwi. Generał skinęła głową i prefekci złapali ją, ale Bean zdążył

zwrócić na siebie jej uwagę i dać znać, że tam jest. Obserwował, jak zabierali ją krzyczącą.

Kiedy nikogo nie było w zasięgu wzroku, poszedł za nimi. Pod osłoną krzyków, Amber zdołała wysłać mu kilka myśli.

Feral działa dla Generał. Próbuje odnaleźć Zane'a. Cienie go mają. Śmierć grozi...

I wtedy jednego z prefektów znudziła szarpanina z Amber i poraził ją paralizatorem. Znieruchomiła.

Kiedy zniknęli za ciemnymi drzwiami krypty, Bean usiadł na schodkach i czekał. Po jakimś czasie zwinął

się w kłębek i przysnął. Obudził się o wschodzie słońca, gdy w koronach drzew zaczęły krakać wrony.

Wkradł się do środka. Na korytarzach było pusto. Mało kto o tej porze był na nogach.

Skupił się, wyczuł słaby sygnał z umysłu Amber i poszedł tym tropem. Była sama w pokoju. Leżała, wpatrując się w sufit pustymi oczami. Nie było w nich błysku. Mruczała coś do siebie. Podbiegł do niej i wziął

ją za rękę.

- Kim jestem, Amber?

Zamilkła na chwilę, przyjrzała mu się spokojnie, ale nic nie powiedziała.

Otulił ją kocem i wyprowadził, nim ktokolwiek zdołał ich zauważyć. Szli ulicami. Amber opierała głowę na jego wątlým ramieniu. To była powolna podróż. Bean musiał jej pomagać przy każdym, nawet najmniejszym stopniu, a często potykała się na prostej drodze. W końcu, na wpół ją prowadząc, a na wpół

ciągnąc, dotarł do stajni najbliższej płotu. Nie było tu żadnych strażników, bo smocze konie zaatakowałyby i rozszarpały każdego, kto podszedłby zbyt blisko. Ale Bean, tak samo jak Amber, miał na nie sposób.

Usiadł na ławce, odgarnął jej z twarzy włosy i delikatnie otarł krew z nosa.

-Spójrz na mnie - powiedział. A kiedy nie zareagowała, ścisnął jej rękę, aż na niego popatrzyła. Miała trochę mniej oszołomiony wzrok. - Amber, zrobiłaś to, co planowaliśmy, jak wpadniemy w tarapaty?

Pamiętałaś?

Otworzyła na moment szeroko oczy.

- Ukrywam się - wyszeptała.

- To dobrze. Będę przy tobie, będę się tobą opiekował, tak jak obiecałem.

Kilka razy przeszedł wzdłuż końskich boksów, aż w końcu podjął decyzję. Stał na dolnym skrzydle odrzwi. Mimo to musiał wspiąć się na palce, aby dosięgnąć opancerzonej głowy wielkiego szarego stworzenia. Podrapał je po nosie, a ono zamiast się poderwać i odgryźć mu potężnymi żółtymi zębami głowę, wsunęło nos pod dłoń.

Kiedy zwierzę się z nim oswoiło, wrócił i cierpliwie doprowadził dziewczynę do drabinek, po których wsiadało się na konia, pomógł jej wejść i usiadł za nią. A potem wygalopowali ze stajni, przez puste place, za płot i do lasu.

Deimos

Pierwszy raz Feral zobaczyła jego twarz, gdy złapał ją, jak traciła przytomność w alejce. Za drugim razem rozmawiał z Crowem, gdy ona leżała bez ruchu.

A teraz wszedł do pokoju jak jakaś gwiazda wychodząca z samolotu, jego pewność siebie wypełniała pokój. Odrzucił kaptur do tyłu, włosy miał jak lwia grzywa.

Po raz pierwszy w życiu ktoś wytrącił ją z równowagi. Może to dlatego, że nigdy wcześniej nie spotkała nikogo, kto wcale jej się nie bał. To było jak spotkanie innego wilka, równego sobie. Kiedy wymienili spojrzenia, nie było w nich żadnej groźby, tylko uznanie ich równych sił.

Za nim szła dziewczyna o długich ciemnych włosach i rzęsach jak Bambi, którymi nieustannie trzepotała.

Jakby flirtowała. Miała na sobie bluzę z kapturem jak inne Cienie, również jak Crow, który wszedł chwilę później z ręcznikiem na ramionach i mokrymi, skręcającymi się w pukle włosami.

Jego widok zaskoczył Feral, bo kiedy się obudziła raz podczas choroby i wyciągnęła do niego rękę, jego tam nie było. Nie było też jego śpiwora ani żadnego śladu po nim. Podejrzewała, że uciekł.

- Tak się cieszę, że przedał się przez Harfy - powiedziała ciemnowłosa dziewczyna do Bonnie i wzięła Crowa za ramię. - Jest słodziutki.

Crow uśmiechnął się z zażenowaniem.

- Cześć, Feral, obudziłaś się.

Próbowała też się uśmiechnąć, ale bez skutku, więc dalej opierała się o ścianę, wpatrując się w tego drugiego, którego nazywali Deimosem.

Był taki pewny siebie, pomyślała, kiedy podszedł do Bonnie i ją uściskał.

- Wszystko w porządku? - zapytał cicho, w tym samym czasie posyłając Feral paskudne spojrzenie.

Bonnie go odepchnęła.

- Tak.

Potem chłopak odwrócił się do kuchni.

- Powiedz, że tam jest jakieś jedzenie. Umieramy z głodu.

- Surfowaliśmy - wyjaśniła dziewczyna. - Spaliliśmy jakiś trylion kalorii.

- Nie znajdziesz tam wiele, Kimmy. Poślij po coś do kafejki Jima - odpowiedziała mętnie, jakby jedzenie było ostatnią rzeczą, o której myślała.

Feral zlustrowała bałagan, pudełka po jedzeniu na wynos wysypujących się ze śmietnika i przepelniony zlew. Wyglądało na to, że o sprzątanii też niewiele myślała. Może bała się, że zniszczy sobie te idealne paznokcie. To musiało już trwać jakiś czas, bo Deimos nie był zaskoczony brakiem zakupów.

- Coś przygotuję.

Feral patrzyła, jak chłopak wchodzi do kuchni.

- Crow został naszym najnowszym rekrutem - poinformował i znów posłał jej zabójcze spojrzenie. - A teraz musimy zająć się kadetem.

- Nie jestem już kadetem - wyjaśniła. - Jestem uciekinierem. Odwróciłam się od Miasta.

Bonnie uśmiechnęła się do Deimosa.

- Mówiłam ci.

Ale on nie był przekonany. Feral poznała to po złośliwym śmiechu.

Jesteś zaślepiona. Ja tam jej nie wierzę. Wszyscy odwrócili się w jej stronę i zaczęli przyglądać, jakby była jakimś eksponatem. Kimmy opierała się o Crowa i ssała koniec warkocza jak dziecko.

Naprawdę mam ochotę pozbawić go jego protekcyjnej miny i tej niby zawstydzonej Kimmy, pomyślała.

Ale zamiast tego powiedziała:

- Ale ja chcę się do was przyłączyć. Deimos uniósł dłoń.

- Najpierw jedzenie, potem gadanie. Otworzył na oścież wielką amerykańską lodówkę.

- Są jaja i chleb, więc będą francuskie tosty - stwierdził. Umieścił produkty między pudełkami po pizzy, wysypał ze szklanej miski kilka pomarszczonych jabłek 1 szybko wbił do niej jajka. Zaczął je wściekle ubijać i krzyknął: - Sól i pieprz, poproszę! Czemu nikt nie pomaga kucharzowi?

Złapała go za nadgarstek. Zaskoczony spojrzał jej w oczy. Nawet nie zauważył, że się ruszyła, był zbyt zajęty obrażaniem jej.

-

Powiedziałam, że chcę się do was przyłączyć. Próbował zabrać rękę, ale nie mógł. Rozbawiony przekręcił na bok głowę.

- To nic osobistego, ale ja po prostu ci nie ufam. Przynajmniej na razie. - Spojrzał na swoją rękę. - A to nie pomaga.

- Puść go. - Coś zimnego dotknęło skóry pod jej uchem. - Pewnie nic ci tym nie zrobię, dziwna dziewczyno, ale może zatrujesz się jadem kielbasianym albo co. -To Kimmy groziła jej widelcem zgarniętym z blatu.

- Naprawdę mnie nie lubisz, co? - zapytała Deimosa, hamując się, by nie odwrócić się i nie przyłożyć pannie Bambi. - Przerażam cię?

- Nie. Zupełnie nie. - Deimos uśmiechnął się od ucha do ucha. - Ale zastanów się. Dziwi cię, że jesteśmy ostrożni? Możesz być szpiegiem. Nigdy wcześniej przez usterkę nie przedostał się żaden kadet. A ty jesteś kadetem, prawda?

Zmarszczyła brwi i nic nie odpowiedziała. Deimos puścił do niej oko i zaczął wyciągać z miski fragmenty skorupki.

- Tyle że ty zemdlałaś u moich stóp jak wiktoriańskie dziewczę.

Tym razem odrobinę się uśmiechnęła.

- Spróbuj ze mną jeszcze raz, jak nie będę osłabiona przez Harfy, a zobaczysz, jaka jestem naprawdę.

Roześmiał się i zaczął wrzucać do miski kawałki chleba.

- Nie muszę. Jeśli chcesz tu zostać, to będziesz musiała dowieść, że na zawsze opuściłaś Nową Atlantydę.

Naprawdę chciała mu mocno przyłożyć, powiedzieć, co w rzeczywistości myśli o tym świecie, tym mieszkaniu, jego głupim ruchu oporu. Zachowała jednak kamienną twarz i odwróciła się, stając tym razem oko w oko z Kimmy. Dziewczyna odłożyła widelec, ale wciąż kręciła się w pobliżu.

- Na co się gapisz?

Kimmy jeszcze chwilę posiadała warkocz, po czym stwierdziła: - Masz dziwaczne oczy. Nosisz szkła kontaktowe?

- Nie.

- Robią wrażenie. - Deimos przyjrzał jej się z zainteresowaniem. - A więc udało im się w końcu stworzyć żywą chimerę.

- Sporo wiesz o Mieście. Wzruszył ramionami.

- Słyszymy plotki. Myślałem, że wszystkie umarły.

- Uprościli technikę - skłamała. - Mam tylko ostry wzrok i szybkie odruchy.

Poczuła na sobie wzrok Crowa, ale wciąż wpatrywała się w Deimosa i postanowiła zmienić temat.

- Nie wierzcie mi? To co ze mną zrobicie? Zastrzelicie?

Deimos trzymał teraz patelnię i próbował podpalić pod nią gaz. Podniósł wzrok.

- Nie. Przesłuchamy - Nachylił się nad barem i po-stukał ją w czoło. - Zobaczymy, co tak naprawdę siedzi w tym doskonale wytrenowanym umyśle.

- No to do roboty - odpowiedziała. - Nie mam czego się bać. Jestem gotowa.

- Już niedługo - obiecał. - Zanim całkiem wyzdrowiejesz, żebyśmy mieli pewność, że nie jesteś w stanie nic ukryć.

Wzruszyła ramionami.

- Dobra.

Zapach przyrządzanego jedzenia znów przyprawił ją o mdłości, więc usiadła na skórzanym fotelu. Nogi jej się trzęsły, mięśnie nagle odmówiły posłuszeństwa. On miał rację. Trucizna jeszcze nie opuściła organizmu, Feral czuła, jak wychodzi jej przez skórę. Wzięła kilka głębokich oddechów, aby się uspokoić, a potem wyjrzała na ulicę.

Po chwili podszedł Crow i usiadł na stołku obok. Oparł ręce na kolanach i spojrzał na nią z uwagą, nie-

śmiało. Pachniał mydłem i szamponem. Miał też nowe ubranie.

- Co ty tu jeszcze robisz? - zapytała, wciąż wpatrując się w ulicę.

Spojrzał na swoje dłonie i splótł palce. Wciąż nosiły ślady po nocy spędzonej w lesie.

- Dostałem wreszcie pracę. Zbieram w klubie szklanki. I mam lokum przy plaży; mogę je nazwać domem.

Na Kempingu Błyszczące Urwisko. Jest tam pełno surferów i Cieni, którzy spędzają tu zimę. To niezła miejscówka.

Skrzywiła się.

- Czemu się do nich przyłączyłeś?

- No wiesz, żeby coś robić.

Odwróciła się do niego i spojrzała mu w oczy

- W odwecie za to, co ci zrobiliśmy?

- My? Myślałem, że porzuciłaś Miasto. Nawet nie mrugnęła.

- Jasne - odpowiedziała gładko.

Położył ramię na oparciu fotela i zbliżył do niej twarz.

- Hej, to ze mną rozmawiasz - powiedział tak cicho, żeby nikt ich nie mógł podsłuchać. - A nie ze świętym Deimosem.

Prawie się uśmiechnęła.

- Świętym? Crow skinął głową.

- On tu jest na topie. Świetny facet. I nagle stał się poważny: - Nie zadzieraj z nimi. Opowiadali mi to i owo. Oni tu nie żartują. Są jak krzyżowcy. Martwię się o ciebie.

Porządnie cię przesłuchają. - Położył dłoń na jej dłoni. - Podchodzą do tego bardzo serio.

- To nie mój problem. Jesteśmy szkoleni, by wytrzymać przesłuchania. Kiedy stwierdzą, że mówię prawdę, że opuściłam Nową Atlantyde, mnie też zaakceptują.

Nie wyglądał na przekonanego.

- Co? - spytała. Wzruszył ramionami.

- Spędziłem z tobą noc w lesie. Znam cię. Coś kombinujesz.

- Nie znasz mnie. Może pora nauczyć się trzymać język za zębami.

- To brzmi jak groźba. - Wstał. - Nie chlapię w koło ozorem. Tak przetrwałem. Łatwo nawiązuję znajomości, ale zawsze zachowuję część mnie tylko dla siebie. Więc nie masz czego się obawiać. Możesz robić, co chcesz.

I odszedł.

Bonnie stała zamyślona w kuchni. Zauważył to Deimos.

- Coś nie tak?

Podeszła do drzwi i podniosła drogi skórzany płaszcz, który niedbale rzuciła na krzesło.

- Chodź - powiedziała.

Wrzucił talerz do przepelnionego zlewu.

- Mam sporo zajęć, to nie może poczekać? Bonnie odezwała się cicho: - Nie. To poważna sprawa. Musimy iść do lasu. - Przyłożyła rękę do ściany. - Czuję to. Muzyka Harf sprawia, że drży budynek. A to znaczy, że ktoś jeszcze przechodzi przez usterkę. - Wzięła go pod ramię. - Ale nie mów Feral ani Crowowi, zanim nie ustalimy kto to.

W lesie

W lesie zawsze miało się wrażenie, że ktoś właśnie tam zniknął albo skrył się za drzewem.

Czasami dochodziły z niego odgłosy samochodów, trąbienie klaksonów, zapach świeżo parzonej kawy, gorącej czekolady, krzyki dzieci, jakby wśród drzew była szkoła.

- Przychodzę tu prawie codziennie - wyznała Bonnie, siadając na powalonym pniu.

Polana leżała w samym środku prastarego lasu, otoczona przez srebrne brzozy, które świeciły jak duchy we mgle. Otuliła się mocniej płaszczem. To nie było spokojne miejsce. Deimos przechadzał się w tę i z powrotem, z nasuniętym na głowę kapturem i rękami w kieszeniach.

Szli tutaj prawie dwie godziny, ale gdyby wspięła się na szczyt któregoś z drzew, mogłaby z niego dostrzec płaski dach Fan Clubu. Na początku ją to dziwiło, ale nauczyła się już, że las jest większy w środku niż na zewnątrz, jak "Tardis", statek doktora Who.

Przyłożyła rękę do pnia i oderwała kawałek łuszczącej się, mokrej kory.

- Czuję wibracje. Ten ktoś jest już blisko.

Na pewno nie był to żaden mistrz, bo przejście przez usterkę osłabiało i wywoływało chorobę, a tego by nie ryzykował. Oni wychodzili z Miasta bramami.

Deimos chciał jej odpowiedzieć, ale wtedy potknął się i stanął, rozkładając ręce, jakby próbował odzyskać równowagę. Stał jakiś metr czy dwa dalej, prawie pośrodku polany.

- Znalazłem. - Uśmiechnął się.

- Czujesz zawroty głowy? - zapytała Bonnie.

- Tak. Jakbym był na brzegu przepaści. - Wysunął stopę. - Mój mózg mówi mi, że tam jest pustka, a stopa, że jest bezpiecznie.

- To usterka. Z tamtej strony między Harfami jest skała. A z naszej to. - Rozłożyła ręce. - Szkoda, że działa tylko w jedną stronę. Próbowałam wszystkiego, żeby się tam przedostać.

Chłopak dotknął ręką mokrej trawy.

- Czuję Harfy - powiedział. - Są jak olbrzymie czarne filary i ciągną się kilometrami.

Uniosła brew.

- Skąd wiesz?

Dalej wymachiwał ramionami i chwiał się na boki.

- Raz je widziałem, przez krótką chwilę.

Bonnie słyszała, że Cieniom udało się kilka razy odnaleźć ukryte bramy, a nawet przez nie przejść i rzucić okiem na miasto, nim zostali wykryci. Oczywiście potem bramy przenoszono w inne miejsca i trzeba ich było od nowa szukać.

Rozejrzała się wokół.

- Już prawie czas.

Przez moment na polanie zapadła cisza, mgła zawisła jak zasłony, zupełnie jakby świat na chwilę przystanął. A potem równie niespodziewanie wszystko poderwało się do życia. Wiatr znikąd zaczął

rozwiewać im włosy. Bonnie uniosła twarz i poczuła trującą Wielką Dziwność, a także cierpki zapach sosny i dębów z wielkiego lasu po drugiej stronie.

Wstała. Podbiegł do niej Deimos. Spletli ręce i stanęli twarzą do wiatru, próbując załzawionymi oczami zobaczyć Miasto. Ale nie zobaczyli nic ani nikogo, a wiatr zniknął tak gwałtownie, jak się pojawił.

- To dziwne - stwierdziła Bonnie. - Nikt nie przeszedł.

Za nimi usłyszeli trzaski gałązek. Odwrócili się, ale nikogo tam nie było.

- Zdarzyło się już kiedyś coś takiego? - zagadnął Deimos.

- Nie. - Bonnie zmarszczyła brwi.

- To poczekajmy jeszcze chwilę.

I wtedy w ciszy rozległ się szelest stóp. Nim Deimos zdążył się odwrócić, coś małego wskoczyło mu na plecy i drobne ręce owinęły się bezlitośnie wokół jego szyi. Uścisk nie był nawet mocny, po prostu zacisnął

mu arterie szyjne. Po kilku sekundach chłopak leżał nieprzytomny na mokrej trawie obok Bonnie, która padła pod wpływem celnego kopniaka w punkt uciskowy na obojczyku.

Dwie pary nóg odbiegły.

Przesłuchanie

Fan Club pachniał starym piwem, kawą i perfumami. Przez jedno z wejść wpadało słońce, rozświetlając trochę bar i stoliki. Reszta klubu ginęła w ciemnościach, poza jednym rozjaśnionym punktem, w którym na środku parkietu stało krzesło.

Deimosowi podobał się ten układ. Bonnie obserwowała to z ciemności. Otuliła się rękami, jakby jej było zimno. Kimmy żuła koniec warkocza. Crow stał z tyłu, częściowo w świetle, był zdenerwowany. Kilku twardzieli stało w pogotowiu, aby złapać Feral, gdyby nagle postanowiła zaatakować.

Jeśli nie była uciekiniarką, ale szpiegiem, pomyślał Deimos, to była najlepszym kłamcą, jakiego widział.

Przechadzała się po wnętrzu, przesuwając dłonią po stołach i lustrach, zupełnie jakby nigdy wcześniej nie była w nocnym klubie. Co, jeśli się zastanović, było całkiem prawdopodobne. Organizm już prawie pozbył

się toksyn, ale wciąż była przez nie osłabiona. Widział, że twarz zrosił jej pot, a mokre włosy przykleiły się do czoła.

Wszedł w krąg światła i stanął przy krześle. - Siadaj - zarządził. - Pora zaczynać. Podeszła wolno i usiadła.

- Świetnie, miejmy to już za sobą - powiedziała. - Opuściłam Nową Atlantyde. Popelniłam straszną zbrodnię. Zastrzeliłam mistrza. Nie wierzę już w ich wartości.

Patrzył na nią z kamienną twarzą.

- Ale wciążnosisz mundur.

- Bo nie mam nic innego - wyjaśniła gładko.

- Bonnie zaproponowała, że coś ci pożyczę.

- Nie. - Pokręciła głową. - Czy mój strój stanowi jakiś problem?

Nie. Nie dla niego. W tym mundurze była jak piękna sprzeczność - jej dziwna, ale delikatna twarz w połączeniu z surową czernią. I te oczy - powiedziała, że przeszła zmianę genetyczną nową metodą opracowaną przez Miasto. Otrząsnął się i sięgnął do kieszeni po małą strzykawkę. Musi skupić się na pracy.

Kto jak kto, ale on powinien wiedzieć, jak niebezpieczni są kadeci, zwłaszcza po programie "Chimera".

Zdjął zatyczkę z cienkiej igły i uniósł ją, postukując w nią paznokciem i wyciskając z niej małą fontannę.

Feral patrzyła na nią jak zahipnotyzowana. Usłyszał, jak Crow kaszle nerwowo.

- Nie mówiłeś nic o chemii. Uśmiechnął się szeroko.

- Nie? Ojej...

Punkt dla niego - przestraszył ją trochę. Widział to w jej oczach. Kadetów i prefektów uczono, jak mają zachowywać się podczas przesłuchań, ale teoria zawsze była łatwiejsza niż praktyka, zwłaszcza po dawce trucizny Harf.

- No to zaczynamy.

Feral powstrzymała ziewnięcie, patrząc, jak Deimos przygotowuje strzykawkę.

Więc na tym polegał ten jego wielki plan? Pentotal sodu - serum prawdy? Niech myśli, że ona się go boi, to polechce jego ego i zmniejszy czujność.

Cokolwiek myślał Crow, pójdzie jej łatwo, chociaż choroba ją wyczerpała. Mogła ukryć przed Deimosem prawdziwe zamiary i powiedzieć mu to, co chciał usłyszeć. Nic, co powie albo jej wstrzyknie, nie zmusi jej do wyznania prawdy. A nawet jeśli środek każe jej mówić, ona tylko potwierdzi, że jest uciekiniarką. Popelniła straszną zbrodnię, Generał chce jej odrodzenia. To wszystko prawda.

Podszedł do niej, chowając strzykawkę za siebie, jak doktor, który nie chce przestraszyć dziecka.

- Nie wiem, po co w ogóle się męczyć. - Westchnęła. - Szkolono mnie, bym to zniosła, a do tego mam po tym kaca.

Uniósł i przyjrzał się strzykawce, jakby z rozczarowaniem.

- Miałabyś zupełną rację, gdyby to było serum prawdy. Ale to coś innego.

- A co?

Przytknął jej palec do szyi. Była pewna, że robił to już wcześniej.

- Wielu lekarzy i badaczy przeniosło się do Nowej Atlantydy. Ale trochę dobrych fachowców zostało tutaj.

Po naszej stronie też są najtęższe umysły świata. -Uniósł gotową strzykawkę. - To nie jest pentonal sodu, tylko PS23beta. Jest przełomowy. Uśpi twoją świadomość i obudzi podświadomość, która zapragnie zdradzić wszystkie sekrety. A ponieważ twoja świadomość będzie spała, nic nie będzie cię hamowało przed wyznaniem całej prawdy. To łamie wszelkie bariery. Powiesz nam wszystko.

Nie zmieniła wyrazu twarzy.

- Ale mogę też zacząć opowiadać bajki.

- Nie sądzę. - Uśmiechnął się jeszcze szerzej. - Powiesz mi samą prawdę i nic ponad to, bo PS23 blokuje wyobraźnię. Nie da się kłamać. Z twoich ust popłyną same fakty.

- Nie, czekaj - przerwała. - To głupota. Nie życzę j sobie, żeby szprycowano mnie jakimś niesprawdzonym środkiem chemicznym. To może być zabójcze albo toksyczne, albo co. Proszę. Chcę odejść.

Wstała, ale złapały ją dwie pary rąk i posadziły z powrotem. Nie ma sprawy, może ich pokonać tak samo, jak strażnika w alejce. Zapewnić im dwa tygodnie leczenia, Ale była zbyt powolna. Cienie owinęły już jej nadgarstki plastikowymi taśmami i przywiązały mocno do krzesła. Poczwała oddech Deimosa na policzku, a potem ukłucie i w szyję i pieczenie.

Spojrzała mu prosto w oczy.

- Zapłacisz za to. Przyłożył jej palec do ust. .

- Zabawa dopiero się zacznie. - Kucnął przed nią. -Już płynie w twoich żyłach.

Przyglądał jej się uważnie, jak lekarz.

- Źrenice ci się rozszerzają. Zaczynamy. Zadam ci kilka pytań, tak na rozgrzewkę.

Krzyknęła, najgłośniejsz jak mogła.

Poczekał, aż zabraknie jej tchu, po czym spytał: - Kim jesteś?

Próbowała się pohamować od odpowiedzi, ale nie dała rady: - Feral.

Obszedł ją naokoło.

- Nie. Kim jesteś?

Westchnęła.

- Powiedziałam, jestem Feral. Ogluchłeś? Uśmiechnął się do niej.

- Nie, po prostu nieprawidłowo odpowiadasz na pytanie. Kim jesteś?

- A co mam ci, do cholery, powiedzieć? Jestem Farell Callista z Domu Theta Cappa, Ordo Templis 4, pobór 439, oddział Belisarius.

Zatrzymał się przed nią i przyjrzał jej uważnie.

- Nie, kim jesteś?

Wiedziała, do czego dąży. Drażnił ją, żeby zobaczyć, kiedy nastąpi zmiana, kiedy jej świadomość zaśnie i do akcji wkroczy rozgadana podświadomość.

- No dobra, spróbujmy tak. Jestem córką tamtej kobiety, która stoi teraz w ciemnościach i pewnie świetnie się bawi.

Usłyszała, jak Bonnie gwałtownie nabiera powietrza. Dobrze, że to usłyszała. Ale Deimos podszedł do niej i ścisnął jej delikatnie ramię.

- Nie mów tak o niej. Ona jest warta dziesięciu Nowych Atlantów.

Może Crow miał rację i Deimos nie był takim naiwniakiem. Jak dotąd zrobił na niej wrażenie swoimi meto---

dami. Były podobne do tych, których ją uczyli. Niepokojąco podobne, zupełnie jakby czerpał pomysły od innych uciekinierów z Miasta. Ale za ostatnie stwierdzenie dostałby pałę. W szkole kadetów uczono, że przesłuchujący nie może pozwolić, by jego umysł przesłoniły osobiste odczucia.

- Przepraszam. - Postanowiła wykorzystać jego słabość. - Nie wiedziałam, że podoba ci się moja matka.

Jakieś uczucie przemknęło mu po twarzy. Zauważyła je. Czysta złość. Dobrze. Znow ziewnęła, nie wiedząc, czy to efekt zastosowanej substancji, czy zwykle zmęczenie. Chwilę później dostała odpowiedź, gdy zalała ją fala energii, nagłąc do mówienia.

Zacisnęła pięści i wbiła paznokcie w skórę, aż do bólu. Za moment zacznie zdradzać wszystkie swoje sekrety i usłyszą je wszyscy, nawet jej matka.

Nie chcę, by matka usłyszała o mnie złe rzeczy! Zagryzła wargę. Dlaczego nie chciała, żeby to usłyszała?

Przecież nic dla niej nie znaczyła. Powinna martwić się tym, że zawali misję Generał.

Skupiła wzrok na Deimosie. Patrzył na nią triumfalnie, widząc, że zaraz się podda. Może za moment pożałuje, że nie był grzeczniejszy, bo miała tylko jeden sposób, aby wyjść cało z tej sytuacji. Bonnie nie wiedziała, czym j jest chimera, więc może pora pokazać jej, kim stała się jej córka. A właściwie pokazać im wszystkim.

Nie! Nie mogę pokazać, w co mnie przemienili. Nie chcę widzieć jej twarzy, kiedy się o tym dowie.

Deimos nachylił się nad nią, sprawdził jej źrenice i puls. Jeszcze chwila, a zostanie ugryziony. Zaczęła błą-

dzić wzrokiem po jego gardle, po pulsującej żyłce na szyi, ledwo widocznej, ale nie dla jej bystrych oczu.

Pulsowała powoli i równo, zupełnie jakby przesłuchanie było dla niego rutyną. Lecz mimo to nie miała ochoty zatopić zębów w jego szyi. Za dużo w nim było drapieżnika. Nie było w nim żadnego czulego punktu, który podnieciłby kryjącego się w niej wilka.

- Już prawie działa - odezwał się z twarzą tuż przy jej twarzy.

Mogę to zrobić, pomyślała. Nie muszę się zmieniać fizycznie, wystarczy, że zacznie działać wilczy umysł.

Przekręciła odrobinę głowę i spojrzała na Crowa, wciąż stojącego w półcieniu, z zaniepokojoną miną.

Włosy już mu wyschły po kąpieli w morzu. Miała ochotę odgarnąć je, by odsłonić gardło, ale nie musiała.

Widziała, jak krew płynie pod skórą. Kiedy tak na niego patrzyła, czuła zapach i smak strachu, który zaczął pokrywać mu skórę. Bał się jej czy bał się tego, co może z nią zrobić Deimos? Naszedł ją głód.

Skupiła wzrok na pulsującej żyłce i pozwoliła, by pragnienie krwi wypełniło jej mózg.

Poczuła, że się zaczyna, rozbolały ją mięknące, szykujące się do przemiany stawy. Ale nie - olbrzymią siłą woli rozluźniła kończyny i tylko umysłowi pozwoliła na zmianę.

Zamknęła oczy i poczuła, jak wilczyca przejmuje dowodzenie.

Deimos klepnął ją w rękę.

- No dobra, Feral. Wiem, że jesteś już pod wpływem leku. Wiem, że wcale nie zemdlałaś. Więc zacznij mówić.

- To obrzydliwe. Dlaczego jej po prostu nie uwierzysz? - To był Crow. Słyszała w jego głosie strach.

- Chyba żartujesz - odezwał się jeden z Cieni gdzieś z tyłu. - Oni są jak roboty. Może to i dzieciaki, ale nie mają w sobie za grosz dobra, ani krztyny człowieczeństwa. Ma szczęście, że nie zastrzeliliśmy jej od razu.

A potem głos Deimosa:

- Zamknij się, Al. Nie jesteśmy w Nowej Atlantydzie. Jesteśmy od nich lepsi. - Poglaskał ją po policzku. -

Pobudka, wstawaj.

Otworzyła oczy. Tym razem były to oczy wilka, a za nimi krył się umysł ostry, jasny i prosty, bez wyrzutów sumienia, poczucia winy czy sekretów. Chciał tylko z tym skończyć, powiedzieć im, co tylko chcą usłyszeć, a potem uciec jak dzikie zwierzę.

Zamrugła kilka razy, koncentrując się na terażniejszości. Siedziała na krześle podobnym do dentystycznego, tyle że ktoś przywiązał jej ręce do podłokietników. Kiedy zamykała oczy, zegar nad barem wskazywał jedenastą jedenaście. A teraz jedenastą dwanaście. Zdawało jej się, że minęła co najmniej godzina, a to tylko minuta. Uważaj, ostrzegła samą siebie. Twoje poczucie czasu nie istnieje. Miało to związek z chemikaliami, które czuła we krwi, i pieczeniem na szyi, gdzie wkłuł igłę.

Na usta pchało jej się warknięcie. Wrogowie! Była otoczona przez wrogów. Zagrożenie dla jej przetrwania.

A tak, to słowo, przetrwanie, tylko o nie teraz dbała. Przetrwanie wilka. Nie przejmowała się, czy wszyscy ją szanowali, czy Generał Belisarius wciąż ją kocha ani czy Crow zdaje sobie sprawę z tego, że puls na jego szyi sprawiał, że chciała go ugryźć, jak nikogo przed nim, włącznie z tym zdrajcą, Prosperem.

W tej chwili nic z tego nie miało znaczenia, bo teraz pragnęła tylko mówić i nie przerywać. I biec. Mogłaby przebiec dwa maratony, energia tak jej pulsowała w mięśniach. Ale z rękami przywiązanymi do krzesła nie mogła biec.

Obrzuciła Deimosa wyglodniałym spojrzeniem, ale nie mogła nic wyczytać z jego twarzy, a serce biło mu spokojnie. Czemu jej się nie bał? Skąd miał serum i skąd znał te techniki przesłuchiwania? Jeśli wszystkie Cienie były takie, jak Deimos, to mistrzowie i Generał słusznie się ich obawiali.

Położył rękę na jej dłoni. Jego była ciepła, natomiast jej lodowato zimna, zupełnie jakby narkotyk zamienił

jej krew w lód. Cała się trzęsła. A potem się do niej uśmiechnął. Nie wytykał jej już palcem, nie patrzył na nią, jakby była jakąś nieludzką maszyną.

- Co ty tu naprawdę robisz, Feral? - odezwał się łagodnie.

Zaczęła mówić, odpowiadać na jego pytania. Była dobra, była przebiegłym wilkiem.

- Zrobiłam coś złego. Od lat chciałam uciec. A kiedy zobaczyłam Crowa, zadziałałam odruchowo. Stało się. Zabiłam człowieka, który mnie operował.

Deimos zainteresował się bardziej.

- Co ci zrobili?

- Zyskałam więcej siły, takie tam. - Do oczu napłynęły jej łzy, wilcze, fałszywe łzy. - Pomogłam Crowowi, bo nienawidzę Miasta - powiedziała krótko. - A teraz chcę pomóc Cieniom. To was boi się Generał.

- Boi się nas?

W jego oczach zobaczyła dumę. A więc miał też wady. Chciał być najlepszy. Kiedy wstał i zaczął

zasypywać ją pytaniami, w jego oczach lśniła radość.

- Co wiesz o słowach kotwiczących?

Tym razem naprawdę nie wiedziała, o czym on mówi.

- Słyszeliśmy, że wszczepiają ci do umysłu rozkazy, a kiedy coś je wyzwoli, zaczynasz działać, nawet nie zdając sobie z tego sprawy. Jakbyś była kukielką, którą oni prowadzą.

- Nic. Nic o tym nie wiem. - Zmusiła się do uśmiechu. Miała nadzieję, że nie wygląda zbyt drapieźnie. -

Ale jeśli to prawda, to i tak nic bym o tym nie wiedziała.

Skinął głową.

- Racja. Kto ci tu kazał przyjść?

- Nikt. Uciekłam.

- Wciąż pracujesz dla Generał Belisarius?

- Nie! - Pohamowała łzy. - Nie rozumiesz? Zabiłam mistrza. Zastrzeliłam Trajana. Nie mogę wrócić i wcale nie chcę. - Zamilkła. Zaczęła gwałtownie oddychać. -Przepraszam, ale zaraz zwymiotuję.

Usłyszała, jak pstryknął palcami, potem hurkot metalu, a potem podał jej miskę. Kiedy do niej wymiotowała, przytrzymał jej włosy.

- No dobra, myślę, że możemy uznać, że jesteś szczerą. - Uśmiechnął się do niej szeroko. Poczula, jak w ramię wbija jej się igła. - To antidotum, żebyś nie miała kaca.

Mówił prawdę, bo poczuła, jak narkotyk przestaje działać. Pochyliła głowę, odetchnęła głęboko kilka razy i wypchnęła ten podstępny wilczy umysł, a pozwoliła wrócić swojej świadomości.

Zaczekała, aż wrócą ludzkie zmysły powonienia i wzroku. Deimos, teraz już nie wróg, ale po prostu człowiek, klęknął przy niej i cicho nucać, rozwiązał pęta na jej rękach. Spojrzał na nią.

- Wszystko w porządku? - Tym razem patrzył życzliwie. - Musieliśmy sprawdzić, rozumiesz?

- Hm. - Rozmasowała nadgarstki. Odwrócił się, by odejść.

- Jeszcze jedno - rzuciła. Zawrócił i spojrzał na nią z ciekawością. - Twoje metody prowadzenia przesłuchań są podobne do tych, których nas uczą. Skąd je znasz?

Uśmiechnął się szeroko.

- Z Nowej Atlantydy. Nauczyłem się ich od uciekinierów, którzy się do nas przyłączyli. Zawsze uważałem, że należy uczyć się od najlepszych.

Nadeszła pora na pierwsze pytania, póki miał poczucie winy za to, że męczył ją przesłuchaniem.

- Tak traktujecie zakładników z Miasta? - zapytała od niechcienia.

- Czasami.

A więc to prawda, mieli zakładników.

- W takim razie nie jesteście lepsi od Miasta.

- Przynajmniej ich nie torturujemy i nie zabijamy. -Wzruszył ramionami.

A więc zostawiali ich przy życiu. Czyli Generał miała rację, że jej syn wciąż żyje.

- A gdzie ich trzymacie? Uśmiechnął się.

- To już tajemnica. - Wyciągnął do niej rękę i pomógł jej wstać. - Napijesz się czegoś? Żeby wypłukać resztki narkotyku z krwi.

Popatrzyła na niego z niedowierzaniem.

- Napić się z tobą?

- Tak, przy brzegu jest bar Cafe Noir. Spotykamy się tam wszyscy. Jestem uzależniony od espresso.

Roześmiała się, po czym odwróciła na pięcie i ruszyła naprzód.

- Chyba żartujesz - rzuciła przez ramię. Patrzył, jak odchodzi.

- To znaczy nie? Nie odpowiedziała. Uśmiechnął się jeszcze szerzej.

- Jeszcze zmienisz zdanie. - Zaczekał, aż odejdzie jeszcze kilka kroków, a potem dodał: - A tak przy okazji...

Odwróciła się i zaczęła iść tyłem.

- Co?

- Nie opuszczaj Sinclair. Albo będziemy musieli cię ścigać.

Poczuła, jak włosy na karku stają jej dęba. Powiedział to od niechcienia, z uśmiechem, ale szkolenie kadeta podpowiedziało jej, że to była groźba, której nie zawaha się spełnić. Może i uwierzył, że jest uciekinierką, ale wciąż nieufnie podchodził do jej zdolności i nie chciał, aby samotnie szwendała się po świecie.

- I będę wiedział, jeśli to zrobisz.

Podeszła do drzwi. Sprytny chłopak, ale nie dość sprytny. Była już do przodu, zdobyła informacje dotyczą-

ce Zane'a. Niedługo ustali, gdzie trzymają zakładników. Teraz musi być tylko cierpliwa, grać swoją rolę, udawać, że podoba jej się nowe życie, a potem go uratuje.

Bonnie zapaliła wszystkie lampy. W ich świetle widać było, że stare lustra są zamglone, a parkiet porysowany. Z klubu zniknęły cała jego tajemniczość i uwodzicielski czar.

Z ciekawością obserwowała, jak rozwijała się sytuacja między Feral a Deimosem. Chłopak na pewno działał szybko i nietrudno było się domyślić, czemu podoba mu się Feral, ale coś ją niepokoiło. A może po prostu uważała, że tak powinna czuć się matka nastolatki?

Zorientowała się, że Feral wróciła i zbliża się do niej.

- Drzwi wejściowe są zamknięte. Chcę wyjść - odezwała się obrażonym tonem.

Bonnie popatrzyła na tę obcą osobę, jej córkę. Dziewczynę o niezwykłych oczach, która patrzyła na nią teraz tak zimno.

- O co chodzi?

- O nic. - Bonnie wyciągnęła z kieszeni klucze i podała jej. - Uważaj - dodała cicho. - Deimosa możesz oszukać, ale mnie jeszcze nie przekonałaś.

Poranek na plaży

Następnego ranka Feral obudziła się o wpół do szóstej i zaczęła zastanawiać, dlaczego wokół niej nie krzątają się kadeci, biegnący z sypialni pod prysznicę, spieszący na szóstą na boiska, z burczącymi brzuchami, mokrymi włosami zamarzającymi w sople na mrozie, próbujący uniknąć ciosu pałką w plecy albo nogi, jeśli mistrzowie uznali, że zbyt się grzebią. Wstała i rozejrzała się za mundurem. Leżał pognieciony na podłodze.

Tu nie było suszarni, w których wisały czyste, wyprane poprzedniego dnia ubrania. W drugiej sypialni znalazła za to przepełniony kosz na brudną bieliznę. A także komodę. Zabrała się więc do przeglądania zawartości.

W jednej szufladzie trafiła na coś zimnego - to był owinięty jedwabną apaszką pistolet. Obróciła go w dłoni, po czym odłożyła na miejsce. W następnej znalazła znoszone dżinsy i uznała, że skoro ma się nie wyróżniać, to te będą pasować. Aby nie spadały, przewiązała je paskiem. Na kaloryferze znalazła kremowy sweter z grubej wełny, który naciągnęła na obcisłą podkoszulkę.

W poszukiwaniu łazienki zaczęła krążyć po korytarzach. Drzwi do jednego pokoju były otwarte. W środku na łóżku leżała Bonnie, z jedną ręką odrzuconą do tyłu, a drugą na piersi. Feral odeszła szybko, po czym cicho zeszła po kręconych schodach do zabałaganionego mieszkania.

Ona mnie żałuje, pomyślała Feral. No cóż, a ja żałuję jej. W tym domu jest taki bałagan, a ona ma takie nudne życie. Ale muszę zachować te myśli dla siebie, ona już coś podejrzewa.

Rozejrzała się po pokoju, dotknęła pięknych koralików stojących na parapetach, przesunęła ręką po starym mieczu. Zdjęła go ze ściany i wykonała kilka pchnięć, a potem odwiesiła go na miejsce. Bonnie mówiła, że dostała go od Deimosa. Może nurkował po takie rzeczy. Wszyscy mówili, że był królem morza, pogromcą fal.

Całkiem logiczne, że mógł mieć coś takiego.

Kiedy już wszystko obejrzała, wyszła z domu i pomaszerowała pustą drogą, oddychając głęboko morskim powietrzem i obserwując wschód słońca - najpierw szary, a potem różowy. Morze na horyzoncie było szarawe, koloru gołębi, a fale równe, jak linie na sztruksie.

Zaczęła biec. Zwykle o tej porze miała już za sobą kilka kilometrów, więc przyspieszyła i pognęła na plażę.

Plaże na tym najdalej wysuniętym na północ wybrzeżu były czyste i puste. Ta przy drodze była kamieni---

sta. Dalej widziała urwisko z białego kamienia, a poniżej z morza wystawały poszarpane skały. Dochodziło się tamtędy do kempingu Błyszczące Urwisko, gdzie mieszkali poważni surferzy i Cienie. Ale dalej ciągnęła się plaża o złotym piasku,

otoczona olbrzymimi wydmi. To na tej plaży były najlepsze fale, potężne zielonkawe potwory, które wznosiły się, a potem z hukiem opadały na piach.

Ale morze miało swoją cenę. Surferzy musieli uważać na falę. Bonnie ostrzegła ją przed nią poprzedniego wieczoru, kiedy siedziały w jej mieszkaniu i jadły pizzę na wynos. Powiedziała, że to brutalny prąd opływający brzeg. Jeśli się w niego wpadło, było się na jego łasce. Nawet najlepszy pływak nie miał

szans się z niego wyrwać, chyba że sama fala postanowiła go puścić.

Opowiadała też o innych sprawach, zupełnie jakby naprawdę były matką i córką, które spędzają miło wieczór. Feral słuchała grzecznie, a potem szła do łóżka, z piekącym, duszącym bólem w piersi, jak gdyby szloch uwiązał jej w piersi.

A teraz zdjęła sweter i resztę ubrania, weszła do morza i skoczyła głową naprzód w małą falę, po czym wynurzyła się po drugiej stronie piany, jak wydra morska, lśniąca i w doskonałej formie. Przekręciła się na plecy, czekając, aż cała się rozgrzeje, po czym odwróciła się z powrotem na brzuch i energicznym kraulem odpłynęła od brzegu. Poczowała, jak lodowata woda i siła oceanu wypłukuje resztki toksyn z mięśni i krwi. Pod nią kłębiły się ciemne tajemnicze wody, do których nigdy nie docierało słońce, a żyjące tam stworzenia nie wiedziały nawet, że powyżej jest inny świat.

Kiedy tak płynęła, zaczęła się uspokajać. Przekręciła się znów na plecy i płynęła powoli, obserwując niebo i rozmyślając nad tym, co robią teraz kadeci i co dzieje się w Mieście. A kiedy poczuła pierwsze szarpnięcia fali, jak macki potwora o tysiącach małych chwytnych palców, przekręciła się z powrotem na brzuch i popłynęła do brzegu.

Gdy wyszła z wody, kończyny ją mrowiły, woda kapiała z włosów, a skóra aż od niej błyszczała.

Znajdowała się jakieś sto metrów od miejsca, w którym wskoczyła do wody, więc ruszyła w tamtą stronę, a wiatr osuszał jej włosy i skórę. Plaża wciąż była pusta, zupełnie jakby cofnęła się o jakiś milion lat i była jedynym człowiekiem na ziemi.

Jeśli nie liczyć Crows, który siedział nieopodal jej ubrań.

Mrużył oczy od słońca, obserwując, jak się do niego zbliża.

- Mógłbyś się odwrócić! - krzyknęła.

- Co za różnica - odpowiedział, osłaniając oczy. - Ledwo cię widzę.

A szkoda, pomyślał z zapartym tchem, obserwując, jak się ubiera. Robiła to z taką samą gracją jak wszystko inne. Ciemny obrys jej ciała kontrastował jaskrawo z oślepiającym światłem poranka.

- Jesteś pewien, że ledwo mnie widzisz? - zapytała, naciągając dzinsy.

Uśmiechnął się promiennie.

- Do pewnego momentu tak było. A potem słońce się trochę podniosło. Trzeba było się szybciej ubierać.

Dostał garścią piasku w twarz i smagnął go jakiś wodorost.

- Przepraszam. Poddaję się. - Roześmiał się, kiedy usiadła obok niego.

- Śledziłeś mnie? - Wycierała swetrem włosy.

- Nie! Teraz tam mieszkam. - Wskazał Błyszczące Urwisko. Zobaczyła ścieżkę prowadzącą tam, gdzie widać było dachy przyczep. - To stary kemping, ale nikt nie chciał tu przyjeżdżać na wakacje, więc wynajęli go na dłużej surferom. Domki są tanie i ciepłe, nikt nie zamyka drzwi, wszyscy się odwiedzają, razem jedzą, gadają, piją, późno wstają... podoba mi się tutaj. Czuję się u siebie. A co rano chodzę na spacerzy wzdłuż plaży.

Mam wrażenie, że jeszcze nie pozbyłem się całej trucizny Harf.

Spróbowała otrzepać stopy z piasku.

- Masz nowe ubranie. - Był w bluzie z kapturem Cieni, a na nogach miał nowe buty.

- I komórkę. Włożyła tenisówki.

- Kupiłeś je czy przypadkiem znalazłeś? Podniósł z piasku kamyczek i puścił kaczkę.

- To już przeszłość. Teraz na siebie pracuję, niedługo dostanę pierwszą pensję.

- Wygląda na to, że już masz sporo kasy. - Trąciła stopą jego buty.

Przez chwilę przyglądał im się z zachwytem, po czym uśmiechnął się krzywo.

- W mieście jest sklep jubilerski. Sprzedałem tam to, co ukradłem ze Świątyni.

Spojrzała na niego zaskoczona.

- Puchar? Widziałam, jak go brałeś i potem odstawiłeś. Znow się uśmiechnął.

- Wiem. Pozwoliłem, żebyś to zobaczyła. Tak, żebyś nie zauważyła, jak biorę naprawdę cenne rzeczy. -

Wziął kolejny kamyczek i zaczął przerzucać go z ręki do ręki. -Uznałem, że coś mi się od Miasta należy.

Zapatrzyła się w morze.

- Nie chcesz wrócić do prawdziwego domu? Wzruszył ramionami.

- Zmieniłem się, od kiedy trafiłem do Nowej Atlantydy. - Puścił kolejną kaczkę. Morze było płaskie jak stół.

-Nie mogę przestać myśleć o Mieście. Prześladowuje mnie.

- Bo jest nadzieją na przyszłość? Roześmiał się gorzko.

- Nie, bo pokazuje, jak wszystko się pochrzaniło. I że nie potrafimy żyć w zgodzie ani zaakceptować innych takimi, jacy są.

- W Nowej Atlantydzie masz wybór. Jeśli ciężko pracujesz, to dojdiesz na szczyt. To nie lepsze, niż urodzić się bogatym albo utytułowanym?

- Tobie nikt nie dał wyboru - odpowiedział. - Po prostu porwali cię i zaczęli na tobie eksperymentować. -

Na myśl o tym zacisnął pięści. - Cholera, mnie też porwali, a nie mieli prawa.

Przesypała trochę piasku między palcami.

- Amber mówi, że każdy z nas ma jakiś cel w życiu. Że wszystko ma swój powód.

Tym razem rzucił kamykiem ze złością.

- Myli się. Wszystko jest przypadkowe. Niektórzy tak po prostu umierają. - Strzelił palcami. - A inni nie.

Podrapała się w szyję. Może ugryzło ją coś w wodzie.

- Nie, to ty się mylisz. Możemy wpływać na to, co się dzieje. Ty jesteś twardy. To pierwsze, co u ciebie zauważyłam. Mogłeś zginąć w krypcie, ale walczyłeś. - Zamilkła, szukając odpowiednich słów. - To jak z dziewczyną w ciemnej uliczce. Jeśli się boi, to pewnie jakiś dupek ją napadnie, a jak będzie szła pewnie, to raczej nie. To ona jest panią swojego losu.

Wstała, odwróciła się od niego i popatrzyła na plażę. Słońce tak ostro odbijało się od mokrego piasku, że aż bolały oczy.

- Nowa Atlantyda uczy rozsądku.

Stanął obok niej, trącając ją ręką i hamując pragnienie, by zetrzeć jej z szyi te kilka ziarenek piasku, które przykleiły się do jej skóry.

- Więc ich oszukałaś - odezwał się cicho. - Sprawiałaś, że Deimos wierzy, że jesteś przeciwko Nowej Atlantydzie.

Najpierw nic nie odpowiedziała, wciąż odwracając od niego wzrok.

- Nie możesz mi nic udowodnić. - A potem westchnęła. - Czy ty tego nie widzisz? W tym świecie nie ma dla mnie miejsca.

Popatrzył na tył jej głowy.

- A właśnie że coś już tu masz. Odnalazłaś swoją matkę.

- Nie szukałam jej. Urodziła mnie i tyle.

- Och, nie gadaj. Na pewno to spotkanie zrobiło na tobie jakieś wrażenie.

Feral milczała.

- Słyszałem, że jakoś łączyła się z tobą mentalnie, bo tak bardzo cię kochała. To niesamowite.

- Myślałam, że była moim Aniołem Stróżem. Powinnam wiedzieć, że tacy jak ja nie mają aniołów. -

Zamilkła na chwilę. - A poza tym wygląda na to, że jesteśmy sobie zupełnie obce - dodała gwałtownie.

Podrapała się w szyję i skrzywiła.

- Coś mnie ugryzło. Możesz spojrzeć?

Pochyliła głowę, by odsłonić szyję. Crowowi zaparło dech. Wciąż nie mógł jej zrozumieć. W jednej chwili opowiadała się za tym upiornym miejscem, jak zwykły żołnierz, chwilę później mówiła o tym, że nie zasługuje na Anioła Stróża, a on pragnął tylko objąć ją i nie puszczać.

- No i?

- Nic - wymamrotał, po czym nie myśląc wiele, pochylił się i pocałował ją delikatnie w szyję. Przez chwilę oboje stali nieruchomo. Nawet plaża zdawała się wstrzymać oddech. A potem odwróciła się do niego i spojrzała na niego dziwnie.

-

Nie, proszę. Nie rób tego. - Głos jej lekko drżał. Jej wzrok zatrzymał się na moment na urwisku. Spojrzał

w tamtą stronę. Na drodze do kempingu stał Deimos i kilkoro Cieni z deskami do surfowania. Obserwowali ich.

Odsunął się od niej zraniony.

- Jasne. Rozumiem.

- Nieprawda - odpowiedziała. Posłał jej krzywy uśmiech.

- Owszem. - Zostawił ją samą.

Szedł główną ulicą, myśląc nieustannie o tym, jak Feral wyglądała, wynurzając się z morza, kiedy podeszła do niego kobieta w czerni.

- Jestem pastorem kościoła pod wezwaniem Świętego Andrzeja, nieopodal sklepów. To ciebie nazywają Crow?

- Może, a o co chodzi? - Nikt go tu nie znał, ale ostrożność przychodziła mu odruchowo.

Kobieta spojrzała na niego z ulgą.

- Mógłbyś ze mną pójść? Mamy w kościele problem.

Problem z Amber

To był prosty, surowy kościół z niską wieżą i ponurym cmentarzykiem o zniszczonych przez deszcze nagrobkach. Połowa z nich była poprzewracana przez północne wiatry.

Pastor zaprowadziła go do środka. Crow aż zamarł na widok oślepiającego światła. Przez witrażowe okna do szarego wnętrza wpadały czerwone i niebieskie cienie, ale to świece tak oślepiały. Było ich co najmniej sto.

Na parapetach, ambonie, ołtarzu.

- To on je wszystkie pozapalał. Próbowałam go powstrzymać, ale zaczął szaleć, więc w końcu się zgodzi-

łam. - Objęła się ramionami. - Uważaj, może i jest mały, ale za to niesamowicie szybki. Chciałam im pomóc, a on mnie zaatakował. Myślę, że chronił dziewczynę.

Poprowadziła go do głównej nawy, gdzie pod ołtarzem klęczały dwie postacie.

- Znasz ich? - spytała.

- Ją tak.

Podszedł do nich powoli, nie mogąc uwierzyć własnym oczom. Przed ołtarzem klęczała Amber, a mały chłopiec trzymał ją za rękę.

Była owinięta kocem, który sięgał jej prawie do stóp. Wyglądała jak elf, którego spotkało nieszczęście.

W rude włosy miała wplątane gałązki i liście. Chłopiec był ubrany w czarny mundur Miasta. Wyczuł, że ktoś się zbliża, i szybko się poderwał. Może i był telepatą, pomyślał Crow, ale przeszedł takie samo szkolenie, jak inni kadeci. Trudno się dziwić, że pastor była posiniaczona.

- Cześć, spokojnie, jestem przyjacielem - odezwał się uspokajająco. - Spytaj Amber.

Bean skinął głową.

-

Wiem. Poprosiliśmy pastor, aby cię znalazła. Crow wyciągnął do Amber rękę, ale spojrzała na niego niewidzącym wzrokiem.

- Weź ją - powiedział Bean. Posłuchała. - Nie może dużo mówić.

Czuł się tak, jakby trzymał łapę zdenerwowanego zwierzątka. Usiadł przed nią na schodach.

- Co wam się stało? - zapytał przerażony.

- Nienawidzę Generała i Miasta. - Oczy chłopca błyszcząły. Naciągnął na rękę rękaw munduru i starł jej z twarzy smugę błota.
- Amber usłyszała myśli Generała, ale nie wiem o czym. Generał nie chciała, żeby komuś je zdradziła, więc zabrała ją do krypty.

Crow delikatnie potrząsnął dziewczyną.

- Amber, możesz mówić? - wyszeptał. Bez odpowiedzi.

- Wykonuje tylko rozkazy - stwierdził Bean. - Wyczyścili jej umysł, ale wykradłem ją, nim zdążyli jej nadać nową osobowość. To dlatego z zewnątrz wydaje się pusta. Ale mieliśmy własny plan.

Nagle Amber spojrzała na niego i odniósł wrażenie, że go rozpoznaje.

- Kryję się w sobie - wyszeptała.

Przed zmurszałą kamienną bramą, w cieniu powyginanych przez wiatr sosen, stał znak "Kemping Błyszczące Urwisko".

Na terenie kempingu stało rzędami ze dwadzieścia czy trzydzieści starych przyczep. Niektóre miały małe metalowe kominy. Stare, wyblakłe na deszczu plakaty informowały o różnych koncertach. Między przyczepami suszyły się na sznurkach wystrzępione ręczniki. Deski surfingowe stały oparte o budynek z prysznicami.

Aby otworzyć zniszczone przez mokre powietrze i sól drzwi do przyczepy Crowa, trzeba było kopnąć, a na podłodze chrząścił piasek. Crow położył Amber na łóżku i przykrył ją swoim starym płaszczem.

W piecyku wciąż płonął ogień, więc dorzucił trochę drewna. Szybko się zajęło i po chwili zrobiło się ciepło.

Nic wielkiego, po prostu stara przyczepa kempingowa, ale czuł się tu jak w domu. Amber obserwowała go spod podciągniętego po szyję płaszcza. Jej rude włosy rozsypały się po łóżku jak wachlarz.

- Powinniśmy ją zaprowadzić do Feral - stwierdził. Bean zagroził mu drogę.

- Nie. To niebezpieczne. Feral cię zwodzi. Crow usiadł.

- Opowiedz mi o tym.

Zemsta Prospera

Prosper stał w pokoju Generała. Przez okna widać było całe miasto daleko w dole, a także rozciągający się za nim las, który wydawał się tak gęsty, jak turecki dywan, we wszystkich odcieniach zieleni, brązu i czerwieni.

Na wysokości jego oczu jakiś ptak, może orzeł, unosił się na prądzie gorącego powietrza.

- Pozwól mi się nią zająć - poprosił. - Za to, że mnie tam zostawiła, zasługuje na karę.

- Nie. Mam plan. - Generał zastanowiła się chwilę. - Powiedz inżynierom Harf, że chcę, aby otworzyli czasową bramę nieopodal miasta Sinclair. Muszę mieć możliwość, żeby szybko tam dotrzeć.

- Jedziesz tam teraz?

- Nie, ale mam nadzieję, że niedługo.

Odeszła, lecz Prosper poszedł za nią. Skórę miał wciąż czerwoną i poparzoną po nocy spędzonej w lesie. A wściekłość paliła go równie intensywnie.

- Czemu? Odsunęła go.

- Nie teraz. Kiedy nadejdzie czas, włączę cię do mojego planu. - Oparła się o parapet i wyjrzała na zewnątrz. - Lojalność i wiara, tylko tyle wymagamy. W zamian zapewniamy wspaniałą przyszłość, a nie taką, w której ludzie żyją jak szczury. - Poklepała Prospera po policzku. - Ty jesteś wobec mnie lojalny. Dlatego traktuję cię jak syna.

Uśmiechnął się w duchu.

- Zrobię dla ciebie wszystko, Generał. Powiedz tylko słowo, a pojedę i ją tu przyprowadzę.

- Nie. Zostaw to. Już ci mówiłam.

- Ale z jej bioinżynierią jest coś nie tak. Nie jest już nawet człowiekiem.

Generał westchnęła.

- Z programem "Chimera" wiązaliśmy wielkie nadzieje. Doskonale sprawdził się przy smoczycach koniach.

Działał w laboratorium. Ale na chłopców i dziewczynki zadziałał inaczej. Nawet ci, którzy przetrwali, potem się popsuli.

Prosper zmarszczył brwi.

- Myślałem, że była tylko Feral. Generał spojrzała na kryptę.

- Byli inni. Ale nie wyszło. Dla miasta potrzebujemy ideałów, a nie nieudanych eksperymentów. Nie rozmawiamy o nich.

Kiedy zaczęła odchodzić, Prosper zapytał:

- No dobrze, to nie rozmawiajmy o Feral. Ale czy tego obcego, Crowa, mogę zabić?

Po tamtym poranku Deimos wraz z innymi Cieniami zniknął z Sinclair i wrócił kilka dni później z butelkami ze sklepów bezcłowych i kilkoma drobnymi obrażeniami. Dochodzili do siebie, spędzając dni przy stoliku w Cafe Noir, w oczekiwaniu na następne przyjęcie przy pełni księżyca.

Te przyjęcia stały się w Sinclair tradycją. Odbywały się na plaży przy Błyszczącym Urwisku. Czasami były szalone, podniecające, pełne energii. Innym razem wszyscy leżeli i patrzyli w gwiazdy, czuli się mali i samotni.

Następne miało odbyć się za tydzień. W tym czasie się roz pogodziło, ale zerwał się wiatr. Miasto zaczęło szykować się na zimę i poczucie, że jest na końcu świata, jeszcze się pogłębiło. Czasami ciemna linia, która biegła wzdłuż horyzontu, wyglądała tak, jakby naprawdę za nią nie było już nic, tylko przepaść.

Feral była teraz w mieszkaniu sam na sam z Bonnie. Ta krępująca sytuacja sprawiła, że po raz pierwszy w życiu czuła się onieśmielona.

- Może zrobię ci śniadanie? - pytała Bonnie.

- Nie, dzięki - odpowiadała, patrząc w podłogę. Wtedy Bonnie zaczynała stukać paznokciami w blat, po czym stwierdzała:

- No cóż, chleb i tak spleśniał, a płatków nie mamy.

Jedynym rozwiązaniem było wstać i wyjść, zanim obudziła się Bonnie, a wrócić dopiero po otwarciu Fan Clubu. Po kilku godzinach snu bez snów budziła się z łomoczącym sercem, przekonana, że zaraz dosięgnie ją gniew mistrzów za spóźnienie na trening. Bonnie dała jej ubrania, ale ponieważ Feral nie wiedziała, jak je nosić, po przymierzeniu zostawiała je porzucane po podłodze. Zwykle wkładała w końcu swój mundur, po czym snuła się po ulicach, próbując zapanować nad fascynacją, jaką budzili w niej inni ludzie.

Żyła w zawieszeniu. Nie miała nic do roboty poza chodzeniem po mieście i zdobywaniem zaufania ludzi.

Ogarnęło ją dziwne lenistwo, tak jakby jej ciało, po raz pierwszy od szesnastu lat, rozluźniło się uwolnione od napiętego harmonogramu ćwiczeń.

Czasami rozciągała się na gładkich płaskich skałach nad brzegiem morza, zupełnie jak kot, w osłoniętym od wiatru, słonecznym miejscu. Patrzyła w morze i pozwalała myślom odpocząć. Towarzyszyli jej tylko dwunastoletni wagarowicze. Wyglądało na to, że gimnazjum miało problemy z utrzymywaniem starszych dzieci w ryzach. Widziała, jak snuły się nad morzem, siadywały na murkach przy drodze i wołały do surferów przesiadujących w Cafe Noir albo biegały pomiędzy stolikami, załatwiając dla nich sprawunki.

Na pewno nikt ich nigdy nie bił pałką ani nie kazał im spać na zimnym betonie w karczerze za to, że opuściły lekcje. Tego właśnie się uczyła - rytuałów i zachowań, które dla wszystkich innych były zupełnie oczywiste.

Czasami obserwowała surferów. Deimos był fascynujący. Podziwiali go wszyscy, a on ich olewał. Zwracał

uwagę tylko na nią. Budzenie podziwu, a nie lęku, było dla niej niezwykle i całkiem miłe.

Któregoś wieczoru, kiedy po zachodzie słońca wracała do mieszkania Bonnie, zobaczyła, że Deimos siedzi z Crowem i innymi Cieniami na murku przed plażą. Wieczorne światło podkreślało jego płowe włosy. Znow widziała w nim ten głód. Na pewno był drapieżnikiem, tak jak ona, i ciekawiło ją, jak do tego doszło. Miała ochotę podejść do nich, przyłączyć się, usiąść obok niego, ale nie mogła. Nie przy Crowie. Nie ufała sobie.

Crow powinien spytać Prospera - kiedy ktoś jej się podobał, stawała się niebezpieczna.

Nie próbowała ustalać, gdzie Cienie trzymają zakładników. Mówiła sobie, że jest ostrożna, przyzwyczajają ich do siebie. Jeśli miała odnaleźć Zane'a Belisariusza, musiała być cierpliwa.

I unikać Crowa.

Crow po raz pierwszy od lat czuł wewnętrzny spokój.

Miał pracę, z której nie wyleciał po pierwszej przerwie na lunch ani nawet po pierwszym dniu. No dobrze, zbierał tylko naczynia, ale Bonnie sprawiała, że miał ochotę machać ogonem i chodzić przy nodze za każdym razem, gdy ją widział, a poza tym bardzo mu się podobało w klubie.

Za dnia chodził po mieście, załatwiał dla Bonnie różne sprawy, z rękami w kieszeniach nowych džinsów i ramionami skulonymi od zimna. Czasami patrzył w morze i rozmyślał o tym, jak niewiele brakowało, by stracił w krypcie życie. Spotykał się też z Kimmy i próbował przekonać siebie, że się w niej zakochuje.

Zazwyczaj podczas lunchu przyłączał się do Cieni siedzących przed Cafe Noir, słuchał Deimosa opowiadającego o chwale, jaka im przypadnie, i słuszności ich walki, zupełnie jakby byli rycerzami króla Artura i zasiadali przy okrągłym stole w Camelocie.

Widział samochody, ale nie chciał ich kraść.

Ale najbardziej starał się unikać Feral, naprawdę, a mimo to wpadał na nią prawie każdego dnia. To sprawiło, że zaczął wierzyć w słowa Amber o tym, że ich drogi się krzyżują. Kiedy ją widział, szedł w inną stronę albo czekał, aż ona skręci, ale los i tak za każdym razem znajdował sposób, by ich do siebie zbliżyć.

Crow i Feral

Na dzień przed przyjęciem z okazji pełni, Feral szła wzdłuż wybrzeża. Wiatr był tak silny, że mógł

stracić ją do morza. Doszła aż do przedszkola, które stało naprzeciwko plaży, i oparła się o barierkę, obserwując, jak

miejscowe piegowate dzieci bawią się na podwórku. Jakiś czas później usłyszała, że ktoś ją woła, a po chwili u jej boku pojawiła się Kimmy.

Feral widziała ją w mieszkaniu kilka razy. Wyglądało na to, że spędzała cały czas w towarzystwie Deimosa albo prowadząc się pod rękę z Crowem. Tego dnia, jak zawsze, była w bluzie z kapturem, krótkiej spódnicy,

którą podwiewał jej wiatr, i bez rajstop. Włosy zaplotła w dwa warkoczki. Trzęsąc się nieustannie, otworzyła puszkę coli i zagryzła snickersem.

- Umieram z głodu - powiedziała z westchnieniem. -To moje śniadanie.

Feral patrzyła przerażona, ale bez zdziwienia.

- Ale to śmieci.

W Mieście mieli dobrze zrównoważoną dietę. Kimmy oblizła ubrudzone czekoladą usta.

- Wiem. Chcesz jeden? - Wyciągnęła drugi batonik. Feral się zawahała. W mieszkaniu Bonnie nigdy nie było nic do jedzenia albo z odpowiednią datą przydatności do spożycia, więc była głodna. I tylko dlatego przyjęła batonik i ugryzła. Był pyszny, ale nie zamierzała tego mówić Kimmy. Po trzech kęsach batonika już nie było.

- Okropny - stwierdziła, gdy skończyła żuć. Kimmy wybuchnęła śmiechem.

- Jesteś taka zabawna!

I wtedy Feral poczuła, jak w jej sercu topi się drobny okruch lodu. Nie zdawała sobie sprawy, jak bardzo czuła się samotna i jak bardzo brakowało jej przyjaźni Amber. I oto pojawiła się Kimmy i była miła, zamiast jej unikać albo ją wyzywać. Nie chciała się do tego przyznać, ale to było naprawdę przyjemne.

Stały tak obok siebie przez kilka minut, dzieląc się colą, przesuwane z miejsca na miejsce przez rodziców odprowadzających do przedszkola swoje pociechy. A kiedy skończyły, skupiły się na obserwowaniu dzieci za płotem. Niektóre maluchy nie chciały rozstać się ze swoimi mamami, inne na dźwięk dzwonka pewnie wbiegały do budynku.

- Pomyśl tylko - odezwała się Kimmy. - Gdyby cię nie odebrano Bonnie, też by cię tak odprowadzała do szkoły i całowała na pożegnanie.

- A zamiast tego jestem wyszkolonym zabójcą, to masz na myśli?

Kimmy zrobiła smutną minę.

- Przepraszam, nie chciałam cię zdenerwować. -Wzięła Feral pod ramię. - Oglądałam program o koniach z cyrku. Takich, które robią różne sztuczki. I tam mówili, że tym koniom nie pozwalają galopować po pastwisku, bo to zepsuło ich chód, więc całe życie spędzają w stajniach albo na ringu.

- I uważasz, że tak samo jest z dziećmi Atlantydy? Kimmy skinęła głową. I Feral pomyślała, że ona ma rację. Rzeczywiście codziennie maszerowali na lekcje.

Nigdy nie biegali ot tak, jak te dzieci. To ją zaszokowało, bo to były refleksje zdrajcy. Nie może tak myśleć. To dlatego, że

spędza czas z Kimmy, a Kimmy każdego mogła zdeprawować. Więc odeszła bez słowa, ale jej nowa przyjaciółka nie zamierzała tak łatwo się poddać. Dogoniła ją i zmusiła, by poszły na główną ulicę miasta.

Zdezorientowana, trochę zadowolona, a trochę nieufna, pozwoliła Kimmy się prowadzić. Tutejsze sklepy były albo bardzo tanie, albo bardzo drogie. Sklepy z odzieżą na wagę albo te należące do organizacji charytatywnych stały obok drogich butików, delikatesów i sklepów z markowym sprzętem do surfowania.

Na jednej z wystaw zobaczyły manekiny w futrach, luźnych dżinsach i krótkich plisowanych spódniczkach.

Kimmy zaciągnęła ją do środka.

- Musisz się pozbyć tego munduru.

Feral znalazła się wśród wieszaków z ubraniami i ogłuszającej muzyki. Po raz pierwszy w życiu była w sklepie z ciuchami. Prawie zawsze chodziła w mundurze.

- Ale ja nie mam pieniędzy.

- Ja mam. Bonnie mi odda. - Kimmy przejrzała kilka wieszaków i zaprezentowała jej jeden. - Co o tym myślisz?

- Nie. - I po chwili Feral sama zaczęła przeglądać i wybierać ubrania.

Przymierzyła dżinsy i podkoszulek. To nic nie znaczyło. To wcale nie znaczyło, że się sprzedała. To tylko kamuflaż. Musiała wtopić się w tłum. Jeśli zacznie się ubierać jak oni, to będą jej bardziej ufać.

Przejrzała się w lustrze.

- Wezmę to.

Kimmy popatrzyła na nią poważnie, przekrzywiając głowę.

- Pasuje ci.

A co więcej, pomoże jej w zrealizowaniu zadania. Spojrzała na siebie jeszcze raz i się uśmiechnęła.

Nieważne, rzeczywiście było jej w tym dobrze.

Potem odwiedziły jeszcze kilka innych sklepów, oglądając i przymierzając ubrania, chociaż nie miały już pieniędzy. Feral uświadomiła sobie, że dobrze się bawi, co w pierwszej chwili ją przeraziło. Potem jednak stwierdziła, że można to uznać za badanie stylu życia ludzi z zewnętrznego świata. Rozluźniła się i kontynuowała wycieczkę z Kimmy. Zaatakowały ją zapachy - surowej krwi z małego sklepu rzeźnickiego, octu z budki z rybami. Na wszystko patrzyła z ciekawością i musiała sobie co jakiś czas powtarzać, że nic tutaj nie jest tak dobre, jak butiki na Rue Severin czy Friedrich Strasse w Mieście.

Spędziły pół godziny w sklepie z grami komputerowymi, wypróbując nowe gry na xboxa.

- Jesteś niesamowita - powiedziała jej Kimmy po tym, jak Feral kilka razy pobiła rekord. - Taka szybka!

Czy to przez tę chimerę?

- Tak.

Kimmy grała dalej. Słowo chimera nic dla niej nie znaczyło. Nie zauważała, że Feral jest inna niż wszyscy.

Jakże się myliła.

Ale zbliżała się pora lunchu, więc Kimmy kupiła im dwie kawy na wynos i usiadły naprzeciwko kościoła na końcu głównej ulicy. Kimmy siedziała ze skrzyżowanymi nogami na murku i rozglądała się za chłopcami.

Feral usiadła obok, łokcie oparła na kolanach, a w rękę trzymała kawę. Z jakiegoś powodu zadowolenie, które wypełniało ją przez cały ranek, zaczęło ją opuszczać. Nie wiedziała czemu, ale nagle zaczęło jej brakować Amber. Amber lepiej by pasowała w tym świecie niż ona. Wszyscy by ją kochali.

Po opuszczeniu Miasta nie pomyślała o niej ani razu. Próbowała zatrzeć w pamięci wszystkie wspomnienia po tej strasznej ucieczce przez las. Więc czemu nagle w jej umyśle pojawił się tak wyraźny obraz przyjaciółki?

Kimmy dała jej kuksańca.

- Zobacz, kogo tu mamy.

Otrząsnęła się i wróciła do rzeczywistości. W ich stronę szedł Crow. Wracał ze sklepu i wymachiwał torbą pełną cytryn.

- Boże, on jest taki słodki. - Kimmy spojrzała na niego spod rzęs.

Feral przyjrzała się jej uważnie.

- Lubisz Crowa?

- Tak. Jest niesamowity.

Feral poczuła ukłucie zazdrości.

- Nie jest taki przystojny jak Deimos. Ani taki silny i charyzmatyczny.

Kimmy zamachała do niego.

- Rozśmiesza mnie. Znow to ukłucie.

- Zarabia, zbierając szklanki, nie ma ambicji. Kimmy pogroziła jej palcem.

- Jest dobry i zabawny, a to się liczy. I chyba mu się podobam.

Feral patrzyła, jak do nich podchodził, po czym powiedziała przez ściśnięte gardło: - Tak, myślę, że byście do siebie pasowali. Masz rację, jest lepszy, niż się wydaje.

I wtedy znow w jej umyśle pojawił się obraz Amber. Skoczyła na równe nogi i zaczęła się rozglądać.

Powąchała powietrze. Coś czuła, jakiś słaby zapach, ale było już za późno. Podszedł do nich Crow i Kimmy rzuciła mu się na szyję.

- Uściski.

Crow popatrzył na nią nad ramieniem Kimmy. Coś było na rzeczy. Wyglądał na zaniepokojonego, coś ukrywał. Znow powąchała powietrze. Nie miała pewności, zapach był stary, ale pachniał Amber.

Kimmy obróciła się, trzymając Crowa za rękę.

- Chodźcie, pójdziemy na kawę. Uśmiechnęła się promiennie do chłopaka.

- Feral wreszcie jest towarzyska! I zaczęła go ciągnąć nad morze.

- Czekał - rzuciła Feral. - Jest tu Amber?

Na chwilę zapadła cisza. Feral przyglądała się uważnie Crowowi.

- Nie - odpowiedział niewinnie.

W południe Cienie i surferzy zawsze szli do Cafe Noir. Nawet w najzimniejsze dni wszystkie stoliki na zewnątrz były zajęte, jakby pływanie w północnych morzach zamieniło ich w stworzenia odporne na zimno.

Kryjąc się przed zacinającym deszczem, skuleni pod daszkiem, siedzieli Deimos i sześć czy siedem innych osób. Śmiali się i żartowali. W Nowej Atlantydzie nie tolerowano by surfujących chłopaków i dziewczyn, którzy śmiali się w kafejkach. Ale Feral nie mogła powstrzymać myśli, że przecież nie robili nic złego.

Kiedy Deimos zobaczył, że się do nich zbliżają, zmierzył Feral wzrokiem i uniósł kciuki, pokazując, że podoba mu się jej nowy strój. Gdy zamówili małe filiżanki espresso, puścił do niej oko i poklepał się po kolanie.

- Siadaj. - Uśmiechnął się szelmowsko. - Krzesła są mokre, a moje kolano suche.

Zignorowała go i usiadła na mokrym krześle. Deimos udał zawiedzionego.

- No to chociaż z nami wypij. - Uniósł filiżankę. - Na pohybel Miastu!

Do toastu przyłączyły się inne Cienie. Kimmy zaczęła się śmiać i usiadła Crowowi na kolanach. Crow uniósł filiżankę równie wysoko jak inni i wszyscy spełnili toast. Feral swoją też uniosła, ale nie wypija.

Deimos tego nie zauważył, lecz Crow owszem. Na szczęście Kimmy, która szybko się nudziła, poderwała się szybko i do niej podeszła.

- Chodź pograć na flipperach. Jesteś taka szybka, że wygramy.

Zgodziła się, zadowolona, że może odejść. Kiedy przechodziła obok Deimosa, złapał ją za rękę i znów próbował posadzić na kolanie.

- Za dobrze dziś wyglądasz. Zostań z chłopakami. Może i było warto, choćby po to, by Crow przestał

się w nią wpatrywać, ale coś ją powstrzymało. Oczywiście, że pociągał ją Deimos i jego siła, ale jej wilczy zmysł ostrzegał ją przed nim. Może źle pachniał. A może to dlatego, że był drapieżcą, zbyt podobnym do niej.

Odepchnęła go i poszła za Kimmy.

Crow dopił espresso, poczuł, jak w żyłach krąży mu kofeina, i zaczął słuchać innych.

- To prawda - ktoś się odezwał. - Żebyście widzieli, jak ona gra. Ma niesamowity refleks.

- To ten program "Chimera".

- Tak, słyszałem o nim. Chcą stworzyć idealnych żołnierzy na ziemi, niebie i w morzu.

- Tyle że większość zabili - wycedził Deimos, wciąż przez okno kafejki przyglądając się Feral. - Co prawda ona mówi, że zmienili metodę. Będzie trzeba wypróbować jej siłę.

- Skąd tyle wiesz o Mieście? - zapytał od niechcienia Crow.

Deimos odchylił się na krzesło i splótł ręce za głową.

- Uciekinierzy chętnie o nim opowiadają.

- A zakładnicy? Na pewno wiele się od nich dowiadujecie.

Deimos postawił krzesło z powrotem na czterech nogach. Nachylił się do przodu i nagle jego język ciała stał się agresywny.

- Musisz się jednego nauczyć: działamy w tajemnicy, trochę jak Bóg. Jasne?

Crow udał, że nie rozumiał.

- To znaczy? - zapytał miło. Deimos poklepał go po ramieniu.

- Najważniejsze to znać podstawy. A co do zakładników, to nie musi cię o to boleć głowa.

Crow wzruszył ramionami.

- Jasne. Zostałem skarcony. Od tej pory moje usta będą milczeć.

Deimos przypatrzył mu się uważnie.

- A jak już o tajemnicach mowa, to ty też jesteś bardzo tajemniczy. Krąży wiele różnych opowieści o tym, skąd się wzięłaś i co robiłaś, że porwali cię prefekci.

Crow wypił kolejne espresso.

- Robiłem głupoty. Rzeczy, które krzywdziły bardziej mnie niż innych. Zrezygnowałem z nich.

Deimos skinął głową.

- Cienie dały ci cel?

- Tak.

Uśmiech, którym obdarzył go Deimos, był jak słońce na mokrej plaży, oślepiający i cudowny. Trudno się dziwić, że inni za nim szli. Inspirował. Był urodzonym liderem.

-To jaki jest plan? Kiedy znów atakujecie Miasto? -zainteresował się Crow.

- Och, to ciągły proces. Wykorzystujemy każdą okazję.

- *Carpe diem* - odezwał się jeden z Cieni, szykując się do odejścia.

Crow popatrzył na niego skonsternowany.

- Co?

Cień spojrział na niego rozbawiony, po czym uśmiechnął się do niego z wyższością. To były spojrzenie i uśmiech kogoś, kto tak dla żartu i w ogóle bez obrazy za chwilę cię zawstydzi.

- To po łacinie. Motto mojej starej szkoły. *Carpe diem* znaczy "chwytaj dzień". - Przyjrzał się Crowowi. -

Jestem pewien, że już cię kiedyś widziałem. Nie byłeś w Stowe?

- Mieście?

Znów to spojrzenie, tym razem w stronę Deimosa, tak jakby świetnie bawili się jego kosztem.

- Akurat chodziło mi o szkołę.

Crow odchylił się na krześle i powiedział obojętnie: - Liceum państwowe w Fullhurst. Nie żebym za dużo do niego chodził.

Spojrzał w oczy Cieniowi. Jeszcze ci się odwdzięczę, ty paniczyku, pomyślał.

Deimos przyglądał mu się uważnie.

- Nie znam tego akcentu. Gdzie masz dom? Crow uniósł rękę.

- Tam, gdzie jestem. A teraz w Sinclair. - Uśmiechnął się przyjaźnie do Deimosa. - Twojego też nie rozpoznaję. Gdzieś z południa?

Masz akcent bogatego chłopca, pomyślał Crow, tak jak wszystkie inne Cienie, które dotąd spotkałem.

Widzę, jak na mnie patrzysz, Na razie jestem nowinką, która odpowiada twoim celom, ale co będzie, jak przestanę ci pasować?

- Wiesz co, mamy w Londynie zadanie - odezwał się Deimos, odprawiając dłonią drugiego chłopaka i nachylając się do Crowa porozumiewawczo. - Jest tam firma, która na pewno ma jakiś związek z Nową Atlantydą. Zamierzamy ich infiltrować i pokazać im, co Cienie o tym myślą. Wchodzisz w to?

Crow zmarszczył brwi.

-

A jaką metodą zamierzacie im to pokazać? Deimos wykonał rękami drobny, wytworny gest.

- Bum!

Crow roześmiał się, ukrywając swoje prawdziwe odczucia.

- Jesteś świetnym gościem - stwierdził. - Bardzo mi się podoba bycie w Cieniach, ale zanim włączę się do akcji, muszę sobie wszystko poukładać w głowie. Ta krypta naprawdę mi namieszała.

Deimos skinął kilka razy głową, rozważając jego słowa.

- Podobasz mi się - powiedział i wstał. - Na razie to zostawimy. Będziesz miał więcej czasu, żeby dojść do siebie. Poziom szósty nie jest przyjemnym miejscem. - Uniósł filiżankę. - Może następnym razem.

- Zgoda - przytaknął Crow i odstawił pustą filiżankę, zastanawiając się, kiedy mógł wspomnieć, dokąd zabrali go z krypty. A jeśli był pierwszym człowiekiem z zewnątrz, który uciekł, to skąd wiedzieli, że ofiary zabiera się na poziom szósty?

- O, to dopiero piękny widok - zmienił temat Deimos.

Crow podążył za jego wzrokiem i też zagapił się przez okno na Feral. Grała na flipperze z bardzo skupioną i miną.

- Już niedługo będzie moja. - Deimos się uśmiechnął. - Widzę to w jej oczach. Zaczekaj do pełni, a zobaczysz, że będziemy razem, przysięgam. - A potem położył Crowowi rękę na ramieniu i uśmiechnął się drwiąco. - Chyba nie wchodzę ci w drogę, co?

Crow pokręcił głową.

- A gdyby nawet, robiłoby ci to jakąś różnicę?

- Nie.

Uśmiechnął się z trudem, po czym pomachał reszcie.

- Lecę. Niektórzy muszą pracować.

Dobrze, że był już spóźniony, pomyślał, kierując się na plażę. Czuł ciężar w piersi, w żyłach zbierał mu się gniew i nie miał nic wspólnego z wypitym espresso. Wciąż widział siebie, jak zadaje Deimosowi cios w ten idealny podbródek. Zaczął biec. Bonnie będzie na niego czekać, a tędy prowadził skrót. Na plaży nikogo nie zauważył. Na razie miał dość Cieni. Chciał odrobiny samotności.

A tam, nad morzem, wiatr był tak silny, że aż zapierał mu dech w piersiach. Gdy dogoniła go Feral, z trudem łapał powietrze. Poza tym pojawiła się niespodziewanie i wyglądała tak pięknie, że nie był w stanie odetchnąć.

Staął i odwrócił się do niej.

- Co? - spytał. - Nie powinnaś przypadkiem zapewnić towarzystwa Deimosowi?

Zmarszczyła brwi.

- Nie zmieniaj tematu. Wiem, że coś się dzieje. Co z Amber?

- Nic. - Miał ochotę skrzyżować za plecami palce, jakby wciąż był dzieckiem. - Zapytaj Kimmy, czy...

Przewróciła oczami.

- Po co? I tak powie wszystko, byle tylko cię kryć - odpowiedziała kwaśno. - Jesteście śliczną parą.

Chwila, pomyślał. Co tu się dzieje? Ale nie mógł się opanować. Jego złość zamieniła się we wściekłość.

- Zupełnie jak ty i Deimos - odciął się. - Nie myślałem, że jest w twoim typie.

Skrzywiła się.

- Jest dokładnie w moim typie. Jesteśmy sobie równi.

I wtedy nie wytrzymał i zaczął krzyczeć, a wiatr porywał jego słowa, więc musiał wrzeszczeć jeszcze głośniej.

- Odwal się! Łazisz po mieście i patrzysz na wszystkich, jakby byli gorsi od ciebie! Może faktycznie pasujecie do siebie z Deimosem! Tylko się z tym tak przede mną nie obnoś!

Podeszła do niego. Była równie wściekła jak on. Poczuł, jak wsuwa mu rękę we włosy, łapie je i przyciąga go do siebie. Jego wściekłość zamieniła się w namiętność.

Boże, co się z nim działo? Zamienił się w masochistę?

- Aj! - Ich twarze były centymetry od siebie. - Puść.

Zignorowała go.

- Igrasz z niebezpieczeństwem, nawet gdy ze mną i rozmawiasz.

-No i co z tego, robię to całe życie. - Znów zaczął mówić i nie potrafił nad sobą zapanować. - Powinnaś być mi wdzięczna, że nie zdradziłem im twoich tajemnic.

-Nic o mnie nie wiesz - wyszeptała.

Chciał zamilknąć, wzruszyć ramionami i powiedzieć, że żartował, ale nie mógł.

- Wiem, że nie tylko masz geny wilka. - Był wkurzony. Obserwowała go uważnie, po czym jej wygłodniały wzrok zatrzymał się na jego szyi. Zasłonił ją ręką. -Wiem, że zmieniasz kształt.

Puściła go. Odsunęła się od niego i objęła ramionami, jakby cierpiała.

- Mylisz się.

Przez chwilę panowała cisza, a potem powiedział po prostu: - Nie. Widziałem. Jesteś wilkołakiem.

To słowo wisiało w powietrzu. A potem zaczęła biec, w stronę pokrytych muszlami skał nad morzem.

Ukucnęła za murkiem, wśród resztek sieci rybackich i wyrzuconego przez przyływ drzewa, próbując zapanować nad atakiem paniki, która zapierała jej dech.

Poszedł za nią i ukląkł obok. Czekał. Była blada jak ściana, a jej skórę pokryły krople morskiej wody.

- Przepraszam. Przepraszam. Nie chciałem cię zdenerwować!

- Nigdy więcej nie wypowiadaj tego słowa - rozkazała, kiedy udało jej się wreszcie odzyskać oddech.

- Dobrze.

- Jestem chimera. - Popatrzyła na niego jak ranne zwierzę. - Jasne? I tylko tyle muszą o mnie wiedzieć.

Obliział wargi.

- Dobrze.

Wstała, wciąż blada, ręce jej się trzęsły. I przez chwilę nie wyglądała jak kadet, tylko jak przestraszona, zagubiona dziewczynka.

- Nie powiesz Deimosowi?

- Ołać go. - Tym razem to on złapał ją za włosy, przyciągnął do siebie i pocałował.

Dwóch chłopaków, znudzonych spełnianiem życzeń surferów, postanowiło się zabawić przrzucaniem kamieni przez murek. Nagle usłyszeli jakieś głosy i okrzyk. Podskoczyli na mur i spojrzeli na drugą stronę.

Zobaczyli, jak dwójka nowo przybyłych namiętnie się obściskuje.

- Idźcie z tym do sypialni! - krzyknął bezczelnie jeden.

Nagle dziewczyna wydała okrzyk bólu i się skurczyła. Jej twarz zmieniła się dziwnie. Zupełnie jakby stała się ostrzejsza, oczy zrobiły się bardziej skośne, a skórę pokryło coś ledwo widocznego, co falowało na wietrze.

Chłopak wciąż opierał się o ścianę, z ręką na szyi.

A potem dziewczyna wstała i pchnęła go lekko.

- Widzisz? Widzisz, co się dzieje? To nie może się więcej wydarzyć - powiedziała i odeszła.

Bójka

Feral planowała wrócić do Fan Clubu. Zamiast tego znalazła się w centrum miasta. Przeszła się główną ulicą, drząc, nawiedzana przez wspomnienie pocałunku Crowa. Cały czas miała wrażenie, że na nogach ma sierść, jakby nie kontrolowała własnego ciała i umysłu. Przetarła wargi dłonią, by pozbyć się z nich zapachu jego skóry. I zapomnieć o tym, że prawie go ugryzła.

Przechodząc obok małego marketu, przypomniała sobie, że Bonnie prosiła ją, by kupiła bochenek chleba.

Miała zamiar zapomnieć, tak jak celowo zapominała o wszystkich prośbach Bonnie, lecz tym razem weszła do środka, wpadając na ludzi, ignorując ich skargi. Przy stanowisku z pieczywem usłyszała rozmowę dwóch mieszkańców miasta o imprezie z okazji pełni.

Do diabła z imprezami, muszę zacząć szukać zakładników, pomyślała. Muszę wyjechać z tego miasta, zanim zrobię komuś krzywdę, zanim zrobię krzywdę Crowowi. To miał być ostatni dzień szwendania się, od jutra zacznie rozpytywać ludzi.

Złapała pierwszy lepszy bochenek chleba i wybiegła z marketu na High Street. Dalej nie dotarła. Poczula, jak ktoś łapie ją za ramię.

- Przepraszam panią...

To był ochroniarz ze sklepu. Podążyła za jego wzrokiem i zauważyła, że wyszła, nie zapłaciwszy za chleb trzymany w ręku.

-

Przepraszam. - Sięgnęła do kieszeni. Ochroniarz pokręcił głową. Był potężnym mężczyzną, niezbyt wysokim, ale umięśnionym.

- Obawiam się, że to tak nie działa. Zapraszam panią z powrotem do sklepu.

Feral wyszarpnęła ramię.

- To było niechcący. Mam sporo na głowie.

- Wszyscy tak mówią, moja droga - powiedział, próbując wepchnąć ją przez rozsuwane drzwi.

Chciała na niego nakrzyczeć, to wszystko, ostrzec go, by nie był chamski, by jednak czasem wierzył

ludziom. Ale zdała sobie sprawę, że z jakiegoś powodu jej dłoń sama sięga ku wrażliwemu miejscu na jego szyi i ścisła. Ochroniarz krzyknął i zwinął się z bólu.

Feral kucnęła przy nim.

- Przepraszam, ale nie stało się nic poważnego. Ja po prostu muszę już iść, rozumie pan?

- Dziwka! - wysyczał przez zaciśnięte zęby i rzucił się na nią.

Zablokowała jego cios dłonią, wywołując kolejny okrzyk bólu. W ciągu tych kilku sekund wokół nich zgro---

madził się mały tłumek, mężczyźni z pobliskiego pubu, kobiety z siatkami w rękach, a po chwili ze sklepu wybiegł kolejny pracownik ochrony.

- Dość tego! - krzyknął. - Wezwałem już policję. Nie ruszaj się.

- Uderzyła go! - zawołał któryś z gapiów. - Chyba złamała mu rękę!

Durni, głupi ludzie, pomyślała Feral ze złością, odwracając się na pięcie. Musiała się stąd wydostać. Drugi ochroniarz zabiegł jej drogę, lecz prawie nie zwróciła na niego uwagi, odpychając go z drogi.

- Cholerni surferzy. Mam ich dosyć! - krzyknął jakiś mężczyzna z tłumu, wykonując ruch, jakby zamierzał

ją zatrzymać. Feral i jego powaliła na ziemię. Potem, nie rozglądając się, wyszła na ulicę, byle z dala od tłumu, z dala od ochroniarzy, z dala od policji, która zaalarmowana przez krzyki właśnie dotarła na miejsce bójki, lecz wprost pod koła volkswagena golf, jadącego główną ulicą. Wpadł na nią z pełną prędkością.

Policjanci widzieli ten wypadek. Widzieli, jak dziewczyna wylatuje w powietrze, wyrzucona siłą kolizji, przetacza się po masce, uderza w przednią szybę, przyjmując impet na głowę, kark i barki.

"Nie miała prawa przeżyć", opowiadali później przełożonemu. Szyba była potłuczona, a dach powgniatany, jakby coś znacznie cięższego, potężniejszego niż człowiek, weń uderzyło. Lecz tego, co zdarzyło się potem, nawet nie próbowali wyjaśniać.

Jeden z nich wezwał pogotowie.

- Mamy poważny wypadek na High Street - zameldował. - Możliwa ofiara śmiertelna. Trzymajcie w pogotowiu karetkę powietrzną.

Drugi policjant pobiegł ratować Feral, gdy leżała bez ruchu na ulicy. Chwilę wcześniej od strony plaży nadszedł chłopak. Widząc, co się wydarzyło, podbiegł, rozpychając tłum. Teraz pochylał się nad nią, kazał

tłumowi się cofnąć, chronił ją, oczy mu pałały.

- Cofnij się, synu, dopuść do niej trochę powietrza. -Policjant spojrział na swojego kolegę, sprawdzając dłonią puls na szyi dziewczyny. - Nadal żyje, ale na pewno ma liczne złamania, być może kręgosłupa, i urazy głowy.

Dziewczyna poruszyła się i złapała go za rękę.

- O Chryste! Ona odzyskuje przytomność. - Drugi policjant podbiegł do nich i wspólnymi siłami próbowali powstrzymać ją, by nie wstawała, lecz była dla nich zbyt silna i udało jej się podnieść. Chłopak próbował do niej podejść, ale go zatrzymali.

- Już dobrze, proszę pani, proszę się położyć, karetka jest w drodze - powiedział jeden.

- Może pani mieć uraz głowy.

Zwróciła ku niemu swoje dziwne złociste oczy, a on poczuł skurcz strachu w żołądku. Ona nie powinna przeżyć tego wypadku, a co dopiero wstać o własnych siłach.

- Nic mi nie jest. Nie potrzebuję karetki.

- Potrzebujemy tu pomocy! - krzyczał drugi. Tłum robił się coraz większy, młodzi przechodnie nagrywali zajście komórkami. - Proszę to odłożyć! - krzyknął znów i zobaczył, jak Feral wyrывa się jego koledze. Rzucił

się mu na pomoc.

Mężczyźni z tłumu ruszyli na odsiecz, lecz na drodze stanął im chłopak. Szarpnął ich i kazał zostawić ją w spokoju. Syrena nadjeżdżającej karetki była coraz głośniejsza, a dziewczyna zaczęła się wyrывać jeszcze bardziej.

- Muszę iść - oznajmiła, jakby to była naj naturalniej-sza rzecz pod słońcem Policjanci złapali ją za ręce i nogi, podczas gdy

przez tłum przepychali się kolejni funkcjonariusze oraz ratownik medyczny. Dopiero wszyscy razem byli w stanie ją obezwładnić i zakuć w kajdanki. Ekipa karetki odmówiła przyjęcia jej bez policyjnej eskorty.

Później, kiedy w szpitalu stwierdzono, że nic jej nie jest, przyszli policjanci, zabrali ją na posterunek i zamknęli w celi. To tu znalazła ją Bonnie, gdy przyszła wpłacić kaucję.

- O co w tym wszystkim chodzi, do diabła? - zapytała cicho, gdy policjanci przedstawili zarzuty.

- Uczę się, jak żyć wśród ludzi - powiedziała Feral. - Jeśli ci się to nie podoba, nie musisz tu być. Zapomnij o mnie.

Bonnie nie odpowiedziała, podpisała kilka dokumentów i cierpliwie wysłuchała tyrady sierżanta. Potem wyprowadziła Feral na zewnątrz i odwiozła do domu.

Feral nie odezwała się ani słowem, weszła po kręconych schodach i rzuciła się na łóżko, w którym spała jak zabita do następnego dnia, dnia pełni. Na plażach już szykowano ogniska.

Generał Belisarius klęka

Gdy nad Miastem wstawał nowy dzień, Generał Belisarius padła na kolana przed oknem wieży. W geście modlitwy oparła dłonie o kamienny parapet.

Między palcami ścisnęła zdjęcie swojego syna. Wyglądał na nim na bardzo chorego, niezwykle kruchego.

Zrobiono je po ostatniej operacji, mającej na celu poprawienie tego, co wcześniej poszło nie tak. Wszyscy liczyli, że wyzdrowieje, że stanie się lepszy, wspaniały. Pierwszy w swoim rodzaju. Lecz gdy Zane się ocknął, nadal twierdził, że nie może poruszać kończynami. Kiedy próbowali namówić go do chodzenia po najmięk---

szych powierzchniach, mdlał z bólu. Nawet leżenie na łóżku sprawiało mu ból, więc dostarczono mu łóżko wodne, które przyniosło mu ulgę.

Rzuciła ostatni raz okiem na zdjęcie i odwróciła je od siebie, jakby nie mogła na nie dłużej patrzeć.

Wyjrzała na Miasto, jasne, lśniąca w porannym świetle, i poczuła falę spokoju, zalewającą jej ciało. Czytała kiedyś, że japońscy turyści, którzy całe życie oszczędzali, by pojechać do Paryża, dostawali histerii na jego widok. Rozumiała ich zachowanie, bo sama czuła coś podobnego, patrząc na Miasto. Mieli rację, kryjąc je przed resztą świata. Było jej całym życiem.

Śniadanie

Feral zasnęła. Gdy się obudziła, słońce przesączające się przez żaluzje pokrywało bladymi pasami woskowane deski podłogi. Jakiś cień poruszył się i w obronnym geście wyciągnęła dłoń, zasłaniając się jak przed uderze---

niem pałki.

- Ostrożnie. Nie uderz mnie.

Feral zmrużyła zaspane oczy, usiłując dojrzeć pochylającą się nad nią twarz. To nie był mistrz. To była Bonnie. Przyniosła jej kawę. Feral usiadła w łóżku. Matka podała jej kubek. Świeżo parzona. Pełna moc.

Pomoże ci stanąć na nogi.

- W Mieście nie w kofeinie szukamy energii - odpowiedziała niewdzięcznie, ale przyjęła kubek. Nie podnosiła wzroku, licząc

na to, że Bonnie zaraz odejdzie.

Tak się jednak nie stało, bez względu na to, jak bardzo pragnęła tego Feral. Jej matka uparcie tkwiła w niewielkiej, ubogiej sypialni z łóżkiem i wieszakiem na ubrania. Obrazu dopełniał rozciągający się za oknem zamglony las.

Bonnie miała na sobie nieskazitelne spodnie od dresu i obcisły top, podkreślający płaski, opalony brzuch. W

końcu Feral się odezwała:

- Nie będę rozmawiać o tym, co się stało wczoraj, jeśli o to ci chodzi.

Poruszyła ramionami i szyją, krzywiąc się lekko z bólu. Jednak poza nieznacznym zeszywnieniem, nie miała żadnego śladu siniaków czy zadrapań, jakie powinny się pojawić po tak poważnym wypadku samochodowym.

Bonnie tkwiła przy szybie, jakby jej uwagę skupiało jakieś niesamowite widowisko rozgrywające się za oknem.

- Nie o to chodzi. Żadna ze mnie kucharka, ale pomyślałam, że mogłabym przygotować ci śniadanie.

Odwróciła się od okna i oparła o parapet. Skrzyżowane w obronnym geście ramiona osłaniały jej ciało. Jest zdenerwowana, pomyślała Feral, ale nie mną ani moją siłą, tylko tym, że mogłabym nie przyjąć od niej jedzenia. Mimowolnie zaakceptowała propozycję.

- W porządku, nie przejmuj się. Bonnie zignorowała jej słowa.

- Wiem, wiem. Nigdy nie byłam najlepiej zorganizowana, ale tym razem mam coś więcej niż płatki.

Ugotuję coś dla nas obu. Bekon, jajka, kielbaski. Pełny zestaw. Lubisz tak?

Feral wstała z łóżka. Miała na sobie tylko szorty i koszulkę, więc włożyła nowe ciuchy.

- Niby skąd mam wiedzieć? Codziennie jem to samo. Brązowy ryż z warzywami - wymknęło jej się, chociaż nie miała ochoty zdradzać aż tyle.

- No jasne. Oczywiście. - Bonnie ją obserwowała. - To nawet lepiej, że nigdy tego nie jadłaś, przynajmniej się nie zorientujesz, jeśli wyjdzie nie tak, jak trzeba.

Feral zerknęła w lustro i przeczesła dłonią włosy.

- Mówiłam, żebyś się nie przejmowała.

Bonnie ruszyła w stronę drzwi.

- I tak wszystko już kupione, więc nie ma odwrotu.

- Jeśli myślisz, że dzięki temu nie wyjdę i nie wpakuję się znów w tarapaty, możesz o tym zapomnieć! -

zawołała nagle, ale Bonnie już wyszła.

Feral, zaciskając pięści, usiadła na krawędzi łóżka. Nie miała wyboru. Musiała zjeść śniadanie z matką.

Na dole w kominku buzował ogień, ale nie mógł ogrzać wielkiego i wysokiego pomieszczenia. Feral podeszła do ognia i grzejąc dłonie, zapatrzyła się na porośnięty koralem miecz, wiszący nad kominkiem. Deimos przyniósł go tutaj, gdy znalazł go, nurkując w niebezpiecznych wodach. Miecz musiał przeleżeć na morskim dnie setki lat.

Za każdym razem, gdy na niego patrzyła, odnosiła wrażenie, że powinien coś znaczyć, ale nie potrafiła przypomnieć sobie co. Teraz też nie mogła się skoncentrować. Patrzyła, jak Bonnie wbija jajka na zupełnie nowiutką patelnię. Ta kobieta nawet tego nie potrafiła zrobić dobrze: uderzała jajkiem o krawędź patelni zbyt mocno, rozwalając skorupkę i żółtka jednocześnie.

- Nie powinnam tego robić - powiedziała Bonnie cicho, stawiając patelnię na kuchence.

Feral przewróciła oczami.

- No to nie rób.

Bonnie oparła się o kuchenny blat.

- Miałam na myśli, że to nie powinno być pierwsze śniadanie, jakie kiedykolwiek usiłowałam dla ciebie przygotować. - Wzięła do ręki nóż i trzymając go niczym tasak, zaczęła z nadmierną siłą uderzać w kuchenną deskę, nierówno siekając pieczarki.

- Gdyby nie ci cholerni źli ludzie, którzy cię porwali...

- Nie możesz tak mówić. To nie jest takie proste, jak ci się wydaje.

- Wiem, że w Nowej Atlantydzie byłabym zapewne nikim - gorzko skostatowała Bonnie. - Ale w tym świecie, chociaż zaczynałam od zera, bez niczyjej pomocy doszłam do czegoś i nigdy nie przestałam cię szukać. Tylko tego zawsze pragnęłam. Być dla ciebie dobrą matką. Być dobrą bizneswoman, dobrym człowiekiem. - Wrzuciła grzyby na patelnię. Obserwowała je przez chwilę, po czym zorientowała się, że najpierw należało dodać odrobinę oleju.

- Zależy, co masz na myśli, mówiąc "dobrym". - Feral przycupnęła na krawędzi kuchennego stołka.

Gdyby Bonnie zamierzała kontynuować temat Miasta, wyszłaby natychmiast To, co jest dobre dla mnie, nie musi oznaczać tego samego dla ciebie.

- Dobro dla wszystkich jest tym samym. To taktyka przetrwania.

Bonnie rozejrzała się za czymś, czym mogłaby otworzyć próżniowe opakowanie z plastrami bekonu.

Dobro to pomaganie ludziom. W grupie łatwiej przetrwać niż w pojedynkę. Zwyczajnie. To takie proste.

Uśmiechnęła się. Feral zamrugła z wrażenia. Nie mogła zaprzeczyć, że jej matka była piękna. To cholernie niesprawiedliwe, że nie odziedziczyła po niej nawet wyglądu.

- Myślisz, że Cienie są dobre? - zapytała niby od niechcienia, ale naprawdę chciała poznać odpowiedź.

Czasem wydawało jej się, że są dobre, ale czasem miała wrażenie, że są tak samo bezwzględne jak Miasto.

- Tak. Myślę, że są dobre - odpowiedziała Bonnie.

-

Przetrzymywanie zakładników nie jest dobre. Obserwowała matkę uważnie, ale twarz Bonnie nawet nie drgnęła.

- Biorą zakładników? Wszystko, co wiem, to to, że nienawidzą Miasta tak samo jak ja.

- Jednego z zakładników przetrzymywali całe lata. Bonnie pokręciła tylko głową.

- Nic mi o tym nie wiadomo. Może twoi generałowie opowiadają takie kłamstwa.

- Oni nie kłamią.

Bonnie roześmiała się nieprzyjemnie.

- A, no tak. Oni tylko porywają noworodki.

Feral złapała się za głowę: czemu Bonnie musiała ciągle poruszać temat Miasta.

Chciała tylko tu pobyc, aby wzbudzić zaufanie. Spodobało jej się tutaj, ale to nie miało trwać zbyt długo.

Nie była ani normalna, ani bezpieczna. Bonnie mogła udawać, że Feral jest normalną dziewczyną i przygotowywać dla niej śniadanie, ale nie zmieniało to faktu, że jej miejsce było w Mieście.

- Nie mów tak o nich - powiedziała gorzko. - Nie zrozumiesz tego, za późno na to. Generał Belisarius jest jedyną matką, jaką znam.

Bonnie chwyciła się za serce, jakby słowa Feral zadały jej cios.

- Dlatego że mi ciebie zabrała - stwierdziła bez tchu. Feral odpowiedziała, patrząc twardo.

- Kłamiesz. Dzieci są oddawane dobrowolnie.

- Ależ nie. Nigdy bym cię nie oddała - wykrztusiła Bonnie.

Tego było za wiele. Nie mogła dłużej patrzeć na matkę. Miała już tego dość. Gwałtownie wstała i podeszła do okna. Mrugając wściekle, wbiła wzrok przed siebie

Bonnie obserwowała córkę. Tę obcą istotę, którą spotykała jedynie w snach. Życie komplikowało się i gma---

twowało tak, że mimo dzielących je kilku kroków były oddalone od siebie o tysiące kilometrów. Każdy mię-

sień dziewczyny był napięty, każdy zmysł wyostrzony.

Obgryzała paznokcie, choć i tak niewiele już z nich zostało. Zupełnie jak paznokcie Bonnie w czasach, gdy czuła się zagubiona. Teraz jej córka była taka sama jak ona wówczas: niebezpieczna, przepelniona energią.

Dokładnie taka jak poprzedniego dnia, gdy przyprowadziła ją policja. Być może pewnego dnia przysliby bez niej i powiedzieli "Możemy wejść? Mamy złą wiadomość..."

Młode dziewczęta są takie silne, pomyślała Bonnie.

W ogóle nie zdają sobie z tego sprawy. A jeśli zwykle dziewczęta mają taką moc, jak silna i niebezpieczna była by Feral, gdyby wpadła w amok? Nawet teraz, stojąc przyoknie z jedną dłonią na szybie i czołem przyciśniętym do szkła, z aurą słonecznego blasku wokół głowy wyglądała jakby stanowiła poważne zagrożenie.

Te oczy. Pomyślała. Co jej zrobiono, że zmieniła się tak bardzo?

- Byłaś wszystkim, czego kiedykolwiek pragnęłam.

Nie potrzebowałam nawet pomocy twojego ojca. - Bonnie uśmiechnęła się ironicznie. - To akurat było szczęśliwym zrzędzeniem losu, bo bardzo szybko się ulotnił.

Patrzyła przez chwilę na otwartą już paczkę bekonu, jakby zastanawiała się, co dalej zrobić z zawartością.

- Zawsze miałam słabość do chłopaków o ciemnej karnacji. - Uśmiechnęła się do Feral, nie próbując nawet ukryć podziwu, z jakim na nią patrzyła. - Masz niesamowicie piękną cerę.

Feral nie przestawała patrzeć na szare łupkowe dachy miasta.

- Nie mam zamiaru wysłuchiwać, co ci się we mnie podoba, a co nie. - Przerwała zmieszana, po czym wyrzuciła z siebie retoryczne pytanie: - Jak mogłaś być taka głupia i zająć w ciążę tak młodo?

Bonnie patrzyła niewidzącym wzrokiem w przestrzeń.

- Miałam czternaście lat. Olewałam szkołę. Zresztą, ledwie nauczyłam się czytać i pisać. Nie miałam żadnych autorytetów. Nikt się o mnie nie troszczył.

Bonnie zajęła się patelnią grillową, na której zaczęła układać plastry bekonu.

- Nie musisz się przede mną usprawiedliwiać. Bonnie wiedziała, że Feral obserwuje w odbiciu szyby wszystko, co dzieje się w kuchni.

- Nasze myśli czasem się ze sobą mieszały, to wszystko. To nie znaczy, że byłaś moim Aniołem Stróżem. A już na pewno nie czyni to z ciebie mojej matki.

- Tak czy inaczej, opowiem ci, co się wtedy wydarzyło. Bonnie zaczęła mówić, podczas gdy jajka i bekon skwierczały na patelni, przypalając się równomiernie.

- Zaliczyłam wpadkę, bo moja matka zupełnie się mną nie zajmowała. Byłam dla niej zbędnym balastem, przeszkodą. Zawsze szukała byle pretekstu, żaby mnie komuś podrzucić i wyskoczyć na kielicha. Jako czter---

nastolatka większość czasu spędzałam z chłopcami. -Bonnie wróciła myślami do tamtych czasów. - Kiedy zaszłam w ciążę, nikt nie zdawał sobie sprawy, że naprawdę pragnęłam tego dziecka. Nareszcie coś miało być tylko moje. Matka mnie spoliczkowała, jak się dowiedziała o ciąży. - Jej dłoń mimowolnie powędrowała do policzka. - Zaprowadziła mnie do przychodni na zabieg, ale jej uciekłam.

Feral się odwróciła. Na jej twarzy nadal widniała wrogość, a ramiona były skrzyżowane, ale w głosie słycać było przerażenie.

- Byłaś z tym sama?

- Nie miałam dokąd pójść, ale musiałam uciekać. -Bonnie zadrżała, wspominając, jak bardzo się tego bała.

- Spotkałam na ulicy pewną kobietę. Mówiła, że pracuje dla organizacji charytatywnej Azyl. Pomagała młodym dziewczętom, które wpadły w takie kłopoty. Dzięki nim miałam gdzie mieszkać. Dostawałam witaminy i wzmacniające preparaty. Co jakiś czas odwiedzała mnie kobieta z opaską na oku. Miała siwe włosy. To była twoja droga Generał Belisarius.

Bonnie wzięła w dłonie kilka pozostałych pieczarek. Odłamała im nóżki i zaczęła rozrywać kapelusze dłońmi na drobne kawałeczki, które potem opadały na blat kuchenny.

- Pewnego dnia nadeszło rozwiązanie. Miałam swoje dziecko. Pozwolili mi przez chwilę je potrzymać. -

Bonnie mówiła już tylko do siebie. Jej oczy patrzyły w przeszłość.

- Pachniałaś cudownie - szepnęła. - To było zadziwiające. Byłaś cała tylko moja i kochałam cię od pierwszej chwili. Nazwałam cię Farell. To było jedyne imię, jakie moja matka wspominała, gdy zdarzało jej się mówić o moim ojcu. Nawet nie wiem, czy to było jego imię, czy nazwisko. Potem przyszła Generał. Popatrzyła na ciebie się uśmiechnęła. Powiedziała, że jesteś idealna. Poczułam się taka dumna. Powiedziała, że weźmie dziecko do zważenia i kąpieli. - Kiedy Bonnie podniosła wzrok, na jej rzęsach lśniły łzy. - Podałam cię jej i nigdy więcej już cię nie zobaczyłam.

Feral odwróciła wzrok, zaciskając pięści.

- No jasne, oczywiście. Szpitale kradną dzieci i nikt tego nie zauważa, no nie?

Jedna z łez opadła na policzek Bonnie, ale ona nie zwróciła na to uwagi.

- To nie był prawdziwy szpital, tylko fałszywa klinika. Tłumaczyli się, że wydarzył się wypadek i że dziecko zmarło.

Krzyczałam i walczyłam, chciałam cię zobaczyć, ale nafaszerowali mnie prochami. Kiedy się obudziłam, leżałam na rogu ulicy, a wokół mnie biegały jakieś dzieciaki, naśmiewając się, że jestem pijana albo naćpana. Klinika zniknęła, a ty wraz z nią. Z mojego życiorysu wymazane zostały dwa miesiące życia.

Feral podeszła do niej, pilnując, aby blat stanowił między nimi solidną przeszkodę.

- To wszystko mogło ci się przyśnić. Może po prostu sprzedałaś mnie, a potem wymyśliłaś tę historyjkę, w którą w końcu sama zdołałaś uwierzyć?

- Nie. Ja wiem, co się stało. Poszłam na policję. Opowiedziałam im o Azylu i o tym, że ukradli mi dziecko.

Ich zdaniem takie miejsce nie istniało. Powiedzieli, że nigdy o nim nie słyszeli. Opisałam im Generał, tę siwą kobietę z jednym okiem, ale nikt mi nie uwierzył. Tylko że ja miałam dowód. Kiedy zaczęłam krzyczeć, zawołali doktora, który dał mi zastrzyk. Nie zadziałał tak, jak się spodziewali. Udało mi się zwalczyć jego działanie. Zamknęłam oczy i udawałam, że mam odlot. - Spojrzała na Feral. - To wtedy po raz pierwszy usłyszałam o Nowej Atlantydzie.

Zapadła cisza. Bonnie oparła dłonie na barku, jej twarz zasnuł cień tamtego wspomnienia.

- Najpierw snułam się bez celu po kraju. Sypiałam na ławkach w parku. Ciągłe płakałam. Żebrałam na ulicach owinięta w śpiwór. Ale też wiele się wtedy nauczyłam. Nauczyłam się dbać o swoje bezpieczeństwo, podciągnęłam się w nauce, ale, co najważniejsze, nauczyłam się zauważać, że świat nie jest taki, jakim się wydaje. W mojej głowie bez końca słyszałam te słowa: Nowa Atlantyda. Ukryte Miasto. Rozmawiałam z ludźmi, nasłuchiwałam plotek, ani jednego dnia nie przestałam prowadzić poszukiwań.

Na czole Bonnie pomiędzy jej perfekcyjnie wygiętymi brwiami pojawiły się dwie pionowe zmarszczki.

- Po jakimś czasie odnalazłam trop, który doprowadził mnie do miejsca, gdzie była usterka wiodąca do ukrytego Miasta. Dlatego właśnie trafiłam tu, do Sinclair. Ludzie przysięgali, że w tych lasach jest coś dziwnego. Miejsce, w którym zdawały się nie działać prawa fizyki.

Nocami słyhać było muzykę, która dochodziła znikąd, znajdowano zdezorientowanych ludzi, błądzących w poszukiwaniu miasta, które tam właśnie miało się znajdować. Wiedziałam, że jestem blisko.

Zdecydowałam się czekać, aż stamtąd wyjdiesz albo znajdę sposób, aby się tam przedostać. Wtedy też spotkałam Cienie.

Bonnie postawiła na barku dwa talerze.

- Obserwowałam ten las. Chodziłam po nim, szukając sposobu, żeby dostać się na drugą stronę. W niektó-

rych miejscach mgła była dziwna, wirowała. Pewnej nocy zasnęłam tam, w lesie, i wtedy po raz pierwszy mi się przyśniłaś. Zawsze o tobie myślałam, ale wtedy po raz pierwszy ujrzałam cię naprawdę! Miałas dwa lata.

Bonnie wyciągnęła dłoń w kierunku Feral, ale ta się odsunęła.

- Nie było dnia ani godziny od chwili twoich narodzin, aby nie towarzyszyła mi myśl o tobie. Nieustannie cię szukałam.

- Przez szesnaście lat?

- Każdego dnia. Spójrz tylko na nas obie - powiedziała miękko. - Nikt się nigdy o mnie nie troszczył. Dlatego zaszłam w ciążę, mając czternaście lat. A ty? Tobie poświęcono aż zbyt wiele uwagi. Pilnowano cię w dzień i w nocy. Statystycznie rzecz biorąc, każdej z nas przypadła normalna dawka uwagi i troski.

Feral zaczęła się wycofywać, trzymając dłonie przed sobą, jakby broniąc Bonnie dostępu.

- Nie znamy się. Tylko biologicznie jesteś moim rodzicem. To wszystko. Nie znasz mnie. Byliśmy razem tylko przez moment i tyle.

Bonnie nie opuściła wzroku.

- Dziewięć miesięcy i kilka minut.

- Nie. Nie mam z tobą nic wspólnego. Przerobiono mnie zupełnie.

Bonnie podeszła do niej i ujęła jej rękę. Feral nie mogła nawet drgnąć. Wszystko, co była w stanie zrobić, to

gapić się na ich splecione dłonie. Ręce Bonnie były zadbane. Jej - szorstkie i zgrubiałe. Na jednej dłoni nadal miała sinoczerwoną bliznę po nożu, który przebił jej dłoń na wylot. Nagle poczuła, że dłużej tego nie wytrzyma. Wyrwała dłonie z uścisku.

-Wydaje ci się, że jestem zwyczajną dziewczynką, z którą możesz wybrać się na zakupy i miło pogawędzić.

- Mrugnęła i otarła oczy wierzchem dłoni. - Ale ja taka nie jestem. Znienawidziłabyś mnie, gdybyś tylko dowiedziała się, jaka jestem naprawdę.

Bonnie tylko uniosła brew.

- Wiem o tym. Zanim tu trafiłam, bywałam w różnych sytuacjach. Widziałam więcej mrocznych spraw, niż możesz przypuszczać. Nic już mnie nie szokuje.

- Grzebano w moim DNA. Spieprzono moje życie. Zrobiono ze mnie potwora, część mojego DNA należy do wilka. - Feral patrzyła na Bonnie wyzywająco. Spodziewała się jakiejś reakcji, grymasu obrzydzenia.

Bonnie jedynie pokiwała głową, po czym podeszła do kuchenki i zdjęła patelnię z ognia.

- Domyślałam się tego - oświadczyła spokojnie. - To się pojawiało w moich snach o tobie.

Feral patrzyła na nią z niedowierzaniem.

- Nie jesteś zaskoczona? Nie szokuje cię to? Mam instynkty dzikiej bestii, mam jej oczy, jej... - Ale nie mogła zmusić się do powiedzenia wszystkiego.

Bonnie się roześmiała. Może z ulgą, a może nerwowo.

- Och, gdybyś umiała zmieniać postać, mogłabyś zbić fortunę w Internecie.

- To nie jest zabawne.

Bonnie zakryła dłonią usta i przełknęła ślinę.

- Masz rację. To nie jest zabawne. I pewnego dnia, jak spotkam kobietę, która mi cię odebrała, dokładnie jej pokażę, jak się przez nią wtedy czułam. Ale w tej chwili to jeszcze nie koniec świata. Musisz nauczyć się kontrolować tę część siebie. Wszystko z czasem może okazać się pomocne.

Bonnie wyciągnęła dłoń, by pogłaskać włosy Feral, lecz ta odsunęła się spłoszona. Odeszła więc z powrotem do barku, ramieniem przesunęła na bok kartony po jedzeniu na wynos, po czym zsunęła je sprawnym ruchem do kosza na śmieci. Następnie, drżącymi dłońmi ustawiła na barku śniadanie.

Feral popatrzyła na nią, marszcząc nos.

- Nigdy tu nie sprzątasz? My musieliśmy codziennie myć podłogi i sprzątać sypialnie.

Przeciagnęła palcem po blacie, po czym pokazała go Bonnie.

- Widzisz? Tłuszcz.

Bonnie stała przed nią, zagryzając wargę, z poczuciem winy wypisanym na twarzy. Bardzo cicho powiedziała:

- Przepraszam.

Jednak dźwięk, jaki następnie wydobył się z jej ust, przypominał nieco sztywny chichot. Feral spojrzała na matkę. Dłoń zakrywająca usta tłumiała bulgoczący już na dobre śmiech.

- Co w tym takiego śmiesznego?

- To ja powinnam cię opieprzać za nieposprzątany pokój czy coś takiego. - Bonnie chichotała. - Tymczasem to ty mnie strofujesz, bo mieszkam w bałaganie. Przypuszczam, że sprzątanie nigdy nie wydawało mi się dość ważne, aby się nim zajmować.

Feral niepewnie skrzywiła usta, próbując się uśmiechnąć.

- Właściwie to nie jest ważne - odpowiedziała drżącym głosem. - Przepraszam, zachowywałam się jak prawdziwa suka.

Śmiech Bonnie nagle zamarł, zastąpiony przez napad gwałtownego płaczu. Oddychała ciężko, z trudem chwytając powietrze.

- Co jest? Co się stało? - dopytywała zaniepokojona nagłą zmianą Feral.

- Przepraszam. Płaczę po raz pierwszy od czasu, kiedy mi ciebie odebrano. Nie zwracaj na mnie uwagi.

Feral nie mogła nic poradzić na to, że jej nogi same zniosły ją do Bonnie. Kiedy znalazła się obok niej, wahała się przez chwilę, co robić, aż w końcu położyła dłoń na ramieniu matki. To wszystko, na co mogła się zdobyć, a i tak przyszło jej to z trudem, zupełnie jakby hamowało ją pole siłowe. Gdyby na czas nie wzięła się w garść, mogła zrobić coś kompromitującego i na przykład się rozplakać.

- To nieważne. Nieważne - powtarzała, dmuchając w gładko zaczesane jasne pukle matki. - Założę się, że wolałabyś nigdy nie trafić do moich snów. Powinnaś była pogodzić się z tym, że mnie straciłaś i rozpocząć życie na nowo.

- Nieprawda. Każdego dnia wypatrywałam cudu, że trafisz tu przez las. - Bonnie mówiła przez łzy. - Jak tylko zobaczyłam cię w snach, zaczęłam ponaglać cię do ucieczki i w końcu to zrobiłaś. Tak bardzo się cieszę.

Stały tak dłuższą chwilę, nieruchomo, w milczeniu. Z tego stanu wyrwał je dopiero dzwonek do drzwi.

Przyszła dostawa dla Fan Clubu i Bonnie musiała ją odebrać.

Feral popatrzyła na stracone śniadanie i zaczęła sprzątać pobojuwisko zostawione przez matkę w kuchni.

W głowie miała prawdziwą burzę. Zdrajca, syczał cienki głosik w jej umyśle. Ale przecież nikogo nie zdradziła, to przecież ją zdradzono! Okłamano ją, nikt dobrowolnie nie oddawał dzieci do Nowej Atlantydy.

To Nowa Atlantyda porywała je od młodych podatnych na złe wpływy dziewcząt, które wpadły w tarapaty.

Bonnie nie umiała zadbać nawet o siebie, upierał się inny mały głosik. Nie zasłużyła na to, aby pozostawiono pod jej opieką dziecko.

Nie. Spójrz tylko, jak walczyła, aby mnie odnaleźć, pomyślała. Lojalność, prawda i stałość. Wartości, które w Nowej Atlantydzie szanowano. Dotknęła dłonią czoła w miejscu, w którym jej matka pierwszego dnia przykładła zimną dłoń do jej rozpalonej głowy, gdy Feral miała gorączkę i dreszcze. Jestem zgubiona. Nie wiem, co mam myśleć.

Wyrzała przez okno na błękit nieba, na którym rysował się już księżyc w pełni. Co jeszcze z tego, co jej mówiono, było kłamstwem?

Odbicie

Pełnia Księżycy była czasem zabawy. Zrzucono ciężar szarej codzienności i całkowicie oddawano się rozryw---

kom przy muzyce i tańcach w świetle ognisk płonących na plaży. Impreza zaczęła się w Fan Clubie i wkrótce lokal stał się zatłoczony. Wszystkie miejsca były pozajmowane, dziewczęta siadały na każdym wolnym kolanie, a stoły uginały się pod ciężarem butelek. Wchodzących do klubu uderzała fala dźwięków i gorąca, bijących od głośników i rozbawionego tłumu. Hałaśliwi goście i głośna dudniąca muzyka zagłuszały niemal wszystko. Migoczące wszystkimi kolorami laserowe i stroboskopowe oświetlenie dopełniało atmosfery zabawy.

Feral wśliznęła się do lokalu późno, kiedy już miała pewność, że Bonnie będzie dostatecznie zajęta doglądaniem obsługi przy barach. Nie widziały się od śniadania. Pokręciła się po lokalu z butelką nonszalancko zwisającą z dłoni, choć nie upiła z niej nawet kropelki. Wszędzie, gdzie poszła, jej odbicie patrzyło na nią ze starych luster na ścianach: blade oblicze i przyczesane gładko kruczoczarne włosy, a niżej obcisły top i dżinsowe rurki. Przepisnęła się obok grupki tańczących dziewcząt, a potem obok obserwujących je chłopców. Spijała wzrokiem wszystko wokół, śmiechy, zalotne spojrzenia, rozmowy rozbawionych ludzi, jak gdyby miała okazję przyjrzeć się z bliska zwyczajom plemienia, o którego istnieniu nie miała wcześniej pojęcia.

W pewnym momencie tłum przeredził się trochę i przez chwilę miała wrażenie, że w lustrze dojrzała odbicie Prospera. To mogło być tylko złudzenie, ale jej wystarczyło. Przerażona zaczęła przeciskać się za nim, nie zważając na łokcie i dłonie, które stawały jej na drodze i popychały w różnych kierunkach. W końcu znalazła się na środku parkietu, a jej uszy bombardowali Red Hot Chili Peppers. Powoli odwróciła się na pięcie, lustrując odbicia w zwierciadłach, gdy wokół niej wirował roztańczony tłum.

Prosper zniknął, o ile w ogóle tam był. Wciągnęła głęboko powietrze, usiłując wyłowić najłżejszą woń Miasta, ale zachłysnęła się wyłącznie Chanel i Hugonem Bossem.

Słyszała plotki ludzi z zewnętrznego świata, że obrazy z Nowej Atlantydy wyciekają przez lustra. To mog-

ła być prawda, zwłaszcza że właśnie zobaczyła odbicie Prospera zupełnie tak, jakby zostało wysrane z Miasta.

Przesunęła się ostrożnie, lawirując pomiędzy tańczącymi, do krawędzi parkietu i sprawdziła kolejno wszystkie wyjścia. Były zamknięte, ale przy jednym wyczuła delikatny zapach Nowej Atlantydy. Położyła dłonie na drążku awaryjnych drzwi i popchnęła. Owionęło ją tchnienie zimnego powietrza. Czekwała chwilę, wdychając je, ale nie wywęszyła Prospera.

Nagle poczuła jowialne klepięcie w kark. Odwróciła się, by ujrzeć roześmianą twarz Deimosa.

- Impreza!

Zebrał pozostałe Cienie i zajął z nimi przytulną klubową alkowę. Rozparty wygodnie w fotelu siedział jak basza z wyciągniętymi przed siebie nogami. Zapraszająco poklepał wolne krzesło obok siebie i Feral usiadła.

Kątem oka zauważyła Bonnie, wyciągniętą wygodnie na leżance opodal i obserwującą wszystko uważnie.

- Ogniska na plaży już są rozpalone - powiedział Deimos, ale zauważył Crowa, roznoszącego napoje i zawołał do niego: - Przestań już pracować, Bonnie się nie pogniewa.

Feral opuściła wzrok i zaczęła majstrować przy swojej butelce. Nie mogła sobie pozwolić na otwarte spojrzenie w kierunku Bonnie, a teraz nie mogła też patrzeć na Crowa. Postanowiła trzymać się od niego z daleka. Przysunęła się nieco bliżej Deimosa, mając nadzieję, że sprawi to wrażenie, jakby byli razem, i zatrzyma Crowa z dala od niej.

- Jeszcze nie - usłyszała Crowa. - Zamykamy dziś wcześniej, wtedy kończę zmianę.

Zerknęła na niego, gdy już odchodził, i w tej samej chwili Crow odwrócił się i spojrzał na nią przez ramię.

Na szczęście Kimmy właśnie zeszła z parkietu i uwiesiwszy się na jego ramieniu, usiłowała mu coś powiedzieć. Feral odwróciła się szybko i spojrzała na Deimosa.

Mów, powiedziała do siebie, zapytaj go o cokolwiek.

- O co chodzi z tą zabawą przy pełni księżyca? - wydusiła z siebie. - Co świętujecie?

Deimos roześmiał się i zmierzwił jej włosy.

- Biedne dziecko Miasta. Przestań być taka poważna, nic nie świętujemy. Świętujemy dla świętowania! To dobry moment, żeby naprawdę dziko poszaleć. - Jego uśmiech przestał być jowialny i nagle stał się niebezpieczny. - Co powiesz na jazdę na fali? To jest dopiero odlot. Zwłaszcza że w nocy. Nikt nie ma odwagi tego robić.

Bonnie nadal leżała wyciągnięta na szezlongu, ale teraz obserwowała Deimosa i Feral.

- Nie ma mowy! - krzyknęła. - Fale są dziś zbyt wysokie, nawet dla ciebie.

- Za bardzo się wszystkim martwisz. - W jego oczach zapłonęły szelmowskie ogniki. - Wiem, co robię.

Bonnie machnęła na niego ręką i zwróciła się do Feral.

- Zignoruj go. Popisuje się. Nurt jest zabójczy, kiedy dociera do skał. Wiry wciągną cię na dno, zanim się zorientujesz, co się dzieje.

Feral nie podnosiła wzroku. Pokiwała tylko głową. Wiedziała, że Bonnie miała rację. Wypływanie w morze w czasie przyływu było czystym szaleństwem. Miała już okazję sprawdzić siłę fali, a wysokie pływy spowodowane pełnią księżyca na pewno tylko pogarszały warunki. Krzyżujące się prądy morskie i podwodne skały mogły ich pokiereszować. Deimos był szalony, skoro proponował pływanie w morzu przy takich warunkach, i to właśnie nie dawało jej spokoju. Musiał być świadomy zagrożenia. Nie był przecież skończonym idiotą. Instynkt drapieżcy nie mógł mu zastąpić mądrości.

Myślał, że w morzu jest niepokonany. Zanurkował przecież po miecz, a w tych wodach było to niemal niemożliwe do wykonania.

Nagle przed pogrążoną w rozmyślaniach Feral stanęła Bonnie.

- Wynocha - powiedziała do Deimosa. - Jak chcesz ryzykować swoje życie, proszę bardzo. Ale nie namawiaj innych. Wiesz, co spotkało tamtego surfera w zeszłym roku.

Deimos podniósł się leniwie.

- Daj spokój. I tak już wychodziliśmy. - Uśmiechnął się do niej kpiąco i rozejrzał wokół siebie. - Kto się odważy wypłynąć ze mną?

Na chwilę zapadła cisza i poprzez przycichającą nieco muzykę dało się słyszeć głos Kimmy.

- Nie wiem, czemu Bonnie tak się martwi. Deimos jest niesamowity. Da sobie radę.

W odpowiedzi usłyszała Crowa, który niechętnie, lecz z podziwem przyznał:

- Jasne, dla niego to pestka. W końcu jest półfoką czy czymś tam.

Feral poczuła się, jakby ktoś ją oblał kubłem zimnej wody. Nareszcie rozjaśniło jej się parę spraw. To było takie oczywiste. Odwróciła się. Crow stał tuż za nią, trzymając Kimmy za rękę.

- Dzięki - powiedziała.

- Za co? - Zaskoczony Crow uniósł brew.

- Później ci powiem. Podbiegła do Deimosa.

- Ja pójdę. Popłynę z tobą na fali.

Bonnie patrzyła, jak jej córka odchodzi. Nie próbowała jej zatrzymać. Wiedziała, że Feral jej nie posłucha.

Ale zamierzała powiedzieć później parę słów do słuchu Deimosowi. Od tej chwili nie był już mile widziany w jej klubie. Straciła do niego zaufanie.

Kiedy wszyscy wyszli z klubu, postanowiła jednak iść na imprezę na plażę. Nadal była Aniołem Stróżem

Feral. Bez względu na wszystko.

Fala

Niebo było koloru smoły, lecz tuż nad nią znajdowała się jasnoniebieska plama, pośrodku której lśnił księżyc.

Feral nigdy nie widziała jaśniejszego. Rozjaśniał Błyszczące Urwisko niczym neon, zalewając wszystko na plaży srebrzystym blaskiem.

Oświetlał twarz Deimosa i tłum imprezowiczów na plaży za nim. Tylko garstka surferów, trzymających się

blisko brzegu, odważyła się stawić czoło morzu. Fale uderzały o brzeg, podcinając wszystkich, nawet tych brodzących po płyciźnie.

Pozostali imprezowicze kręcili się w pobliżu ognisk z drzewa, wyrzuconego na brzeg przez morze, lub tłoczyli się wokół prowizorycznego baru ze starych drzwi położonych na beczkach.

- Jesteś pewna, że odważysz się wypłynąć? Ma przynajmniej dziesięć węzłów - powiedział Deimos.

- Odważę się.

Wsunęła deskę pod pachę, a potem wybiegła na spienioną płyciźnę. Puściła deskę, znikając pod nadciągającą falą, po czym wynurzyła się po drugiej stronie, plując morską wodą i łapiąc oddech, ciągnąc deskę za sobą na linie. Czuła chłód wody nawet przez zimową piankę.

Deimos wynurzył się obok niej, przeciągnął dłonią po włosach, strząsając z nich srebrzyste kropelki. Stali po kolana w wodzie, z ledwością stawiając opór odpływającej fali, zapatrzeni w morze. Było ciemne, wzburzone, ze lśniącym pasem odbijającego się księżyca, ciągnącego się przez środek niczym biała autostrada, ku horyzontowi. Deimos wytarł z oczu słoną wodę.

- A teraz płyniemy księżycową ścieżką, tam gdzie będziemy tylko we dwoje, ty i ja.

Feral uznała, że Deimos próbuje ją przestraszyć i musiała ukryć uśmiech.

- Skoro nalegasz.

Nie czekając na niego, wskoczyła na deskę i zaczęła mocno wiosłować rękami w kierunku głębszej wody.

Dogonił ją, nadal się śmiejąc, jakby wiedział o czymś, o czym ona nie miała pojęcia.

- Trochę tu strasznie. I chłodno.

Leżał na swojej desce, manewrując tak, by razem wspinali się na szczyty fal i razem opadali w dół, dwie drobiny na neonowej drodze księżyca, niewielkie plamki na ogromnym bezlitosnym oceanie.

- Dam sobie radę - powiedziała. - Chyba że zmieniłeś zdanie?

Pokręcił głową, przyciągnął do siebie jej deskę, tak by mógł pogłaskać ją po policzku, po czym powiedział:

- Piękna.

- Wcale nie.

- Tak.

Wkrótce znaleźli się daleko od brzegu. Gdy Feral się odwróciła i spojrzała w kierunku plaży, widziała tylko ogniska, sięgające ku niebu żółtymi i błękitnymi płomieniami, gdy spalała się sól w drewnie. Z jednej strony wznosiło się Błyszczące Urwisko, u którego stóp, jak biały ogień pieniała się woda. Było niczym latarnia

morska, wskazująca jej drogę do bezpiecznego świata. Lecz w tej chwili Feral nie chciała bezpieczeństwa.

Chciała zaryzykować, zapomnieć o łzach Bonnie i własnych zmartwieniach. Zapomnieć Crowa i tamten pocałunek.

Znów ułożyła się płasko na desce i popłynęła w stronę Deimosa, który odpłynął naprzód. Był teraz ledwo widoczny, otoczony srebrzystą poświatą. Siedział na desce, unoszącej się na wzburzonym morzu.

- Chcesz wiedzieć, co jest pod nami? - zapytał, gdy go dogoniła.

Podobnie jak on, usiadła na desce okrakiem.

- Jak masz ochotę powiedzieć. Przeciagnał po wodzie dłonią, z której skapywały niczym iskry, srebrzyste kropelki. Tak daleko od brzegu woda była nieprzenikniona. Jakiś stwór mógł w każdej chwili chwycić ją za palce u stóp. Jej myśli powędrowały ku ciału Trajana, po tym, jak go zastrzeliła. Wyobraziła sobie, jak wynurza się z głębin i łapie ją za kostkę. Przebiegł ją dreszcz, lecz zmusiła się, by pozostawić stopy w wodzie. Nie mogła poddawać się głupim lękom. Być może Deimos zauważył jej drżenie, bo się uśmiechnął.

- Dziwne, nie? - powiedział, podpływając do niej i łapiąc się jej deski, tak że razem unosili się i opadali. -

Czarna woda skrywa jeszcze czarniejsze głębin. A na samym dnie jest wrak hiszpańskiego galeonu. Zgubił

się i odłączył od Wielkiej Armady, a wiatry przywiały go aż tu, do najdalszego krańca Szkocji. I tu uderzył o skały.

Gwałtowna fala groziła, że ich rozdzieli, lecz Deimos trzymał się mocno.

- Skąd wiesz? - spytała Feral.

- Byłem tam, na dole.

Serce zaczęło jej walić jak młotem.

- To stąd właśnie wzięłeś miecz? Nurkowałeś. Jego zęby błysnęły bielą, gdy się uśmiechnął.

- Coś w tym rodzaju. Znalazłem go w mule pod galeonem, ścisnęła go koścista dłoń martwego Hiszpana.

Pewnego dnia tam wrócę.

- Szukać złota? - zagadnęła lekko, jakby to nic nie znaczyło. Czuła na sobie jego wzrok.

- Słyszałaś tę plotkę?

Zanurzyła dłoń w wodzie, jakby nie była zainteresowana tym tematem.

- Tak, zajrzałam kiedyś do biblioteki i poczytałam o Sinclair. Była tam informacja, że plotki o złocie nadal krążą, bo prądy nad dnem uniemożliwiają nurkom bezpieczne dotarcie do wraku. Musisz być niezłym nurkiem.

Wzruszył ramionami.

- Nie wierz wszystkiemu, co czytasz w gazetach. Może innych nurków przestraszyły dusze utopionych marynarzy, łązące po dnie, niemogące zaznać spokoju. Niektórzy mówią, że można poczuć ich palce, jak cię łapią za stopy, zanurzone pod deską.

- Uśmiechnął się do niej. - Czujesz?

Roześmiała się.

- Nie próbuj mnie przestraszyć. - Odepchnęła jego deskę. - Nie uda ci się.

Dobra, to był ten moment, kiedy musiała zaryzykować jeszcze bardziej, zanim zamarznie tu na śmierć.

Znów położyła się na desce i zaczęła płynąć w mrok, dalej od księżycowego odbicia.

- Zwariowałaś! - zawołał Deimos. Zignorowała jego słowa, płynąc dalej, aż poczuła, że temperatura wody spadła jeszcze niżej. Włoski na karku zaczęły jej się podnosić. Była blisko fali. Widziała ją w oddali, była jak szybko płynący, gładki strumień wśród wzburzonych wód morza. Czuła przyciągające ją lodowate macki. Cienka linia bąbelków i piany, jak ostrzegawcze światła, znaczyła jej granicę. Gdyby tam wpłynęła, nie byłoby ucieczki, byłaby niesiona, dopóki fala by nie osłabła.

- Tam jest fala.

Mimo wyszkolenia czuła, jak mocno bije jej serce. Poczwała na karku dłoń Deimosa, gładząc jej włosy.

- Boisz się? - zapytał. Wzdrygnęła się.

- Tak. Każdy by się bał. Czemu ty się nie boisz? Roześmiał się.

- Kocham morze. Jest moim domem.

Podpłynął ku fali, Feral podążyła za nim. Gdy tylko dotknęli gładkiej jak szkło powierzchni, poczuli się, jakby chwyciła ich gigantyczna dłoń. Potężna siła ciągnęła ich ze sobą. Widzieli z boku światła Sinclair, przesuujące się szybko.

- Patrz!

Wskazywał w dół, w kierunku ciemnej tafli wody. Zadziwiona Feral zobaczyła meduzę, przypominającą blado-żółty parasol, ciągnący za sobą wstęgi srebrnego blasku. Unosiła się kilka metrów pod powierzchnią, schwykana przez falę i popychana z taką samą prędkością co oni.

- Widywałem takie wcześniej - wyjaśnił. - Kiedy zmieniają się pływy, świecące istoty wynurzają się z głę-

bin. Wtedy samo morze wypełnia się ogniem. To się nazywa fosforescencja. Widziałem nawet taką jasną, że można było przy jej świetle odczytać nazwy statków.

Gdy tak płynęli, jedno obok drugiego, niesieni przez prąd, Deimos położył swoją dłoń na dłoni Feral. Jego ręka była ciepła, a jej lodowata. Od dziecka szkolono ją, by była odporna na zimno, ale teraz nawet ona dygotała. Deimos nie. Sprawiał wrażenie, jakby temperatura zupełnie mu nie przeszkadzała, jakby unosił się w wannie z gorącą wodą. Już wcześniej to u niego zauważyła - zawsze było mu ciepło, nigdy nie czuł chłodu morza. Chwyciła go za dłoń i przyciągnęła ją do swojego policzka, kradnąc trochę jego ciepła.

- Co to takiego? - zapytał zdumiony, patrząc na bliznę na grzbiecie jej dłoni, lśniąca w świetle księżyca.

Odwrócił dłoń. - Blizna na wierzchu, blizna od wewnątrz - powiedział. - Co się stało?

- Generał Belisarius to zrobiła. Nie byłam dość szybka na szkoleniu. Przebiła mi dłoń nożem.

Przypomniała sobie tamten dzień. Przypomniała sobie wściekłość na twarzy Generał i jak próbowała nie płakać tamtej nocy, z zabandażowaną, obolałą ręką. Jej Anioł Stróż - nie, jej matka - był wtedy przy niej, jakby wiedział, że cierpi.

A potem pojawiło się inne wspomnienie, świeże, wspomnienie Bonnie opiekującej się nią, gdy była chora, kładącej delikatnie dłoń na jej czole, podciągającej koc pod jej brodę. Nigdy nie przypuszczała, że taka łagodność istnieje.

Deimos podniósł jej dłoń, by lepiej ją widzieć w blasku księżyca, obracał nią raz w jedną, raz w drugą stronę. Obejrzał obie blizny, o potem je ucałował.

- Generał jest złą kobietą.
- Kochałam ją kiedyś. Wszyscy ją kochaliśmy. Deimos pogłaskał ją po policzku, odgarnął jej włosy.
- Moje biedactwo - powiedział czule.
- Nie współczuj mi, ja już skończyłam z Nową Atlantydą.
- Co nie zmienia faktu, że to suka.
- To prawda. Ale Generał by powiedziała, że łagodną ręką nigdy nie stworzy się wojownika. - To jej kary, jej dyscyplina zmieniały kadetów w najtwardszych wojowników na świecie.

Deimos nagle się zdenerwował.

- Właśnie dlatego chcę znaleźć sposób, by przedostać się przez bramy, wyłączyć Harfy i pokazać wszystkim, co robią. Pokazać światu, co dla nich zaplanowały Nowa Atlantyda i Generał.

Wpatrywał się w wybrzeże, w światła Sinclair, daleko po prawej. Był tak przystojny, miał tak doskonale ukształtowaną czaszkę, tak idealną rzeźbę ciała, że prawie mógłby być prefektem, gdyby nie jego poglądy.

Feral poczuła, jak w jej ciele zaczyna krążyć adrenalina. To dlatego, że właśnie robiła coś strasznie niebezpiecznego, ale też z powodu myśli - jak by to było go pocałować? Przynajmniej nie pragnęła go ugryźć, stracić samokontroli, jak z Crowem.

Jakby czytając jej w myślach, powiedział:

- Dwa najsilniejsze ludzkie pragnienia to pragnienie seksu i pragnienie igrania ze śmiercią.

- No cóż, my ewidentnie gramy z nią w kości.

- Ja mam ochotę i na jedno, i na drugie.

- Za późno.

Przed nimi widziała piętrzące się skały. Wokół nich pieniała się woda. On też je dostrzegł. Z ogromną prędkością mknęli wprost na nie.

- I teraz najniebezpieczniejszy kawałek. Musimy to opłynąć.

- To tu zginął surfer? - spytała, przypominając sobie ostrzeżenie Bonnie.

- Tak. Było ich dwóch, ale jeden za bardzo zbliżył się do skał. - Deimos błysnął bielą zębów. - Wessał go wir. Nie odnaleziono ciała.

Skały były dokładnie przed nimi i zbliżały się z ogromną prędkością. Gładka jak szkło fala zmieniała się w szalejący strumień. Wokół nich pojawiały i zaraz znikaly małe wiry. Gdy zbliżyli się do skał, blisko nich utworzył się wielki wir o średnicy dwóch metrów.

- Płyn! - ryknął Deimos.

Z paskudnym odgłosem przypominającym ssanie, środek wiru wykrzywił się lejkowato, a potem zapadł z hukiem.

Feral puściła deskę Deimosa i odpłynęła.

- Nie słuchasz mnie! - krzyknął, zirytowany. - Tu robi się niebezpiecznie, mieszczuchu. - Podpłynął do niej i wyciągnął rękę. - Trzymaj się, przeprowadzę nas dookoła.

Nie. Tu właśnie Feral zamierzała sprawdzić swoją teorię. I prawdopodobnie zginąć, jeśli się myliła.

Odpłynęła od niego. Hałas był ogłuszający, ale słyszała, jak wołał: - Feral! Nie bądź głupia!

Trzymała się obranego kursu, wprost na skały i wzburzoną wodę wokół nich. Prądy napierały na nią z różnych stron. Deska pod nią szalała. Feral próbowała mruganiem pozbyć się słonej wody z oczu. Coś wirowało przed jej deską. Wodę burzyło mnóstwo maleńkich wirów, ale one były niczym w porównaniu z tym, który właśnie powstawał przed nią. Czuła, jak jej deska zostaje porwana i zaczyna krążyć wokół czarnej dziury, zdolnej pomieścić autobus.

Wydawało jej się, że nie potrafi odczuwać prawdziwego przerażenia po tym wszystkim, co zrobili z nią w krypcie. Jednak myliła się. Jedno spojrzenie na tę wirującą czarną dziurę, otoczoną ścianami jakby z czarnego szkła, i zrozumiała, co to

przerażenie.

Deimos nadal do niej krzyczał. Ponad hukiem słyszała jego rozpaczliwy głos, lecz nie potrafiła rozpoznać słów. Zresztą i tak było za późno. Nawet gdyby zmieniła zdanie, teraz już nie mogła się wyrwać. Jej deska gwałtownie się przechyliła, trafiwszy na wirującą krawędź, i błyskawicznie została spod niej wyszarpięta.

Feral wpadła do wody wynurzyła się tylko na tyle, by zdążyć nabrać powietrza, a potem została porwana przez szalejący wir.

Hałas ustał. To przypomniała sobie później. Albo stał się tak głośny, że przestała go słyszeć. Smród morza był tak silny, że aż dławiący. Wokół niej wirowały ściany jak z czarnego szkła. Czuła się, jakby była na jakiejś dziwacznej karuzeli z koszmaru, przyciskana przez siłę odśrodkową do krawędzi.

A potem spadała w ciemność, przytłoczona przez wodę. Nie widziała nic poza czernią. Brak powietrza.

Płuca domagające się tlenu. Ból w bębenkach, jakby miały pęknąć. Zaczęła panikować - to był błąd, musi wydostać się na powierzchnię, ale ciężar wody był zbyt wielki!

Poczuła, jak jej stopa o coś się otarła. Jest na dnie -wir ją ściągnął, ale nie zamierzał jej już wypuścić. Nic dziwnego, że nigdy nie odnaleziono ciała surfera. Pewnie nadal było tu gdzieś uwięzione. Chłód był

przejmujący, nigdy wcześniej takiego nie czuła.

Jej plan się nie powiódł. Co teraz? Nie mogła wydostać się z wiru i nie mogła dłużej wstrzymać oddechu. Musiała zaczerpnąć powietrza. Czuła rozdzierający ból w płucach. Więc zaczerpnęła powietrza? Jak można się zakrtusić pod wodą? Nie można. Robi się spokojnie, zaczynasz się unosić i wydaje ci się, że wszystko jest w porządku, jak we śnie, że możesz żyć bez tlenu.

A potem pojawia się cierpienie i zdajesz sobie sprawę z tego, że umierasz.

Coś złapało ją za ramiona. Czuła ból bębenków, ale był niczym w porównaniu z bólem rozdzierającym płuca.

Po raz ostatni otworzyła oczy i zobaczyła wokół siebie bąbelki powietrza. A potem ciemność.

Coś uderzyło ją mocno w pierś. Au. Czyjeś usta ją całowały. Odczep się!

Pochyliła się i wykrztusiła trochę paskudnej w smaku wody. Potem zmusiła do działania szczypiące oczy i umysł. Rzuciła się w wir, a teraz była na plaży. Ogniska były tylko światełkami w oddali. Deimos kucnął obok niej.

- Utonęłam - stwierdziła.

- Prawie.

Usiadła, poruszając rękami, a potem nogami. Nic jej nie było, poza pieczeniem w gardle od słonej wody.

- Wyciągnęłam mnie z wiru - odezwała się powoli. -To niemożliwe.

- Owszem. - Potargał jej włosy i wyciągnął z nich wodorost. - Na szczęście nie wpadłaś w środek wiru.

Spadłaś z deski i wir złapał cię na samej krawędzi. Chwyciłem cię w ostatniej chwili. - Podał jej rękę i pomógł wstać.

Kłamiesz, pomyślała. Doskonale wiem, co zrobiłeś. Ale głośno powiedziała: - Tak czy inaczej, uratowałeś mnie. Dzięki. Jesteś niesamowity. - I rzeczywiście był. Złocisty, doskonały.

Nagle złapał ją za rękę i przyciągnął ku sobie.

- Ty też. Prawie się utopiłaś, a teraz wstajesz jak gdyby nigdy nic. Coś wyjątkowego.

Wizja ich całujących się ponownie pojawiła się w jej głowie, ale odepchnęła go i odeszła.

- Ej, wracaj! Szła dalej.

- Chcę wrócić do ognisk - rzuciła przez ramię. Widziała w oddali ich migające światło. Wyglądało to tak, jakby w ciągu kilku minut przepłynęli parę kilometrów. Zaczęła biec po plaży Musiała pomyśleć.

Podążył za nią i próbował ją dogonić, ale za każdym razem, gdy się zbliżał, Feral zwiększała tempo, aż w końcu dał sobie spokój i biegł za nią. Może i był księciem mórz, ale na łodzi nie miał szans z wilkiem. Nie zwolniła, dopóki nie dotarła do plaży. Poczula zapach grilla i dym ze słonego drewna w ogniskach. Wokół

nich pojawiały się cienie, śmiejące się, żartujące. Flary zrobione z bambusowych tyczek zamoczonych w

wosku oświetlały granice, między którymi to tu, to tam migotały setki mniejszych świeczek w słoikach, jak świetliki pośród imprezowiczów.

Ich ubrania leżały w dwóch schludnych kupkach. Feral ubrała się szybko i była gotowa, zanim wrócił

Deimos. Podbiegł do niej, śmiejąc się, i otoczył ją ramieniem.

- Nie możesz uciekać w nieskończoność.

Tym razem się nie odsunęła. Wzięła delikatnie w dłonie jego twarz i go pocałowała. Jego ramiona otoczyły jej szyję. Smakował solą i winem. To było bezpieczne - cielesne pożądanie bez bólu. Znow wziął w ręce jej dłoń i ucałował ją. Czekala na ból w stawach, na reakcję wilczego umysłu, każącego jej gryźć. Nic takiego się nie zdarzyło. On był bezpieczny, nie tak jak Crow.

Teraz już wiedziała czemu.

- Chodźmy gdzieś sami. Znam jedno miejsce w pobliżu Błyszczącego Urwiska - zaproponował.

Wskazał palcem wzdłuż plaży. Księżyc oświetlał pionową skalną ścianę z rozbijającymi się o nią falami.

- Nareszcie będziemy sami, ty i ja. - Uśmiechnął się. - Pełnia dla ciebie. Morze dla mnie.

Odwzajemniła uśmiech.

- Dobrze. Ale najpierw muszę coś zrobić. Lustrował ją wzrokiem.

- Więc spotkajmy się o północy.

Kiwnęła głową, a potem obserwowała, jak odchodzi. Żaden surfer nie mógłby jej uratować. Tylko ktoś taki, jak ona - inna chimera, tyle że stworzona do warunków morskich. Pótfoka, jak powiedział Crow, żartując niewinnie, nie domyślając się prawdy. Nic dziwnego, że na zdjęciu na biurku Generał wyglądał na chorego.

Pewnie przeszedł tyle samo kuracji co ona. Te blizny na jego ciele nie były śladami uderzeń o skały, tylko śladami po zszywaniu. Może i zmienił się przez te lata, stał się inną osobą, ale nadal był tym, którego szukała.

Znalazła Zane'a.

Teraz musiała jedynie skontaktować się z Generałem i wszystko zostanie jej wybaczone. To dlaczego nie czuła się szczęśliwa?

Znalazłam Zane'a... znalazłam Zane'a...

Amber kuliła się w ciemności własnego umysłu. Przez długi czas była więźniem w milczeniu. Ale teraz docierał do niej jakiś głos. Głos Feral, cienki, piskliwy i dobiegający z daleka.

Wiedziała, co to oznacza. Feral wykonała misję. Teraz już nie była potrzebna. Generał nie zamierzała trzymać wadliwej chimery, w dodatku tak niebezpiecznej jak Feral.

W ciemności przed nią pojawił się obraz. Broń owinięta w jedwab. To oznaczało coś złego dla Feral.

Przekręciła się w ciemności, próbowała znaleźć drogę ucieczki. Wystarczająco długo była więźniem.

Próbowała uciec, ale panowała kompletna ciemność, a Amber nie miała pojęcia, jak to zrobić. Nawet nie wiedziała, gdzie jest.

W jakiś sposób musiała skontaktować się z Feral i ją ostrzec.

Bębny na plaży

Crow obserwował, jak się całowali, a potem odszedł.

Nie należał do osób, które łatwo rezygnują, ale to musiało oznaczać koniec. Jeśli tu zostanie, skaże się na cierpienie.

Przepychał się przez tłum - wyglądało na to, że wszyscy poza nim* świetnie się bawili. Na plaży była prawie setka ludzi. Niektórzy kręcili się przy ogniskach, dorzucając więcej drewna lub piekąc pianki marshmallows. Niektórzy porozpalali własne ogniska. Butelki krążyły z rąk do rąk. Pary znikwały w ciemności, kierując się w stronę wydm.

Jedna grupa z drewna wyrzuconego na brzeg zrobiła stół, na którym nabazgrali cyfry i litery, a teraz próbowali urządzać seans spirytystyczny. Słyszał piski dziewczyn, gdy szklanka poruszyła się w świetle świec, a one wykrzykiwały fałszywe przekazy.

Gdzieś z ciemności dobiegał odgłos bębnow, wybijających jakiś pierwotny rytm, oraz delikatne dźwięki gitar, konkurujące z szumem morza.

Szedł dalej. Gdzieś z boku rozbiła obóz grupa przybyłych z południa Cieni. Pojawiły się na plaży w kap---

turach, krocząc, jakby były panami świata, aż wreszcie oznaczyły sobie wydmę i rozpalily własne ognisko.

Mógł się przyłączyć, ale tego nie zrobił. Teraz był z tego powodu zadowolony, bo zauważył, że w ich kierunku zmierzał Deimos.

Zwolnił, obserwując, jak Deimos wita się z nimi tym swoim poklepywaniem po plecach, uściskami, a potem opowiadał im po cichu coś, co wywołało salwy śmiechu, i znów klepanie go po plecach, jakby gratulacje.

O czym on mówił? Chodziło o Feral?

- Stary, ty zawsze wyrwiesz panienkę - usłyszał głos jednego.

Wtedy Deimos wyrwał komuś butelkę i zamachał nią w powietrzu.

- Wódka. Właśnie tego potrzebowałem. Wybaczcie, że was zostawiam, ale mam z nią randkę za parę minut. -Uniósł butelkę.

- To powinno rozkręcić imprezę.

Reszta Cieni zarechotała.

Nie chciał tego robić, to nie była jego sprawa, ale nie mógł nic poradzić. Jego nogi poruszały się same. Podszedł do grupy i klepnął w ramię Deimosa, który odwrócił się gwałtownie.

- Hej, jest i nowy! Słuchajcie, przedstawiam naszego nowego rekruta.

Crow go zignorował. Wskazał na butelkę.

- Ona nie pije.

Deimos wyglądał na zdziwionego.

- A kto cię pytał o zdanie? Crow wzruszył ramionami.

- Nikt. Tak tylko mówię. Nie upijaj jej. To nie w porządku.

Zapadło milczenie. Wszyscy patrzyli na siebie z ukosa, na niego nie spojrzął nikt. Deimos uniósł dłonie.

- Dajcie mi chwilę, chłopaki. Nowy potrzebuje pogadanki. - Otoczył Crowa ramieniem i odprowadził na ubocze. - Nigdy więcej tego nie rób - powiedział z lodowatym spokojem, gdy się oddalili. - Nie mów do mnie w ten sposób przy innych. i Crow odsunął się od niego.

- Daj spokój. Nie jesteś moim szefem.

- Owszem, jestem. Przyłączyłeś się do Cieni. Nie waż się ze mną sprzeczać. Ja tu dowodzę.

- W takim razie odchodzę.

- Nie możesz. Jesteś teraz jednym z nas.

Crow przez chwilę nie odpowiadał, wpatrywał się w płomienie najbliższego ogniska.

- Nie jestem. Nigdy nie będę jednym z was. W oddali widział Feral idącą po piasku, blask ognia odbijający się w jej oczach. Nagle poczuł, że ma wszystkiego dość. Odwrócił się do Deimosa.

- Chcesz usłyszeć prawdę? Jesteście bandą paniczyków, bawiących się w ruch oporu. Czasem chce mi się z was śmiać. Deimos zmrużył oczy.

- To nieistotne. Nikt nie odchodzi. - Poklepał Crowa po ramieniu, jakby ten był dzieckiem. - A teraz bądź grzecznym chłopcem, wracaj na imprezę i udamy, że tej rozmowy nigdy nie było.

Ręce Crowa aż go świerzbily, by przywalić w tę zadowoloną z siebie twarz. Ale Deimos był wyższy, cięższy i silniejszy. Crow nie miał szans. Znowu spojrzął na Feral. Ta noc przynosiła jedno upokorzenie za drugim.

- A, jeszcze jedno - dodał Deimos. - Przestań gapić się na Feral. Teraz jest moją dziewczyną, jasne? -

Wyciągnął rękę do Crowa. - To była uczciwa walka, ja wygrałem. Poza tym zastanów się: ona nigdy by się z tobą nie umówiła. Należy do elity.

Crow nagle zamachnął się, żeby uderzyć Deimosa, ale nawet tego nie potrafił zrobić. Deimos bez wysiłku się uchylił, a następnie jego pięść trafiła Crowa w szczękę, odrzucając go w tył. Crow klęczał w piachu, próbując uspokoić wirowanie w

głowie.

- Uznam, że to był z twojej strony przejaw zazdrości - powiedział Deimos, stojąc nad nim. Potem odszedł.

Po chwili od strony Cieni doleciał Crowsa ich śmiech.

Chwiejąc się, poszedł na wydmy, gdzie usiadł na piasku, trzymając się rękami za głowę. Serio, ta noc nie mogła być gorsza.

Feral szła po plaży, prawie nie widząc bawiących się ludzi i ognisk. Znalazłam go, pomyślała. To koniec.

Misja wykonana.

- Feral! Nie rób tego! - krzyknęła jakaś dziewczyna. Feral się zatrzymała. Kto ją wołał? Odwróciła się na pięcie. Otaczali ją ludzie, ale nikt nie zwracał na nią uwagi. Może tylko jej się zdawało. Znow ruszyła naprzód.

Od pobliskiej grupki dziewczyn doszedł ją śmiech.

- Znowu! Co wychodzi? - zapiszczała jedna z nich.

- N-I-E-B-E-Z-P-I-E-C-Z... Niebezpieczeństwo!

- Czekaj. Nadal się porusza. F-E-R-A-L.

- Niebezpieczeństwo feralne? Bez sensu.

Feral podeszła do nich. Dziewczyny siedziały wokół kawałka drewna. Ich palce spoczywały na odwróconej szklance.

- Co to ma znaczyć, do cholery?! - krzyknęła jedna z nich. - Co ma być feralne?

Feral popukała jedną z nich w ramię.

- Czemu mnie wołacie? To jakiś żart? Dziewczyny się odwróciły i popatrzyły na nią.

- Nic do ciebie nie mówiłyśmy. Kontaktujemy się z duchami. Idź stąd.

Szklanka ponownie zaczęła się ruszać.

- F-E-R-A-L - przeliterowały. - Znowu? Co z tą fe-ralnością?

Feral odeszła od nich, od ognia, od zgiełku. Serce szybko jej biło. Duchy do niej się nie odzywały, ale ktoś to jednak robił. Odchyliła głowę, węsząc zapachy niesione przez bryzę. Znow się pojawił! Idąc za tropem, skierowała się w stronę wydmy porośniętej kołyszącą się trawą.

Amber tu była.

Siedziała na wydmie, otulona w stary płaszcz Crowa. W świetle księżycy jej puste oczy lśniły srebrnym blaskiem. Obok niej siedział Bean. Kiedy zobaczył Feral, wstał nerwowo, lecz ona zignorowała jego obecność i podeszła do Amber. Coś z nią było nie w porządku. Objęła przyjaciółkę i mocno ją przytuliła.

- Czemu mi nie powiedziałaś, że tu jesteście? - zapytała Beana.

Chłopiec wyglądał, jakby zamierzał odwrócić się i uciec.

- Nie ufałem ci.

Feral zmarszczyła brwi.

- Czemu?

- Podśluchała coś na twój temat. To dlatego Generał ją odrodziła.

Feral popatrzyła na Amber, na jej puste oczy, na blizny na jej skroniach.

- Nie - wyszeptała przerażona. - Tylko nie to.

- Właśnie tak - powiedział Bean. - Dlatego ukradłem smoczego konia i uciekliśmy. Dobrze zrobiłem?

- Dobrze. - Feral była wstrząśnięta do głębi. Mogła tylko wpatrywać się w swoją przyjaciółkę, zalewana falą poczucia winy. To było Miasto, do którego zamierzała wrócić - miejsce, gdzie dziewczynom robili takie rzeczy. Odwróciła się do Amber i łagodnie nią potrząsnęła.

- Przepraszam. To wszystko moja wina.

Po policzku Amber spłynęła łza, lecz jej oczy nadal patrzyły w dal.

Jak mogłaby teraz zadzwonić do Generał? Amber była praktycznie martwa. Feral nie mogła wrócić do miejsca, które używało odrodzenia jako kary. Nagle jej mózg przeszył ból. Złapała się za głowę. Czuła się, jakby ktoś ją dźgał malutkim sztyłem.

- Co się dzieje? - zapytał zaniepokojony Bean.

- Ból w głowie. - Pomasowała skroń, próbując się go pozbyć. - Nie jestem w stanie myśleć.

Pokłęczała chwilę, dopóki ból odrobinę nie zelżał, potem wstała.

- Która godzina?

- Prawie północ.

Amber się poruszyła, złapała Feral za rękę, ale ta z łatwością się wyrwała. Ból w głowie stawał się coraz bardziej dokuczliwy.

- Muszę iść.

Znalazła go siedzącego samotnie na wydmiu.

- Crow?

Uniósł głowę. Nie wydawał się szczególnie zachwycony jej widokiem, ale to było nieistotne.

- Mogę pożyczyć twój telefon?

Podał go jej. Przyglądał jej się bardzo uważnie, jakby coś z nią było nie tak.

Gdzieś w głowie słyszała swój głos, mówiący: "Nie chcę tego robić. Nie chcę dzwonić do Generala", lecz jej palce w tym czasie wybierały numer, którego nie znała.

- Wyglądasz, jakbyś źle się czuła - zauważył Crow. Zignorowała go. Ktoś coś mówił przez telefon, ale ból w głowie sprawiał, że nie słyszała dobrze.

- Tak - powiedziała, nie mając pojęcia, z kim rozmawia. Rozłączyła się i wtedy ból w głowie zniknął. Oddała telefon Crowowi.

- Muszę iść - oznajmiła. I

- Wiem. Słyszałem przechwałki Deimosa - rzekł v smutno. Obserwował ją, starał się być obojętny, ale w oczach widać było cierpienie. - Powiedz, co on ma takiego, czego nie ma reszta? Poza wytwornym akcentem i niezłym wyglądem, oczywiście. Odwróciła wzrok.

- Przynajmniej nie martwię się, że go zabiję - wyszeptła. Potem odeszła, kierując się w stronę Fan Clubu.

- Ej, Błyszczące Urwisko jest w tamtą stronę! -krzyknął za nią Crow.

Zatrzymała się zdziwiona.

- Chyba najpierw muszę zabrać coś z mieszkania.

Śledził ją wzrokiem, dopóki nie zniknęła w ciemności.

Teraz już wiedział. Nigdy nie będzie z Feral. Spakuje dziś swoje rzeczy i zniknie. Niech Deimos i inne Cienie próbują go odnaleźć. Przekonają się, że to nie takie łatwe. Nikt nie potrafił ukrywać się tak dobrze jak on. Już nigdy nie będzie musiał o niej myśleć. Co akurat byłoby ulgą, bo na razie mógł myśleć tylko o tamtym pierwszym pocałunku w szyję i o tym, co było poprzedniego dnia, gdy trzymał ją w ramionach.

Gdyby się rozejrzył, zamiast gapić się bezradnie w dół i porządkować swoje myśli, być może zauważyłby malutką, zabójczą kropkę czerwonego światła, próbującą go namierzyć. Przez kilka sekund się udało, zatrzymała się w okolicy jego serca, ale nie na długo. Na szczęście właśnie wtedy zerwał się gwałtownie. Rozległo się ciche pyknięcie, w piasku u jego stóp pojawiło się niewielkie wgłębienie, ale Crow nie zwrócił na nie uwagi. Światelko za nim podążyło, lecz on zsunął się na drugą stronę wydmy i ruszył do swojej przyczepy.

Światelko próbowało go tropić, lecz wkrótce zrezygnowało.

Po twarzy Amber płynęły łzy frustracji. Rozejrzała się w ciemności. Musiała się stąd wyrwać. Musiała odzyskać mowę.

Myśl!

Tak, oczywiście. Zabrali ją do krypty. Pamiętała, jak zaciągnęli ją na salę operacyjną. Pamiętała sprzęt, przewody, fotel z pasami.

Odrodzili ją. To dlatego była teraz tu, w ciemności. Ale ona i Bean mieli plan, na wypadek gdyby coś takiego się wydarzyło. Sprzęt do odradzania penetrował mózg i usuwał stamtąd wszystkie wspomnienia. To tak, jakby Generał i jej żołnierze weszli do cudzego domu i przeszukiwali go metodycznie, pomieszczenie za pomieszczeniem, aż znaleźliby gospodarza i go zabili. A potem zastąpili nowym.

Lecz gdyby poprzedni właściciel mógł uciec, schować się, to mógłby po jakimś czasie wrócić i odzyskać swój dom.

Na tym właśnie polegał ich plan. Uciec, schować się we własnej głowie. Amber rozejrzała się i zmusiła umysł, by wyobraził sobie włącznik światła. Włącznik się pojawił. Nacisnęła go. Była w rogu strychu, zawałonego starymi meblami.

Przypomniała sobie.

Kiedy zaczęli nad nią pracować, gdy elektrody wypaliły na jej skroniach czerwone ślady, a Generał i jej lekarze wkroczyli do

jej umysłu, uciekła z krzykiem, pobiegła niekończącymi się korytarzami i przejściami, w górę po schodach, byle dalej od nich. Słyszała, jak sprawdzają pomieszczenia w jej głowie, jedno za drugim, lecz ona biegła dalej, aż dotarła na strych, gdzie znalazła małą szafkę, w której się schowała. Przeszli obok, szukając jej, ale nie znaleźli.

Słyszała, jak General klęła z wściekłości, mówiła, że nic takiego nigdy się nie wydarzyło, że rano spróbują ponownie. Potem wszystko się pomieszało. Miała niejasne wspomnienia smoczego konia, trzymającego ją Beana, ucieczki przez las, gdy goniły ich wilki, wyjąc jak upiory.

Jeśli miała uratować Feral, musiała szybko odnaleźć drogę przez korytarze swojego umysłu.

Wybiegła ze strychu, zbiegła po schodach i zaczęła przemierzać te korytarze. Jednak tym razem biegła w stronę światła.

Crow był w swojej przyczepie, pakował torbę, gdy do środka wpadł Bean. Za nim wskoczyła Amber z ogniem w oczach.

- Wróciłaś - zauważył Crow. Podbiegła do niego i chwyciła go za rękę.

- Musimy działać szybko. Feral jest w niebezpieczeństwie. Musimy ją znaleźć.

- Pożyczyła mój telefon i do kogoś zadzwoniła - odpowiedział.

Amber zbladła jeszcze bardziej.

Stanie się coś bardzo złego. Musimy ją natychmiast odnaleźć!

Zane

Feral słyszała morze, rozbijające się z hukiem o skały pod nimi.

Stał plecami do urwiska, z kapturem odrzuconym na plecy.

- Nie spieszyłaś się - powiedział cicho. Kurtkę odłożył na krótką trawę, porastającą grzbiet urwiska. Leżała na niej butelka wódki. - Chodź, posiedzmy w świetle księżyca.

Podeszła bliżej, trzymając ręce za plecami. Gdyby tylko potrafiła trzeźwo myśleć. Po bólu głowy jej myśli były rozbiegane. Ledwie mogła sobie przypomnieć, jak tu szła wzdłuż starego kempingu. A teraz on się uśmiechał, wyciągał ku niej ramiona.

Nigdy nie wydawał się jej przystojniejszy. Z płowymi włosami okalającymi twarz, z idealnymi zębami, promieniał wręcz, jakby pojono go nektarem i karmiono ambrozją.

Próbowała się uśmiechnąć, ale nie była w stanie.

- Witaj, Zane.

Na jego twarzy na ułamek sekundy zagościła... ulga? Irytacja?

Jeśli to była irytacja, to świetnie się maskował. Przygryzał wargę, udając skruszonego.

- Zastanawiałem się, kiedy rozpoznasz inną chimerę.

- Nie zamierzałeś mi powiedzieć?

- Nie. Nie jestem już Zane'em Belisariuszem. Byłem nim, gdy mieszkałem w Mieście. Teraz jestem Deimosem.

- Jakie geny wykorzystali? Focze?

- Nie tylko. Dzięki temu mam szybkość, siłę, zwinność i mogę być pod wodą przez dziesięć minut. Prawdziwe dziecko morza.

Zrobił krok w jej kierunku. Wyciągnęła przed siebie rękę, by go powstrzymać.

- Nic dziwnego, że widziałam w tobie kogoś równego sobie. - Wierciła się na pięcie, jak mała dziewczynka wywołana na

środek klasy.

- Rozpoczęli terapię, gdy miałem trzy lata. Ból i jeszcze więcej bólu.

- Ze mną było tak samo. Wszyscy myśleli, że nie żyjesz. Widziałam twoje zdjęcia, byłeś mały, chudy, miałeś piegi. Zmieniłeś się.

Przeczesał włosy dłonią.

- Przez zmianę wyglądu poważnie się rozchorowałem. Teraz nikt by mnie nie poznał, nawet szanowna ro---

dzicielka. Próbowali mnie naprawić, ale niezbyt im wychodziło. Spodziewali się, że umrę. Umiałem pływać, ale nie potrafiłem chodzić po łądzie. Dla mnie to było jak spacer po nożach. Najpierw chodziłem o kulach, skończyło się na wózku inwalidzkim. Możesz sobie wyobrazić, co o tym myślała moja matka. - Przez jego twarz przebiegł skurcz gniewu. - W wieku dwunastu lat nienawidziłem jej i nienawidziłem Miasta.

Feral pokiwała głową.

- Ona lubi tylko doskonałość.

- A potem przeprowadzili na mnie jedną, ostatnią operację.

- Podziała?

- Podziała. Poczułem niesamowitą siłę w swoim ciele. Przynajmniej to im się udało. Ale okłamałem ich wszystkich. Udawałem, że czuję się gorzej. A potem uciekłem, pozorując porwanie przez Cienie. - Uśmiechnął

się z triumfem. - Oczywiście nie do końca tak było. Chciałem się stamtąd wyrwać. A ona powiedziała wszystkim, że zginąłem.

- Cienie wiedziały, kim jesteś? Pokręcił głową.

- Nie! Uciekłem i ukryłem się w tym świecie, aż w pełni odzyskałem siły. Potem do nich przystąpiłem.

Nikt nie wie. Wyobraź sobie: syn Generala zmieniający front. Nigdy by mi nie zaufali.

Podszedł bliżej.

- Teraz już wiesz.

Przez chwilę Feral chciała się od niego odsunąć, lecz jej nogi odmówiły posłuszeństwa. Deimos pogłaskał

ją po policzku.

- Tylko pomyśl, to może być związek doskonały. Razem możemy poprowadzić Cienie, będziemy niesamowici. Możemy

wtargnąć do Miasta i sprawić, że wszyscy będą się nas bać.

Zaczęła drżeć, nie mogła tego opanować. Chciała na niego spojrzeć, lecz nie była w stanie popatrzeć mu w oczy, zerknęła więc ponad jego ramieniem na księżyc.

- Nie wiem - odpowiedziała. To przynajmniej była prawda. W tej chwili Feral o niczym nie potrafiła myśleć jasno.

- Nienawidzę Miasta. Powinno zostać zniszczone. A moja matka razem z nim. - Próbował ją objąć.

Szarpnęła się w tył, potknęła, zwiększając dzielącą ich odległość. Deimos zmarszczył brwi.

- Feral, wszystko w porządku?

- Wybacz - powiedziała głucho. - Nie jestem w sta- ! nie z tym walczyć.

Spojrzała na niego.

- Mam wiadomość od twojej matki.

Wyjęła ręce zza pleców. Na ziemię opadł jedwabny szal, a w jej dłoniach była broń Bonnie. I celowała prosto i w niego. V

Zaklął i rzucił się do przodu.

Rozkaz w umyśle nie pozwalał Feral myśleć trzeźwo, kazał jej do niego strzelić, ale ona próbowała się przeciwstawić. Ręce trzymały broń, celowały z niej, jak jej kazano, lecz coś głębiej, prawdziwa Feral, ta, pod którą prawie ugięły się kolana, gdy strzeliła do Trajana - nie żołnierz, nie chimera - tamta Feral krzyczała: nie!

nie! nie!, raz za razem i próbowała skierować lufę w bok, podczas gdy jej palec naciskał na spust. Strzeliła do niego.

Pocisk trafił Deimosa, odrzucając go w tył. Na chwilę jego stopy oderwały się od ziemi, przekoziółkował w stronę krawędzi, aż wreszcie zabrakło mu gruntu pod stopami.

Przez moment jego sylwetka majaczyła w świetle księżyca na tle czarnego nieba. A potem poleciał w dół.

Zniknął.

Usłyszała plusk i odgłos uderzenia o skały. Podeszła ostrożnie do urwiska, zaciskając zęby na knykciach, czując narastającą panikę. Spojrzała w dół. Jego ciało unosiło się na wodzie, zaczepione nogą o skały. Nadeszła wielka fala, oderwała go, obróciła. Znow uderzył o skały, prawie o nie zahaczając, lecz kolejna fala go uwolniła. Zniknął pod spienioną powierzchnią morza.

Stała nieruchomo, patrząc z przerażeniem na broń w swoich dłoniach, na smużkę dymu, tworzącą w powietrzu znak zapytania. Odrzuciła ją, broń potoczyła się po trawie, zniknęła jej z oczu. Próbowwała nie trafić, naprawdę próbowała, lecz ten głos był zbyt silny. Kadeci nie pudrują.

Usłyszała za sobą kroki. To była Bonnie.

Jej twarz była jasnym owalem w świetle księżyca. Zakrywała usta dłonią.

- Przepraszam - wyszeptala zrozpaczona Feral. -Wiem, że widziałas. Tak bardzo mi przykro. Widzisz, czym jestem?

Bonnie klęknela przy niej.

- Jestem tu - szepnela. - Niezaleznie od tego, co sie stalo, jestem tu.

- Mamo. - Feral nigdy w zyciu nie wymowila tego slowa, nawet w myslach. Wydawalo sie pochodzic z tej jej czesci, ktora byla zamkniete od urodzenia. - Odejdz. Jestem niebezpieczna. Zostaw mnie.

- Nie jesteś - powiedziała Bonnie, przytulając ją. -Poradzimy sobie z tym, ze wszystkim sobie poradzimy.

Feral czuła, jak matka dygocze, lecz cały czas trzymała ją w ramionach.

- Moje maleństwo - rzekła cicho Bonnie ze łzami w oczach. - To wszystko dlatego, że mnie przy tobie nie było. Bo byłam na tyle głupia, że pozwoliłam im cię zabrać! - Feral nie podnosiła głowy. - Nigdy nie przypuszczałam, że odwzajemnisz moją miłość. Chciałam tylko być przy tobie, pilnować, by nie spotkało cię nic złego.

Ich spojrzenia się spotkały.

- Byłaś przy mnie - powiedziała Feral. - Pomogłaś mi, kiedy zostałam ukarana.

Uniosła dłoń, blizna zabłysła perłową bielą w świetle księżyca.

- General to zrobiła, ale jakimś sposobem dowiedziałas się o tym, byłaś przy mnie tamtej nocy. Pomogłaś mi.

Ale teraz było już za późno. Usłyszała zbliżające się ku nim kroki. Bonnie też je usłyszała. Odwróciła się z mi-1 ną tygryscy broniącej młodych. Wstała gwałtownie, zasłaniając sobą klęczącą Feral.

Ku nim szła General Belisarius, nerwowo mrugając H jedną powieką.

Miała na sobie mundur w leśnym kamuflażu, obrzuciła spojrzeniem szczyt urwiska i stanęła. Skrzywiła się na ułamek sekundy, po czym jej twarz ponownie przybrała kamienny wyraz.

Bonnie głośno wciągnęła powietrze.

- To ty - stwierdziła, a jej twarz nabrała popielatego koloru.

General zmierzyła Bonnie wzrokiem.

- Dumna mamusia. Tylko jedna z wielu, ale jak na razie jedyna, która odnalazła swoje dziecko.

Zadziwiający upór, ale to wszystko na nic. Teraz musisz umrzeć, trzymanie cię przy życiu jest zbyt niebezpieczne.

- Zabrałaś mi dziecko.

- Ona już nie jest twoja. Nie jest nawet człowiekiem. Nie tylko ma geny wilka, ona jest wilkiem. Potrafi się zmieniać. To musi napawać cię obrzydzeniem.

Matka Feral przeknęła ślinę, a potem hardo uniosła głowę.

- Wszystkie dziewczynki się zmieniają. Kiedy mają dwanaście, trzynaście lat, zmieniają się w oczach. To właśnie robią dziewczynki, na tym polega ich moc.

Stały teraz naprzeciw siebie, siwowłosa wojowniczką o błyszczącym oku i Bonnie, która nadal wyglądała tak, jak w dniu, gdy

zabrano jej dziecko. Ale tym razem miała w oczach nienawiść.

- Naprawdę trzeba było o niej zapomnieć i kontynuować swoje żalosne życie nastoletniej zdziry - rzuciła General.

Bonnie nie zareagowała.

- Czego tu chcesz?

General spojrzała na nią wyniośle.

- Twoja córeczka zadzwoniła do mnie, jak miała przykazane. Dała mi znać, że znalazła mojego syna, zdrajcę.

Feral przysiadła na piętach, obejmując się ramionami.

- Zabiłam go - powiedziała oszołomiona. General spojrzała na nią pogardliwie.

- Tak, to właśnie miałaś zrobić. Zdradził mnie. Nie był już moim synem.

- Pozwoliłaś mi uciec.

- Ależ oczywiście. Wiedziałaś, że odnajdziesz Zane[^]. Wiedziałaś, że miałaś wszczepione słowo kotwiczące i że go dla mnie zabijesz.

- Kazałaś jej zastrzelić własnego syna? - niedowierzała Bonnie, cofając się. - Jesteś szalona.

- Był moim synem, ale w Nowej Atlantydzie niczego się nie dziedziczy. Na wszystko trzeba zapracować.

Nie był doskonały. Zdradził nas, więc musiał zostać ukarany.

Feral przyłożyła dłonie do skroni.

- Zaprogramowałaś mnie.

- Słowo kotwiczące zaszczerpiłam wszystkim prefektom i tobie. Żeby reagowali na spotkanie z moim synem. Wiedziałaś, że któregoś dnia ktoś go odnajdzie.

- I co teraz? - zapytała Feral.

- Teraz twoja kolej. - Uśmiechnęła się, lecz nerw w powiece nadal drgał. - Miasto nie toleruje niedoskonałości. Jesteś wadliwa i zbyt niebezpieczna, by żyć.

- Naprawdę myślisz, że możesz mnie zabić? Prędzej sama zginiesz.

General pokręciła głową.

- Nie zbliżysz się do mnie.

- Założymy się?

Lecz kiedy Feral próbowała wstać, nie mogła. Chciała rzucić się na Generał, ale nie była w stanie. Coś ją powstrzymywało.

Generał Belisariusz szła ku niej, a ona nie mogła nic na to poradzić.

- Ani kroku dalej - rozkazała Bonnie z mroku. Obie się odwróciły. Bonnie podniosła broń i teraz trzymała ją w rękach.

- Może i zrobiłaś coś z Feral, grzebałaś w jej umyśle. Ale nie ze mną. Ja cię zabiję. - Broń trzęsła się, lecz była wycelowana w Generał. - Nigdy nie strzelałam z czegoś takiego, więc pewnie wyjdzie z tego okaleczające trafienie. Na przykład odstrzele ci pół twarzy i zostawię cię przy życiu.

Bonnie uspokoiła dłonie. Generał westchnęła i uniosła rękę.

- No to mnie zastrzel. Bonnie oblizła wargi.

- Nie. Przekażę cię Cieniom. Oni się tobą zajmą. Następnym razem zabierajcie własne dzieci i je szkolcie.

Macie wystarczająco wielu obywateli.

- Nie rozumiesz - powiedziała Generał. - Chcemy mieć żołnierzy, za którymi nie będą tęskniły rodziny. W

końcu zaczniemy ich hodować, ale na razie zabieramy ich takim śmieciom jak ty. Powinnaś być wdzięczna, że zajęliśmy się twoim bachorem.

Generał sięgnęła do kabury na biodrze.

- Nie ruszaj się, bo strzelę - ostrzegła Bonnie. Generał popatrzyła na nią, jakby nadal była młodą dziewczyną.

- Nie bądź śmieszna. Nie mogłaś mnie pokonać wtedy, nie pokonasz i teraz. Broń była załadowana tylko jedną kulą. Upewniłam się. Kazałam Feral tak to zorganizować, na wypadek gdyby coś jej przyszło do głowy.

Sięgnęła po broń, lecz nim zdążyła ją wyciągnąć, coś poruszyło się za jej głową. Blask księżycy odbił się od metalowej powierzchni.

- Mierzę ostrzem w twoje gardło - zagroził Crow, pojawiając się u jej boku. - Radziłbym się nie ruszać.

Trzymał porośnięty koralem miecz z mieszkania Bonnie. Czubek dotykał szyi Generał. Crow wyglądał na śmiertelnie przerażonego, ale zdeterminowanego.

- Może i nie jest najostrzejszy, ale i tak mogę cię nim przebić.

- Przebić i przekręcić - poprawiła Feral. Siłą woli podniosła się na kolana, ignorując przykaz z mózgu.

Crow zaśmiał się nerwowo, wbijając czubek głębiej w szyję Generał.

- Widzisz? Dostaję instrukcję od twojego najlepszego kadeta. Wbić i przekręcić.

Generał uniosła rękę.

- I tak nie wygrasz - zadrwiła. - Kiedy dojdziemy do władzy, tacy jak ty zostaną aresztowani i rozstrzelani.

- Ale jeszcze nie teraz - odparł Crow. - Na razie to ty jesteś moim więźniem.

Feral wyprostowała nogi, wstała. Crow miał rację, Generał była pokonana. Feral mogła teraz zignorować każde umieszczone w jej głowie polecenie. Nie była już w mocy tej kobiety ani Miasta. Była wolna.

Niebezpieczeństwo! - krzyknął w jej głowie głos Amber. *Crow jest w niebezpieczeństwie!*

Feral rozejrzała się nerwowo. Gdzie? Nic nie widziała. Węszyła w powietrzu. Nie wyczuwała intruzów.

Potem spojrzęła na Crowa - i dostrzegła małą plamkę światła na jego piersi. Podczerwony celownik karabinu snajper skiego.

- Nie - szepnęła. Kropeczka przez chwilę się poruszała, po czym stanęła w miejscu. Dokładnie nad sercem Crowa. Crow spojrzęł w dół. Na jego koszuli coś było, jasnoczerwona plamka na wysokości serca. Gdy opuścił rękę, plamka przeniosła się na wierzch jego dłoni.

- Rusz się!

Usłyszał krzyk Feral i rzucił się w bok, krzywiąc się, gdy poczuł, jak coś z ogromną prędkością przelatuje obok. Cokolwiek to było, miał wrażenie, że lodowaty pazur wbił mu się w ramię.

- Au - jęknął zdziwiony.

Usłyszał cichy głos, jakby ktoś powiedział "pyk". U jego stóp pojawiły się chmurka pyłu i małe wgłębienie.

Doleciał go odgłos kogoś biegnącego, przy nim znalazła się Feral, wydzierając mu z ręki miecz. Zobaczył, jak wbija ostrze i je przekręca, wbija je raz jeszcze, jak Generał upada na ziemię z wyrazem zaskoczenia na twarzy.

Ale nie było czasu, by cieszyć się, że została powstrzymana, bo znów usłyszał pyknięcie. Feral popchnęła go na ziemię, toczyli się po trawie. W pewnym sensie było to spełnienie jego marzeń, jej twarz przy jego twarzy, jej ciało na nim. Tylko ten ból w ramieniu... Wokół siebie zobaczył więcej chmurek pyłu, więcej pojawiających

się zagłębień. Tyle że teraz klęczeli za głazem, a Feral krzyczała do innych, by się nie podnosili. Za nim był spadek ku morzu, słyszał jego huk daleko w dole. Nie ruszał się, tylko pomacał ramię. Było ciepłe i lepkie.

Krwawił. No jasne, to dlatego się razem turlali.

- Daj, zobaczę - powiedziała.

- To nic takiego. Tylko mnie drasnęło.

- To dobrze.

Nie mógł przestać się trząść.

- Uratowałaś mi życie.

Oderwała swój rękaw, przycisnęła zwitek materiału do jego ramienia.

- Zostań tu.

- Kto to jest? Kto do nas strzela?

Spojrzał na nią, w jej oczy, te, za które oddałby życie, lekko skośne, płonące wewnętrznym blaskiem.

Odwrócił wzrok. Potem poczuł na twarzy jej dłoń, tak jak za pierwszym razem, gdy się spotkali, gdy jego życie wywróciło się do góry nogami.

- Prosper - wyszeptała i pobiegła w mrok, zanim zdążył ją powstrzymać.

Snajper

Feral ogarnęła otoczenie jednym spojrzeniem. Przed nią stał znak wskazujący parking dla przyczep przy Błyszczącym Urwisku. Kiedyś radośnie kolorowy, teraz wyblakł i łuszczył się, skrzypiąc na wietrze, podobnie jak sosny po lewej. Wszędzie były cienie. W każdym z nich mógł kryć się strzelec.

To dlatego Prosperowi wydawało się, że jest bezpieczny. Nikt nie jest w stanie powiedzieć, skąd padł

wyłumiony strzał. Pocisk nadlatuje cicho - zabójcza mała zagadka. Nie ma błysku wystrzału; zabija, nie zdradzając położenia strzelca. Trzeba poczekać, aż technicy kryminalistyki i medycyny sądowej przeprowadzą testy balistyczne i ustalą

trajektorię lotu oraz prędkość pocisku. Wtedy mogą określić kąt strzału i odległość, a tym samym pozycję snajpera. Tyle tylko, że wtedy jest już za późno, bo strzelca już dawno tam nie ma. Zniknął, zabiwszy osobę, która nawet nie wiedziała, że była celem.

Feral poruszała się niczym czarny jedwab, czuła, jak wiatr porusza jej futrem. Jeszcze nie było rzeczywiste, ale wkrótce będzie. Jej gniew narastał na myśl o Crowie z czerwoną kropką nad sercem, o pocisku uderzającym w ziemię tuż obok niego, pojawiającym się znikąd, jakby za pomocą magii.

Uniosła dłoń i patrzyła na swój nadgarstek, na kości, zaczynające się przemieszczać, przestawiać. Łokcie, kolana i nadgarstki przeszył ból zmieniających układ kości.

Nie, jeszcze nie, nakazała sobie. Zmusiła swoje wilcze "ja" do ustąpienia. By go znaleźć, musiała być dziewczyną. Mimo to czuła, jak na karku unoszą się jej włoski. Jej ramiona pokryła gęsia skórka, nos marszczył się, gdy wtopiła się w cienie, węsząc. Wiatr przynosił coś poza tchórzliwym smrodem Prospera.

Czuła zapach śladu pocisku, cienki niczym włos, lecz dokładny jak promień lasera, prowadzący wprost na sosny.

Podążyła jego śladem, cicho, lecz błyskawicznie. Mógł ją dostrzec, lecz bardziej prawdopodobne było, że obserwował przez lunetę szczyt urwiska, licząc na jeszcze jeden strzał. Sięgnęła ręką i chwyciła jedną z niższych gałęzi, podciągnęła się ostrożnie i cichutko na drzewo. Szum wiatru maskował odgłosy jej wspinaczki.

Znajdował się w połowie wysokości drzewa, leżał na gałęzi, zaczepiony o nią jedną stopą, podpierając się na łokciu. Nie miał nawet szansy, by pisnąć. Pojawiła się znikąd, z jedną ręką przy jego gardle.

- Skrytobójca. Tchórz - wysyczała.

Ścisnęła mocniej, a on zakwilił, wypuszczając MP5, chwytając oburącz jej dłoń, próbując poluzować uchwyt. I to był błąd, bo musiał puścić gałąź.

Feral odepchnęła się i oboje polecieeli w tył. Spadli na kupkę igieł, Prosper na plecach, jego nemezis klęcząca nad nim, widoczna na tle nieba, z rozwianymi przez wiatr włosami.

- Feral, dziwolagu - powiedział obolały.

- Wracaj do Miasta. - Pragnienie przemiany było tak silne, że z ledwością mówiła. Jej krtań zmieniała się, podobnie jak reszta jej ciała.

- Nie przyszedłem tu po ciebie - wycharczał, próbując ukryć strach, choć wiedział, że Feral go wyczuje. -

Trafiłem tego przybłądę?

- Nie powiem.

Zaśmiał się, lecz w jej uszach zabrzmiało to żałościennie.

- Nadal go chronisz. Kim on dla ciebie jest?

- Wracaj do Miasta i zostaw nas w spokoju.

- Zaatakował mnie, więc mam prawo potraktować go bez litości.

- Generał na to pozwoliła?

- Tak. - Przełknął ślinę. - Powinna była pozwolić mi zdjąć i ciebie. Założenie, że z ludzkiej chimery wyjdzie coś dobrego, to szaleństwo. - Splunął.

- No właśnie, masz rację. - Warknęła na niego, pozwalając mu dostrzec w niej wilka. Widziała lęk narastający w jego oczach. Widziała to już kiedyś, za ogrodzeniem w wielkim zmutowanym lesie, kiedy zaatakowała go przypadkowo. - Teraz General też zdaje sobie z tego sprawę.

- Nie boję się ciebie - skłamał.

- Lęk mamy zaprogramowany, Prosper. Nie uczymy się go. Mysz boi się kota, bo nauczyła się, że kot chce ją zjeść. Jest genetycznie zaprogramowana, by się go bać. Ludzie są genetycznie zaprogramowani, by bać się drapieżników. Takich jak wilk.

Można wyszkolić żołnierza, zrobić z niego maszynę do zabijania. Ale gdy usłyszy warkot wilka, gdy ujrzy błysk białych kłów w zmarszczonym pysku, na krótką chwilę zostanie sparaliżowany. To odgłos, który zapisał się w ludzkiej duszy, by wywoływać lęk. Sprawiał, że kolana robiły się jak z waty. Że po plecach przebiegał lodowaty dreszcz. Że dla bezpieczeństwa miało się ochotę owinać ręce wokół swojej szyi.

Stała przed nim, tuż przy jego twarzy jak największy koszmar człowieka, wilk zabójca. Czowała, jak krew wrze w jej żyłach z wściekłości. Ledwie utrzymywała równowagę między dziewczyną a wilkiem, stąpając po cieniutkiej linii, podczas gdy w jego żyłach dudniła krew, wprawiając tętnicę na szyi w rytmiczne pulsowanie.

W tamtej chwili nie liczyło się dla niej nic poza chronieniem swojego stada: Crowa, matki, Amber i Beana.

Nagle ktoś klęknął przy niej. To był Crow, trzymający się jedną ręką za ramię, przyciskający do rany strzęp materiału. Drugą ręką sięgał ku niej. Jej kości zatrzeszczały, nawet on musiał słyszeć przemianę. Był głupcem, że do niej podszedł.

- Odwróć się, nie spodoba ci się to, co zobaczysz. Ostrzegam cię - warknęła.

- Widziałem już, jaka jesteś. Nie boję się tego. To ją na chwilę zdezorientowało.

- Nie. Przestań być dla mnie miły.

- Nie jestem. Jesteś cudowna, a ja cię kocham. Nic, czym mogłabyś się stać albo co mogłabyś zrobić, tego nie zmieni.

Zamarła. Nie, nie powinien jej mówić o miłości. "Chcę, potrzebuję" - te słowa rozumiała. Wszelkie inne uczucia musiała udawać. Była jak daltonista, mówiący "ależ oczywiście, że zatrzymałem się na czerwonym", który tak naprawdę zatrzymał się, bo paliło się górne światło, a on nauczył się nazywać je czerwonym.

- Nie wiem, co to miłość - warknęła i odepchnęła go. - Ty też nie. To tylko słowo.

Skrzywił się z bólu, znów łapiąc się za ramię.

- Wiem, co to znaczy. To znaczy, że jest coś, co łączy. - Nie ustąpił pod jej wściekłym spojrzeniem. - Coś nas łączy, wiem, że tak jest. I ty też to czujesz.

Z jej gardła wydobył się szloch, a może coś, co przypominało szloch.

- Chciałabym ci uwierzyć - wyszeptała. - Ale już za późno.

- Nieprawda! - Twarz Crowa była zacięta. - Możesz przestać.

- Czemu? On jest wrogiem. Próbował cię zabić.

- Łatwiej jest go zakuć w kajdanki. Cienie zajmą się nim rano.

Spojrzała na Prospera.

- Za późno.

Ale ręka Crowa nadal ją powstrzymywała, a on sam wyszeptał:

- Nie jest za późno. Nie rób tego.

- Nie masz pojęcia, do czego jestem zdolna - szepnęła niehumanicznym głosem. Jej palce zaczęły przyjmować inny kształt, kurcząc się, łącząc. Jej myśli stały się czyste, niezmacone niczym, poza troską o przetrwanie. -

Zasługuję na to. Tego nie da się zatrzymać, jestem tym, czym jestem.

Tętno było doskonale widoczne na szyi Prospera. Przecież właśnie po to tam było, żeby podniecić drapieżnika, żeby dać punkt zaczepienia oczom zabójcy, w którym narastała żądza krwi.

Z jej zmieniającego się gardła wydarł się krzyk.

- Nie powstrzymam tego, stworzyli mnie, zmienili moje geny, moje hormony, budowę moich komórek.

Jednak Crow się nie poddawał.

- Ale nie zmienili ciebie. Mówiłaś mi, że wszyscy mamy duszę. Tę część nas, która powraca, jak umieramy i zaczynamy od nowa. A oni nie zmienili twojej duszy, prawda? Ona nadal należy do ciebie.

Feral rozumiała to, co Crow mówił, ale jego słowa były na darmo; nic nie mogło jej powstrzymać przed przemianą i rozszarpaniem przeciwnika na strzępy.

- Litości! - wychrypiał Prosper.

Słyszała go, ale wilki nie znają tego słowa. Dla nich istnieje tylko "zabij lub zostań zabity".

"Nie okazuj litości", tego uczono ją od najmłodszych lat. Walcz tak, jakby zależało od tego twoje życie.

Atakuj ciało, głowę, wrażliwe miejsca. Uderzaj mocno, skutecznie i odskakuj. "Używajcie swoich naturalnych odruchów!",

wrzeszczeli na nich mistrzowie. "Zadawajcie tyle obrażeń, ile tylko możecie, zmieniajcie obronę w atak, nie przedłużajcie walki".

Nie zdawali sobie tylko sprawy z tego, że naturalne odruchy wilka są znacznie szybsze, silniejsze i bardziej pierwotne niż ludzkie. Kiedy nakazali jej nie okazywać litości, sprawili, że stała się jeszcze groźniejsza. Zrobili z niej koszmar na jawie.

- Litości - ponownie wychrypiął Prosper, a z ust pociekła mu smużka krwi. Bił dłonią o ziemię, błagając, by go puściła.

- Dasz radę, Feral. Możesz okazać mu litość.

- Generał Belisarius i mistrzowie nigdy mi jej nie okazali. Czasem byliśmy ranni, a oni kazali nam biegać.

Byliśmy chorzy, a oni zmuszali nas do stania na chłodzie, żeby nas zahartować. Byliśmy dziećmi, ale traktowano nas jak dorosłych żołnierzy. Próbowali wytłuc z nas całe człowieczeństwo. I myślę, że ze mną im się udało. Jestem dziką bestią.

- I co z tego? Jesteś lepsza od nich.

- Nie potrafię się powstrzymać. - Jej głos był teraz już tylko warkotem.

Przypomniała sobie wszystkie doznane krzywdy i zaczęła się przeobrażać. Klęcząc nad Prosperem, pozwoliła, by kontrolę przejął umysł wilka. Zdruzgotał ludzkie myśli, zastąpił je jasnymi, dokładnymi myślami drapieżnika doskonałego. Poczuła, jak na jej skórze pojawia się sierść. Czuła, jak kości czaszki zmieniają kształt i układ, jak zęby robią się ostrzejsze. Wiatr targał pokrywającym jej ciało futrem.

Przemiana z jednej postaci w drugą przebiegło gładko. Nagle stała się wilczycą o czarnym futrze, przechodzącym w brąz przy nosie i łapach. Marszczyła pysk, pokazując kły, a futro na grzbiecie uniosło się niczym lwia grzywa. Dźwięk sięgający początków czasu wydobywał się z jej gardzieli.

Crow stał bez ruchu, trzymając dłonie z dala od ciała, sygnalizując, że nie jest zagrożeniem, jakby była nerwowym psem, a nie wilkiem. Potem przesunął się ostrożnie, stając między nią a Prosperem, zaciskając z lęku usta. Rzuciła się na niego z obnażonymi zębami i nagle zatrzymała się o centymetry od jego twarzy.

Zdawało się, że cały świat się zatrzymał; gwiazdy zamarły, księżyc przestał krążyć po niebie, wiatr ucichł. Ta chwila trwała całą wieczność. Jego ciemnoszare oczy wpatrywały się w jej oczy i nawet jako wilk widziała w nich miłość pomieszaną ze strachem.

Wilki zawsze wiedzą, kiedy ustąpić. Zawsze wiedzą, jak należy postąpić. Tym razem on miał rację, ona się myliła. Ustąpiła.

- Widzisz? Wiedziałem, że potrafisz - powiedział. Wyglądał, jakby zamierzał zemdleć.

Z boku nadbiegła Bonnie, obok niej Kimmy i kilka Cieni, niosących linę do związania Prospera.

Patrzyli na nią, ale widzieli tylko czarnego wilka, biegnącego w ciemność.

Amber siedziała na skale poniżej Błyszczącego Urwiska, obserwując fale, rozbijające się u jego podstawy.

Impreza z okazji pełni dobiegła końca. Ogniska się wypaliły. To był ten najciemniejszy, najcichszy moment tuż przed świtem.

Wilk podszedł do niej bezszelestnie.

- O rany, zmieńże się - powiedziała, nie odwracając się, Amber. - Nie mam zamiaru tu siedzieć i gadać z wilkiem.

Wilczyca wyglądała, jakby w każdej chwili była gotowa uciec.

- Nie martw się. Ciało Zane'a nie leży na skałach. Jest w morzu.

Feral zmieniła postać. Amber obserwowała ją, zafascynowana. Przemiana nie trwała długo, ale wyglądała na bolesny

proces. W końcu przyjaciółka wyciągnęła dłoń.

- Daj mi przynajmniej płaszcz.

Amber ściągnęła go i podała dziewczynie. Feral otuliła się nim i usiadła, patrząc ku morzu.

- Stałam się tym, czego się obawiałam. Zabijam bez żalu.

- Umieściła ci w głowie uwarunkowanie. Teraz już go nie ma. Jej też.

- Gdzie ciało?

- Twoja mama skopała je z urwiska. Teraz już wiem, skąd czerpiesz niektóre pomysły. - Uśmiechnęła się, lecz twarz Feral wyglądała jak wykuta z lodu. - Pływy są dziś bardzo silne, zabiorą ciała za Orkady i Szetlandy. Nikt ich nie znajdzie, zanim nie zatoną. Nie będzie po nich śladu.

- Gdzie jest Prosper?

- Cienie go przesłuchują. - Amber się uśmiechnęła. - Zasłużył sobie.

Feral pokiwała głową. Ręce trzymała splecione przed sobą.

- Pojedźmy do Londynu - zaproponowała przyjaciółka. - Zróbmy coś, żeby cię rozweselić.

- Nie. Lepiej mi będzie samej.

- Psujesz zabawę. - Westchnęła. - W takim razie chyba powinnaś iść do Crowsa. Czeka na ciebie. Albo się pakuje, żeby wyjechać. Któraś z tych możliwości. Na twoim miejscu poszłabym się przekonać.

Amber przechyliła głowę i przyjrzała się przyjaciółce. Nawet blada i posiniaczona po przemianie, wyglądała niesamowicie.

- On cię kocha, wiesz? Feral przygryzła wargę.

- Zmieniłam się przy nim. Amber przewróciła oczami.

- Wielkie mi co. No to zobaczył cię jako wilka. Jakoś go to nie speszyciło. Idźże do niego, idiotko.

Feral wstała.

- Pójdę się pożegnać.

Noc

Crow usłyszał pukanie do drzwi i odłożył plecak.

Wyrzwał na zewnątrz. Kemping Błyszczące Urwisko tonął w mroku, był opustoszały, widać było tylko kilka światełek. Potem zobaczył ją, skuloną w jego płaszczu. Wybiegł na zewnątrz i otoczył ją ramionami, skrzywił się, czując, jak ramię daje o sobie znać. Jednak z nią było gorzej. We włosach i na policzkach miała zaschniętą krew, jakby wdała się w bójkę. Jej skóra była chłodna, napięta, na przegubach miała ślady jak po oparzeniach, a całe ciało było pokryte zadrapaniami wywołanymi przemianą mięśni, ścięgien i stawów.

Zaprowadził ją do środka i włączył mały grzejnik. Potem dorzucił trochę patyków do żeliwnego piecyka i w nim też rozpałił. Ostrożnie zmył krew z jej twarzy, podał jej wodę do picia, którą najpierw wymiotowała, ale kolejne łyki jej organizm już zatrzymał. Crow kucnął przy niej.

- Dobrze się czujesz? - zapytał. Feral nie spojrzała na niego.

- Nie.

- Dzwoniłem do Bonnie. Wszystko będzie w porządku. Nikt niczego nie widział. Sądzą, że Prosper zabił

Deimosa na szczycie wzgórza. Bonnie mówi, że Amber i Bean mogą u niej zostać. Zajmie się nimi. Bean się zachowuje, jakby trafił do raju.

- Zabiłaby dla mnie Generał - wyszeptwała Feral. - Widziałam to w jej oczach. Kochała mnie, chociaż wiedziała, że zastrzeliłam Deimosa. - Feral spojrzała na swoje dłonie. - Ten głos kazał mi strzelić do Zane'a, ale myślałam, że spudłowałam.

Zacisnęła ręce w pięści.

- Tak bardzo starałam się nie trafić!

- To nie była twoja wina - powiedział Crow cicho.

- Nigdy nie będę normalna. Kto wie, co jeszcze siedzi ukryte w mojej głowie. Lepiej jak będę sama.

I tyle. Wyznała mu swoje obawy. Teraz może odejść od nich wszystkich.

- Zapanowałaś nad wilkiem - przypomniał Crow. - Mogłaś mnie zagryźć, ale tego nie zrobiłaś.

- Igrałaś z ogniem. Crow się uśmiechnął.

- Powiedzmy, że udowadniałem teorię.

- Nie. Udowodniłeś tylko, że mogę się powstrzymać, gdy chodzi o ciebie, to wszystko.

- I mnie to wystarczy. - Otoczył ją ramieniem. - Musimy temu stawić czoło.

Zrzuciła jego ramię.

- Może ty. Ja zaszyję się gdzieś w dżiczy, tam, gdzie jest moje miejsce.

Crow pozwolił jej wstać.

- A ja muszę przyznać, że to całkiem podniecające - powiedział ze swoim uśmiechem na ustach.

Zmarszczyła brwi.

- To znaczy co?

- Zmienianie się w wilczycę.

Przez chwilę tylko na niego patrzyła, a potem się roześmiała, jakby zdziwiona, że ją to bawi.

- Zboczeniec - rzuciła bez złości. Jego uśmiech zrobił się jeszcze szerszy.

- Super. Od teraz jestem oficjalnie zboczeńcem.

- Jesteś. - Delikatnie dotknęła jego ramienia. - A co z tobą? Posmarowałeś czymś tę ranę?

- Bonnie mi ją zabandażowała i dała jakieś pigułki. - Poruszył ostrożnie ramieniem. - Bóg jeden raczy wiedzieć, co to było, ale bólu nie czuję.

- Chciałabym móc powiedzieć to samo - odparła Feral, masując łokcie. - Zmiana postaci nie jest przy---

jemna.

- Jak to działa? Wzruszyła ramionami.

- Nie wiem. Nie powinno się wydarzyć, nie miało się wydarzyć. Ale w szkole uczyli nas, że materia to nic innego, jak bardzo powoli wibrująca skondensowana energia. Być może to ta wibracja wpływa na zmiany kształtu. Na tej samej zasadzie, na jakiej lód, woda i para są tym samym, ale w innych temperaturach.

- Podobasz mi się niezależnie od kształtu - zapewnił i to przeważało szalę. Próbowwała się do niego uśmiechnąć, zażartować, ale zamiast tego przyszły łzy, których nie mogła powstrzymać. Uczucia tłumione przez szesnaście lat znalazły wreszcie ujście.

Crow wstał i zaczął coś szykować na kuchence. Po chwili podszedł do niej i podał jej kubek gorącej czekolady. Potem posłał łożko.

- Wypij to i się prześpij. - Usiadł na końcu łóżka. - Jestem tu, będę cię pilnował.

Pogłaskał ją delikatnie po policzku.

Ostatnią rzeczą, jaką słyszała, był jego szept: "Jeśli jesteś takim urodzonym mordercą, to czemu musieli cię tak długo do tego szkolić?", gdy głaskał jej włosy.

Obudziła się w środku nocy z płaczem. Crow spał na krześle, z głową przechyloną na bok i rękami skrzyżowanymi na piersi. Feral wstała ze łzami spływającymi po policzkach, miała mętlik w głowie. Crow obudził się gwałtownie.

- Już dobrze - powiedział, obejmując ją. - Jesteś bezpieczna, nie martw się.

Feral odrzuciła kołdrę.

- Wejdź do łóżka, potrzebuję cię.

Zrobił, o co prosiła, kładąc się obok niej. Leżeli wtuleni w siebie, jej głowa spoczywała na jego zdrowym ramieniu.

- Miałaś zły sen?

- Tak. - Spojrzała na niego. - Zdałam sobie sprawę, że na nic nie miałam już wpływu.

Ucałował jej włosy.

- I to cię przeraziło?

- Tak. Poczułam ogarniające mnie przerażenie, a jak się obudziłam, nadal je czułam. Bałam się tego, co się stanie.

Pocałował ją w szyję, a ona wtuliła się w niego.

- Nie chcę, żeby były wojny - wyznała. - Nie chcę rządów Nowej Atlantydy. Ale nic tego nie powstrzyma.

- Nigdy nie mów nigdy - wyszeptał.

- Nadejdzie dzień, gdy będą gotowi, będą mieli wystarczająco wielu ludzi na kluczowych stanowiskach, dość sił po swojej stronie. I stanie się to nagle, z dnia na dzień. Obudzisz się i nastanie nowy, gorszy świat. A Miasto nadal będzie ukryte. Dostępne tylko dla wybrańców.

Crow wsparł się na ramieniu i spojrzał na nią.

- Wiesz, gdzie są bramy? Moglibyśmy je jakoś zablokować albo wedrzeć się do środka i narobić bałaganu.

Amber mogłaby użyć swojego widzenia na odległość, podawać nam informacje.

Feral przyciągnęła jego twarz i go pocałowała.

- Chyba moglibyśmy coś takiego zrobić. Crow się uśmiechnął.

- Pokażemy im. Podróżujemy po świecie. Chrzanić Cienie, nie chcę wysadzać innych w powietrze. Nie chcę być drugą stroną medalu. Ty i ja. Co ty na to?

- Mhm. - Obróciła się i znów zaczęła go całować. - Ostatni raz, kiedy coś takiego robiłam, prawie zabiłam Prospera - wyszeptwała.

Crow jęknął.

- Nie obchodzi mnie to - powiedział i nakrył ich kołdrą.

Feral obudziła się późnym rankiem tak jak Crow. Coś przygniatało ją do łóżka, jakiś ciężar na gardle.

Zakasłała i spojrzała na Crowsa. Dotykał czegoś metalowego, opartego na jego szyi.

Sięgnęła dłonią i trafiła na metalowy przedmiot. Pachniał morzem, lecz mimo to trochę potwało, zanim zdała sobie sprawę, co to jest. Stary, pokryty koralem miecz z wraku. Drzwi przyczepy skrzypiały na wietrze.

- Może jednak go nie zabiłaś - powiedział Crow. Feral przez chwilę wpatrywała się w miecz.

- Może i nie...

Później poszli na plażę i wrzucili miecz do morza.

